

Rodzimy się z umarłymi

Silverberg Robert



calibre 0.9.43

ROBERT SILVERBERG

RODZIMY SIĘ Z

UMARŁYMI

PRZEŁOŻYŁ: MAREK RUDOWSKI

Brianowi i Margaret Aldissom

którzy mieszkają zbyt daleko

RODZIMY SIĘ Z UMARŁYMI

Rozdział 1

A to, na co umarli nie znaleźli słów żyjąc,

Mogą powiedzieć ci jako umarli: obcowanie

Umarłych łączą ogniste języki ponad mową

żyjących.

T. S. Eliot, Little Gidding (Tłum. Władysław Dulęba)

Jego zmarła żona Sybille była przypuszczalnie w drodze na Zanzibar. Tak mu

powiedziano, a on w to uwierzył. Jorge Klein był obecnie na takim etapie swoich poszukiwań,

że uwierzyłby we wszystko, co mogło zaprowadzić go do Sybille. To, że miałyby pojechać na

Zanzibar, nie było wcale takie absurdalne, Sybille zawsze chciała tam pojechać. Miejsce to

zawładnęło już dawno jej świadomością w jakiś niezbadany, obsesyjny sposób. Nie mogła

pojechać tam, kiedy żyła, ale teraz, kiedy zerwała wszelkie więzy, Zanzibar przyciągał ją, jak

gniazdo przyciąga ptaka, jak Itaka przyciągała Odyseusza, jak płomień przyciąga ćmę.

*

Samolot, mały Havilland FP-803 wystartował wypełniony zaledwie w połowie z Dar es

Salaam o 9.15 pewnego łagodnego, jasnego poranka. Wesoło zatoczył krąg nad gęstymi

masami drzew mango, nad strzelistymi krzewami obsypanymi czerwonym kwieciem i nad

wysokimi palmami kokosowymi rosnącymi wzdłuż wybrzeża Oceanu Indyjskiego i skierował się na północ, by wykonać krótki skok nad cieśniną do Zanzibaru. Dzień ten, dziewiąty dzień marca 1993 roku, miał być niezwykłym dniem dla Zanzibaru. Na pokładzie samolotu było pięcioro zmarłych - pierwsi goście tego rodzaju na tej pachnącej wyspie. Daud Mahmoud Barwani, sanitarny oficer dyżurny na lotnisku Karume na Zanzibarze, został o tym powiadomiony przez władze imigracyjne z lądu. Nie wiedział, jak ma w tej sytuacji postąpić. Niepokoił się. Na Zanzibarze panowało napięcie. Czy powinien odmówić im wjazdu? Czy zmarli stanowili jakiegokolwiek zagrożenie dla delikatnej równowagi politycznej Zanzibaru? A mniej oczywiste zagrożenia? Zmarli mogą być nosicielami niebezpiecznych chorób duszy. Czy było cokolwiek w Poprawionym Kodeksie Administracyjnym o odmowie wize na podstawie podejrzeń o możliwość skażenia duszy? Daud Mahmoud Barwani przeżuwał w zadumie śniadanie - zimne chapatti i zimne ziemniaki w sosie curry - i bez entuzjazmu czekał na przybycie zmarłych.

*

Minęło prawie dwa i pół roku od czasu, kiedy Jorge Klein widział Sybille po raz ostatni. Było to sobotnie popołudnie, 13 października 1990 roku - dzień pogrzebu. Tego dnia leżała w trumnie, jakby śpiąc, jej uroda nieskażona ostatnimi przejściami: blada skóra, lśniąca ciemne włosy, delikatne nozdrza, pełne wargi. Lśniąca złotofioletowa tkanina spowijała jej ciało. Drżący obłoczek elektrostatyczny, lekko perfumowany zapachem jaśminu, chronił je przed rozkładem. Przez pięć godzin spoczywała na katafalku w czasie odprawiania obrzędów pożegnalnych i w czasie składania kondolencji. Kondolencje składano ukradkiem, jak gdyby jej śmierć była rzeczą zbyt okropną, by ją dodatkowo potwierdzać okazywaniem zbyt gwałtownych uczuć. Następnie, kiedy już pozostało niewiele osób, grupka najbliższych przyjaciół, Klein pocałował ją delikatnie w usta i przekazał milczącym, ciemno ubranym

mężczyznom przysłanym przez Zimne Miasto. W swoim testamencie prosiła, by ją ożywiono. Zabrali ją czarną furgonetką, by odprawić swe magiczne obrzędy nad jej ciałem. Kleinowi wydawało się, że jej oddalająca się trumna wsparta na ich szerokich ramionach ginie w jakimś szarym wirze, którego on nie może przebyć. Prawdopodobnie nigdy się już z nią nie skontaktuje. W tych czasach zmarli ściśle się izolowali, pozostając za murami utworzonych przez siebie gett. Rzadko spotykało się kogoś z nich poza obrębem Zimnych Miast, a jeszcze rzadziej nawiązywali kontakt ze światem żyjących.

W taki sposób został zmuszony do zmiany ich wzajemnego stosunku. Przez dziewięć lat byli Jorge i Sybille, Sybille i Jorge, ja i ty stanowiące my, przede wszystkim my, transcendentalne my. Kochał ją aż do bólu. W życiu zawsze byli razem, wszystko robili razem, razem prowadzili badania i wykłady, myśleli tak samo i mieli prawie zawsze taki sam gust. Do tego stopnia nawzajem się przeniknęli. Ona była częścią jego, on częścią jej i aż do chwili jej nieoczekiwanej śmierci zakładał, że tak będzie zawsze. Byli wciąż młodzi • - • on trzydzieści osiem, ona trzydzieści cztery. Mieli jeszcze wiele dziesiątków lat przed sobą. I nagle odeszła. Teraz stali się dwiema anonimowymi osobami - ona nie była Sybille, ale zmarłą, on nie był Jorgem, ale żywym. Znajdowała się gdzieś na kontynencie północnoamerykańskim, chodziła, rozmawiała, jadła, czytała, a jednak jej nie było, była dla niego stracona i najlepiej dla niego byłoby, gdyby się z tym pogodził. Na zewnątrz tę sytuację akceptował, a jednak, chociaż wiedział, że przeszłość nie wróci, pozwalał sobie na luksus pewnej nadziei, że ją odzyska.

*

Wkrótce już można było zobaczyć samolot - ciemny punkt na rozświetlonym niebie, zawieszony pyłek, drażniące źdźbło w oku Barwaniego powodujące odruch mrugania i kichania. Barwani nie był jeszcze gotów na jego przybycie. Kiedy Ameri Kombo, kontroler lotów, zawiadomił go telefonicznie z sąsiedniego pomieszczenia o lądowaniu, Barwani odparł:

”Zawiadam pilota, by nie wypuszczał pasażerów, dopóki nie dam zgody. Muszę przejrzeć przepisy. Istnieje możliwość zagrożenia dla zdrowia publicznego”. Pozwolił, by samolot pozostawał przez dwadzieścia minut z zamkniętymi lukami na pustym pasie startowym. Błąkające się po lotnisku kozy wyszły z krzaków i przyglądały się mu. Barwani nie przeglądał żadnych przepisów. Skończył swój skromny posiłek, a następnie złożył ręce i starał się odzyskać spokój. Zmarli, mówił sobie, nie powinni przynieść szkody. Byli to ludzie jak wszyscy inni, tyle że zostali, poddani niezwykłym zabiegom medycznym. Musi pokonać zabobonny strach. Nie był wieśniakiem ani jakimś ciemnym zbieraczem goździków. Zanzibar nie był też siedliskiem ludzi prymitywnych. Wpuści ich. Przydzielili im pastylki antymalaryczne, jak gdyby byli zwykłymi turystami. Wyprawi ich w drogę. Bardzo dobrze. Był już gotów. Zadzwoił do Ameri Kombo.

- Nie ma niebezpieczeństwa - powiedział. - Pasażerowie mogą wysiadać.

Było ich razem dziewięcioro. Niewielka grupa. Czworo żywych wysiadło najpierw.

Wyglądali ponuro i byli nieco spięci, jak ludzie, którzy odbyli podróż z wypuszczonymi z

klatek kobrami. Barwani znał ich wszystkich: żona niemieckiego konsula, syn kupca

Chowdhary'ego i dwóch chińskich inżynierów. Wszyscy wracali z krótkiego urlopu w Dar.

Skinął im ręką, by przechodzili bez załatwiania formalności. Po upływie pół minuty nadeszli

zmarli. Siedzieli prawdopodobnie razem w drugim końcu pustego samolotu. Grupa składała się

z dwóch kobiet i trzech mężczyzn. Wszyscy wyglądali zaskakująco zdrowo. Oczekiwał, że

będą się chwiać, pociągać nogami, kuleć. Poruszali się jednak agresywnym krokiem, jak gdyby

obecnie byli w lepszym zdrowiu niż wtedy, gdy żyli. Kiedy doszli do bramki, Barwani wyszedł,

aby ich powitać.

- Kontrola sanitarna. Proszę tędy - powiedział łagodnie. Oddychali. To nie budziło

wątpliwości. W oddechu rudowłosego mężczyzny poczuł alkohol i jakiś tajemniczy,

przyjemny, słodki aromat, może anyż, w oddechu ciemnowłosej kobiety. Barwaniemu wydało się, że skóra ich ma jakąś dziwną, jakby woskową konsystencję i jakiś nierzeczywisty połysk. Może jednak to było tylko złudzenie. Skóra białych zawsze wydawała mu się sztuczna. Jedyna wyraźna różnica, jaką udało mu się dostrzec, była w oczach. Był to sposób, w jaki pozostawały utkwione z intensywnością w jeden punkt, zanim się poruszyły. Były to oczy ludzi, którzy patrzyli w Wielką Pustkę i nie zostali przez nią wchłonięci - pomyślał Barwani. W głowie kłębiły mu się pytania: jak to jest, jak się czujecie, co pamiętacie, gdzie byliście? Nie wypowiedział ich jednak.

- Witamy na wyspie goździków. Prosimy pamiętać, że malaria została tu wytępiona poprzez zastosowanie intensywnych środków zapobiegawczych i by zapobiec ponownemu pojawieniu się tej niepożądaney choroby, prosimy, abyście zażyli te tabletki przed udaniem się w dalszą drogę - powiedział uprzejmie.

Turyści zawsze oponowali. Ci jednak połknęli tabletki bez słowa protestu. Barwani ponownie zapragnął nawiązać z nimi kontakt, który może mógłby mu pomóc dźwigać ogromny ciężar istnienia. Jednakże ta aura, ta tarcza niesamowitości otaczająca tych pięcioro sprawiła, że chociaż był miłym człowiekiem i z łatwością nawiązywał rozmowy z obcymi, skierował ich bez słowa do Mpondy, urzędnika imigracyjnego.

Wysokie czoło Mpondy lśniło od potu. Zagryzał dolną wargę. Było oczywiste, że zmarli wyprowadzili go z równowagi, podobnie jak Barwaniego. Grzebał się w formularzach, przystawił wizę w niewłaściwym miejscu, jąkał się informując zmarłych, że musi zatrzymać ich paszporty do następnego ranka.

- Przekażę je przez posłańca do hotelu jutro rano - obiecał im Mponda i skierował ich do sali odbioru bagażu z niepotrzebnym pośpiechem.

*

Klein miał tylko jednego przyjaciela, z którym mógł o tym porozmawiać. Był to kolega z uniwersytetu kalifornijskiego, ugrzeczniomy i łagodny socjolog, pars z Bombaju, Framji Jijibhoi, który jak czerw zagłębił się w wyszukaną, nową subkulturę zmarłych.

- Jak mogę się z tym pogodzić? - zapytywał Klein. - Po prostu nie mogę tego zaakceptować. Ona tam gdzieś jest, żyje, ona...

Jijibhoi przerwał mu szybkim gestem dłoni.

- Nie, drogi przyjacielu - powiedział ze smutkiem - ona nie żyje. Ona jest ożywiona.

Musisz nauczyć się dostrzegać różnicę.

Klein nie mógł dostrzec różnicy. Klein nie mógł dostrzec niczego, co potwierdzałoby śmierć Sybille. Nie mógł pogodzić się z myślą, że przeszła do innej formy egzystencji, /, której on był całkowicie wyłączony. Znaleźć ją, porozmawiać, uczestniczyć w jej doświadczeniu śmierci i doświadczeniach po śmierci stało się jego jedynym celem. Był z nią nierozdzielnie związany, jak gdyby wciąż była jego żoną, jak gdyby jego związek z Sybille nadal istniał.

Czekał na listy od niej, ale nie nadchodziły. Po kilku miesiącach zaczął poszukiwania zakłopotany tym istniejącym w nim przymusem i coraz bardziej oczywistym zerwaniem z etykietą obowiązującą wdowca. Wędrował od jednego Zimnego Miasta do drugiego - Sacramento, Boise, Ann Arbor, Louisyille - nie wpuszczano go jednak, nie odpowiadano nawet na jego pytania. Przyjaciele przekazywali mu plotki, że mieszkała wśród zmarłych w Tucson, w Roanoke, w Rochester, w San Diego, ale nic z tego nie wynikało. Wtedy Jijibhoi, który miał kontakty w świecie ożywionych i który pomagał Kleinowi w poszukiwaniach, chociaż tego nie pochwalał, przyniósł mu prawdopodobnie brzmiącą wiadomość, że była w Zimnym Mieście Zioń w południowo-wschodnim Utah. Tam również go nie wpuścili, nie byli jednak zbyt okrutni i udało mu się uzyskać dowód, że Sybille rzeczywiście tam przebywała.

Latem 1992 roku Jijibhoi powiedział mu, że Sybille wyszła z izolacji Zimnego Miasta.

Widziano ją w Newark, Ohio, na miejskim polu golfowym w Octagon State Memorial w towarzystwie buńczucznego, rudego archeologa Kenta Zachariasa, również zmarłego, który był dawniej specjalistą od kurhanów z doliny Ohio.

- Jest to nowa faza, którą można było przewidzieć - powiedział Jijibhoi. - Zmarli zaczynają odrzucać swoją pierwotną filozofię całkowitej separacji. Widzimy ich jako turystów zwiedzających nasz świat, badających kontakt pomiędzy życiem a śmiercią. Drogi przyjacielu, to będzie bardzo interesujące.

Klein udał się natychmiast do Ohio i chociaż jej nie spotkał, wędrował jej śladem z Newark do Chillicothe, z Chillicothe do Marietty, z Marietty do Zachodniej Wirginii i tam gdzieś pomiędzy Moundsville a Wheeling ślad się urwał. Dwa miesiące później otrzymał wiadomość, że była w Londynie, później w Kairze i w Addis Abebie. W początkach 1993 roku Klein dowiedział się od kolegi uniwersyteckiego pracującego obecnie na Uniwersytecie Nyerere w Ar usną, że Sybille była na safari w Tanzanii i planowała udać się za kilka tygodni na wyspę Zanzibar.

Oczywiście! Przez dziesięć lat pracowała nad doktoratem na temat ustanowienia arabskiego sułtanatu na Zanzibarze w początkach dziewiętnastego wieku. Pracę tę przerywały jej inne zajęcia uniwersyteckie, romanse, małżeństwo, kłopoty finansowe, choroba, śmierć i różne inne obowiązki i nigdy nie miała możliwości odwiedzić tej wyspy, która miała dla niej tak wielkie znaczenie. Teraz jest wolna od wszelkich zobowiązań. Dlaczego nie miałyby wreszcie pojechać na Zanzibar? Oczywiście jechała na Zanzibar. Klein pojedzie więc również na Zanzibar i będzie tam na nią czekać.

Gdy pięcioro zmarłych wsiadało do taksówki, coś przypomniało się Barwaniemu.

Poprosił Mpondę o paszporty i przyglądał się nazwiskom. Takie dziwne nazwiska: Kent Zacharias, Nerita Trący, Sybille Klein, Anthony Gracchus, Laurence Mortimer. Nigdy nie

mógł przyzwyczaić się do europejskich nazwisk. Bez fotografii nie mógłby zorientować się, kto jest kobietą, a kto mężczyzną. Zacharias, Trący, Klein... właśnie Klein! Sprawdził w notatkach sprzed dwóch tygodni leżących na biurku. Tak, Klein. Barwani zatelefonował do hotelu Shirazi. Zajął mu to kilka minut. Poprosił o rozmowę z Amerykaninem, który przybył przed dziesięcioma dniami, z tym szczupłym mężczyzną o ściągniętych w napięciu ustach, którego oczy błyszczały zmęczeniem, z tym, który prosił Barwaniego o niewielką przysługę, o specjalną przysługę i dał mu sto szylingów płacąc je z góry.

Nastąpiła dłuższa przerwa, podczas której portier szukał go prawdopodobnie na terenie hotelu - w toalecie, w barze, w hallu, w ogrodzie - i wreszcie Amerykanin odezwał się. - Osoba, o którą pan pytał, właśnie przybyła - powiedział Barwani:

Rozdział 2

Taniec się zaczyna. Robaki pod opuszkami palców, wargi zaczynają pulsować, rozterki, ściśnięte gardła. Wszystko nieco nie w rytmie i nie w tonacji, każdy we własnym tempie. Wolniutko następuje połączenie. Usta przy ustach, serce przy sercu, znajduwanie się wzajemne, przerażająco, przejściowo płonące... nutki łączą się w akordy, akordy w sekwencje, kakofonia zmienia się w polifoniczny chór w kontrapunkcie, diapazon uroczystości.

R. D. Laing, Rajski ptak

Sybille stoi potulnie na skraju miejskiego pola golfowego w Octagon State Memoriał w Newark. Trzyma w ręku sandały i ukradkiem zagłębia palce stóp w obfity, nieskazitelny dywan gęstej, krótko przystrzyżonej trawy. Jest letnie popołudnie 1992 roku. Jest gorąco. Powietrze idealnie przejrzyste drży lekko, jak zawsze na środkowym zachodzie. Krople wody pozostałe po porannym podlewaniu jeszcze nie zdążyły wypalić trawnika. Jaka niezwykła jest ta trawa! Nieczęsto widywała taką trawę w Kalifornii i oczywiście nie w Zimnym Mieście Zioń w cierpiącym na brak wody Utah. Kent Zacharias stojący obok niej potrząsa głową ze smutkiem.

- Pole golfowe - mruczy. - Jedno z najważniejszych miejsc dla wykopalisk

prehistorycznych w Ameryce Północnej, a oni robią sobie tu pole golfowe! No, co prawda mogło być gorzej. Mogli wszystko wyrównać buldożerami i zrobić miejski parking. Patrz, czy widzisz roboty ziemne, o tam?

Sybillie drży. Jest to jej pierwsza dłuższa wyprawa poza Zimne Miasto, jej pierwsza wyprawa do świata żywych od czasu ożywienia i wyczuwa groźne wibracje toczącego się wokół życia. Park otoczony jest małymi, miłymi domkami pięknie utrzymanymi. Dzieci mkną na rowerach uliczkami. Tuż przed nią gracze wesoło uderzają w piłki. Małe, żółte wózki golfowe z niezmordowaną energią wędrują po wzniesieniach i zapadliskach pola. Wokół są całe gromady turystów, którzy podobnie jak ona i Zacharias przyszli, by obejrzeć indiańskie kurhany. Biegają psy. Wszystko to wydaje się jej groźne, nawet roślinność - gęsta trawa, wypielęgnowane krzewy, drzewa z burzą listowia i zwisającymi nisko gałązkami. Wszystko ją niepokoi. Obecność Zachariasa też nie dodaje jej otuchy. On też wydaje się zbyt podekscytowany. Twarz ma rozpaloną, a gesty zbyt gwałtowne, gdy wskazuje na wzgórki o płaskich szczytach, pokryte trawą garby i grzbiety układające się w ogromne koło i ośmiokąt pradawnego pomnika. Oczywiście, te pagórki stanowią istotą jego życia, nawet teraz w pięć lat po śmierci. Ohio było jego Zanzibarem.

- ...kiedyś zajmowało cztery mile kwadratowe. Ogromny ośrodek ceremonii

odpowiadający Chichen Itza, Luksorowi... - przerwał. Wreszcie dotarło do niego, że ona źle się tu czuje. Ta świadomość rozproszyła jego zapal archeologiczny.

- Jak się tu czujesz? - pyta łagodnie.

Ona uśmiecha się odważnie. Zwilża wargi. Odwraca głowę w kierunku grających w golfa, w kierunku turystów, w kierunku pięknych, małych domków na obrzeżu parku. Wstrząsa nią dreszcz.

- To wszystko zbyt radosne, prawda?

- Zbyt radosne - potwierdza.

Radosne. Tak. Małe, pogodne miasteczko jak z okładki tygodnika, miasteczko izby handlowej. Newark spoczywa spokojnie na łonie morza czasu. Po wyglądzie samochodów może to być rok 1980, 1960 lub 1940. Tak. Macierzyństwo, baseball, szarlotka, kościół co niedziela. Tak. Zacharias kiwa głową i wykonuje gest, który ma ją pocieszyć.

- Chodź - mówi szeptem. - Wejdźmy do środka tego kompleksu. Po drodze opadnie z nas wiek dwudziesty.

Brutalnym, królewskim krokiem rusza przez pole golfowe. Długonoga Sybille musi się wysilić, żeby dotrzymać mu kroku. Po chwili są wewnątrz kompleksu. Wchodzą do świętego ośmiokąta. Wtargnęli do lochu przeszłości i od razu Sybille czuje, że udało się im przekroczyć przesłonek między życiem i śmiercią. Jak tu spokojnie! Czuje potężną obecność sił śmierci i te ciemne duchy łagodzą jej niepokój. Wtargnięcie do świata żywych na terenach należących do umarłych staje się symboliczne. Nie widać już domków otaczających park, grający w golfa są już tylko głupkowatymi, bezcielesnymi cieniami, wózki golfowe są jak pracowite owady, a wędrujący tu i ówdzie turyści są niewidoczni.

Ogrom i symetria tego pradawnego miejsca wywierają na niej wielkie wrażenie. Jakie duchy tu śpią? Zacharias przywołuje je wymachując rękami jak magik. Słyszała od niego już tak wiele o tych ludziach. Jak oni siebie nazywali? Czy kiedykolwiek się dowiemy? Kto wznosił te ziemne pagórki dwadzieścia wieków temu? Teraz on przywołuje ich dla niej gestami i niecierpliwymi słowami. Szepcze gwałtownie:

- Czy ich widzisz?

I ona rzeczywiście ich widzi. Opada mgła. Pagórki ozywają. Pojawiają się ich budowniczości. Wysocy, szczupli, silni, prawie nadzy, odziani tylko w lśniące miedziane na-

pierśniki, noszą naszyjniki z krzemienych kółek, ozdoby z kości, miki i skorupy żółwia, ciężkie łańcuchy lśniących wielkich pereł, pierścienie z kamienia i terakoty, naramienniki z zębów niedźwiedzia i pantery, metalowe kolczyki i przepaski na biodra z futer. Są kapłani w szatach tkanych w skomplikowane wzory, są wodzowie w koronach z miedzianych prętów z lodowatą powagą poruszający się aleją, wzdłuż której wznoszą się ziemne ściany. Oczy tych ludzi lśnią energią. Jakaż to niezmiernie żywotna i bogata kultura! Sybille jednak nie odpycha ich pulsujący wigor, ponieważ jest to wigor zmarłych, witalność tych, którzy zniknęli.

Zacharias szepcze do niej:

- Chodź, pójdziemy za nimi.

Sprawia, że to wszystko staje się dla niej rzeczywiste. Poprzez swą przebiegłą umiejętność otwiera jej dostęp do wspólnoty zmarłych. Jak łatwo było jej cofnąć się w czasie! Oto dowiedziała się, że teraz może w dowolnym miejscu dotrzeć do zamkniętej przeszłości. To tylko teraźniejszość jest otwarta i trudna do przewidzenia. Ona i Zacharias płyną przez zamgloną łąkę. Nie odczuwają, że ich stopy dotykają łąki, opuszczają ośmiokąt, wędrują długą trawiastą drogą do kurhanów na skraju dębowego lasu. Wchodzą na rozległą polanę. Na środku ziemia została pokryta gliną przysypaną następnie piaskiem i drobnym żwirem. Na tym fundamencie stoi dom śmierci, czworoboczna budowla bez dachu ze ścianami utworzonymi z powbijanych w ziemię pali. Wewnątrz znajduje się niska, gliniana platforma, na której stoi prostokątna trumna wyciosana z pnia drzewa, a w niej widać dwa ciała. Młody mężczyzna i młoda kobieta leżą obok siebie. Ciała wyciągnięte sztywno, piękne nawet po śmierci. Odziani są w miedziane napierśniki, mają miedziane kolczyki, bransolety i naszyjniki ze lśniących, żółtawych zębów niedźwiedzia.

Czterech kapłanów staje w czterech rogach domu śmierci. Ich twarze zasłonięte są groteskowymi, drewnianymi maskami, z których sterczą wielkie rogi. W rękach mają różdżki

dwumetrowej długości, podobne do pewnego gatunku trujących grzybów, wykonane z drewna obitego miedzią. Jeden z kapłanów rozpoczyna chrapliwą, rytmiczną pieśń. Wszyscy czterej podnoszą swoje różdżki i gwałtownie je opuszczają. To jest sygnał. Zaczyna się składanie przedmiotów przeznaczonych do grobu. Szeregi żałobników zgiętych pod ciężkimi workami zaczynają zbliżać się do domu śmierci. Nie płaczą. Są nawet radośni. Na twarzach maluje się ekstaza, oczy im błyszczą. Ci ludzie wiedzą to, o czym zapomniały późniejsze kultury, że śmierć nie jest zakończeniem, ale raczej naturalną kontynuacją życia. Należy zazdrościć przyjacielom, którzy odeszli. Zostają uhonorowani bogatymi darami, tak aby w przyszłym świecie żyli jak królowie. Z worków wylaniają się samородki miedzi, żelazo z meteorytów, srebro, tysiące pereł, paciorków z muszli, paciorków z miedzi i żelaza, drewniane i kamienne guziki, kolczyki, grudy i okruchy obsydianu, podobizny zwierząt wyrzeźbione z łupka, kości i skorupy żółwia, ceremonialne miedziane siekiery i noże, arkusze miki, ludzkie szczęki wyłożone turkusami, ciemne, prymitywne wyroby garncarskie, kościane igły, zwoje tkanin, skręcone węże wymodelowane z ciemnego kamienia, cały zalew prezentów układanych wokół ciała, a nawet bezpośrednio na nich.

Wreszcie prezenty zapełniają grób. Kapłani znowu dają znak. Podnoszą różdżki i żałobnicy cofają się na skraj polany, tworzą koło i zaczynają śpiewać posepny, wibrujący hymn pogrzebowy. Zacharias zaczyna po chwili śpiewać z nimi bez słów, upiększając melodię melizmatami. Jego głos to bogaty basso cantante, tak niezwykle piękny, że Sybille jest wzruszona i patrzy na niego z podziwem. Nagle przerywa śpiew, zwraca się do niej, dotyka jej ramienia, nachyla się i mówi:

- Ty też śpiewa.

Sybille przytakuje z wahaniem. Przyłącza się do śpiewu. Z początku niepewnie i z gardłem ściśniętym zakłopotaniem. Po chwili jednak czuje, że staje się częścią rytuału i czuje

przyptyw pewności siebie. Jej wysoki, czysty sopran wznosi się świetliście ponad inne głosy. Rozpoczyna się kolejny rytuał. Chłopcy wypełniają dom śmierci wszelkiego rodzaju łatwopalnymi materiałami - patyki, gałęzie, grube konary składane są na stos, aż dom śmierci niknie z oczu, a kapłani dają znak zakończenia. Wtedy z lasu wychodzi kobieta niosąca zapaloną pochodnię. Dziewczyna jest całkiem naga. Jej szczupłe ciało jest pomalowane w dziwaczne zielone i czerwone poziome pasy na piersiach, pośladkach i udach, a długie, lśniące czarne włosy płyną za nią jak płaszcz. Podbiega do domu śmierci. Bez tchu dotyka pochodnię chrustu tu i tam, tańcząc dziko, aż wreszcie rzuca płonąca pochodnię na szczyt stosu. Płomienie buchają gwałtownie ku niebu. Sybille czuje żar ognia. Ogień szybko trawi stos i dom śmierci. Węgla jeszcze się żarzą, kiedy ludzie zaczynają znosić ziemię. Z wyjątkiem kapłanów, którzy stoją nieruchomo w centralnym punkcie polany, i dziewczyny, która leży jak odrzucony łachman na jej skraju, cała społeczność uczestniczy w obrzędzie. Za ścianą pobliskich drzew jest głęboki dół. Żałobnicy całymi szeregami udają się do dołu, nabierają ziemię w kosze, skórzane worki lub niosą jej bryły gołymi rękami do spalonego domu śmierci. W milczeniu zrzucają swój ciężar w popioły i wracają po więcej.

Sybille patrzy na Zachariasa. On daje znak. Stają w szeregu. Sybille schodzi do dołu, wyrywa ze ściany grudę wilgotnej, czarnej, gliniastej ziemi i niesie ją do rosnącego kurhanu. Kurhan zaś rośnie szybko. Wznosi się już na dwie stopy nad poziomem łąki, już na trzy, już na cztery. Puchnący okrągły bąbel, którego zarys wyznaczają czterej stojący nieruchomo kapłani. Jego kształt formowany jest setkami deptających bosych stóp. Tak - myśli Sybille - to jest odpowiedni sposób uczczenia śmierci, to jest właściwy rytuał. Pot ścieka jej po ciele, jej ubranie jest brudne i zabłocone, ale wciąż biega od stosu do dołu w ziemi i od dołu do stosu i znowu biegnie, i znowu, przemieniona, ekstatyczna.

Nagle urok pryska. Coś się nie udało. Nie wie co. Mgła rzednie. Słońce razi ją w oczy.

Kapłani, budowniczo kurhanu i nie zakończony kurhan znikają. Sybille i Zacharias są ponownie w centrum ośmiokąta. Wózki golfowe mijają ich ze wszystkich stron. Troje dzieci i ich rodzice stoją zaledwie o kilka stóp od niej i wpatrują się w nią. Chłopiec w wieku około dziesięciu lat wskazuje na Sybille i pyta głosem, który rozbrzmiewa chyba na pół stanu Ohio:

- Tato, coś z nimi jest nie w porządku. Dlaczego wyglądają tak dziwnie?

- Spokój, Tommy - wykrztusiła matka. - Czy nie umiesz się zachować?

Ojciec, wściekły, wymierza mu końcami palców siarczysty policzek, chwyta za rękę i ciągnie w inną stronę parku. Reszta rodziny rusza za nimi.

Sybille drży, odwraca się, zasłania oczy rękami. Zacharias obejmuje ją.

- Już dobrze - mówi łagodnie. - Ten chłopczyk niczego nie rozumie. Już dobrze.

- Zabierz mnie stąd!

- Chciałem ci pokazać...

- Innym razem. Zabierz mnie do motelu, nie chcę nic oglądać. Nie chcę, żeby ktokolwiek się na mnie gapił.

Zabiera ją do motelu. Przez godzinę Sybille leży na łóżku z twarzą w poduszce, wstrząsana szlochem. Kilkakrotnie powtarza Zachariasowi, że nie może się zdobyć na udział w wycieczce, że chce wracać do Zimnego Miasta. On nic nie mówi, tylko gładzi napięte mięśnie na jej karku. Po chwili nastrój mija. Sybille odwraca się od niego, ich oczy się spotykają.

Dotyka ją i zaczynają się kochać tak, jak to czynią zmarli.

Rozdział 3

Nowość to odnowienie: ad hoc enim venit, ut re-novemur in illo; uczynienie tak nowym, jak pierwszego dnia; herrlich wie am ersten Tag. Przekształcenie lub renesans; odrodzenie. Życie jest jak feniks. Zawsze rodzi się ponownie z własnej śmierci. Prawdziwą istotą życia jest zmartwychwstanie. Totus hic ordo revolubilis testatio est resurrectionis

mortuorum. Powszechny układ powtórzeń świadczy o zmartwychwstaniu.

Norman O. Brown, Love's Body

- Deszcze rozpoczną się wkrótce, proszę państwa - powiedział taksówkarz, prowadząc wóz wąską szosą w kierunku miasta Zanzibar. Gadał bez przerwy, zupełnie nie bojąc się swoich pasażerów. Pewnie nie wie, kim jesteśmy - pomyślała Sybille.

- Zaczną się za tydzień lub dwa. To będzie długa pora deszczowa. Krótka pora deszczowa trwa pod koniec listopada i w grudniu.

- Tak, wiem - powiedziała Sybille.

- Pani była już na Zanzibarze?

- Tak, w pewnym sensie - odparła.

W pewnym sensie na Zanzibarze była wiele razy, a jak spokojnie przyjmowała to, że teraz prawdziwy Zanzibar zaczynał odciskać piętno na jej umyśle i na tym wyśnionym Zanzibarze, którego obraz tak długo w sobie nosiła. Obecnie wszystko przyjmowała ze spokojem - nic jej nie podniecało, nic nie mogło jej wzburzyć. W jej poprzednim życiu zwłoka, jaka powstała na lotnisku, doprowadziłaby ją do furii. Dziesięciominutowy przelot po to tylko, żeby siedzieć jak w pułapce na pasie startowym dwa razy dłużej! Przez cały czas jednak zachowała spokój, siedząc prawie bez ruchu i słuchając tego, co mówił Zacharias, włączając się od czasu do czasu do dyskusji, jak gdyby wysyłała wiadomości z innej planety. A teraz z takim spokojem przyjmowała Zanzibar. W dawnych czasach odczuwała pewien rodzaj paradoksalnego zdumienia, gdy stykała się z czymś, co знаła z lekcji geografii z dzieciństwa, z filmów czy z turystycznych plakatów - Wielki Kanion Kolorado, pejzaż Manhattanu czy Taos Pueblo, które w rzeczywistości wyglądały tak samo, jak sobie je wyobrażała. Ale obecnie była na Zanzibarze, który otwierał się przed nią tak, jak tego oczekiwała, a ona patrzyła nań chłodnym okiem kamery, bez wzruszenia i bez reakcji.

Łagodne, parne powietrze było ciężkie od zapachów, i to nie tylko od oczekiwanego, ostrego zapachu goździków, ale także od łagodniejszych aromatów, które pochodziły może od hibiskusa, czerwonego jaśminu i innych krzewów i pnączy, które wlewały się przez okno taksówki jak poszukujące czegoś macki. Bliskość pory deszczowej była wyczuwalnym naporem, obecnością, ciężarem w powietrzu. W każdej chwili kurtyna mogła się podnieść i mógł nastąpić potop. Wzdłuż szosy ciągnęły się dwie kosmate ściany palm tu i ówdzie przerywane szopami krytymi blaszonym dachem. Za rzędem palm ciągnęły się tajemnicze, ciemne zagajniki, gęste i obce. Wzdłuż drogi napotkać można było przeszkody normalne w krajach tropikalnych - kury, kozy, nagie dzieci, stare kobiety o pomarszczonych i bezzębnych twarzach absolutnie nie zwracające uwagi na przejeżdżającą taksówkę. Taksówka zaś mknęła równiną w kierunku półwyspu, gdzie znajdowało się miasto Zanzibar. Zdawało się, że temperatura rosła z minuty na minutę. Pięść wilgotnego upału zaciskała się nad wyspą.

- Tu jest bulwar nadbrzeżny - powiedział kierowca. Jego głos był jak chrapliwe mruczenie, natrętny i miał

w sobie nutkę wyższości. Piasek był olśniewająco biały. Woda miała kolor szklistego, rażącego w oczy błękitu. Dwie arabskie łodzie wypływały sennie z portu. Ich łańskie żagle wydymały się lekko pod naporem łagodnej bryzy.

- Proszę państwa, po tej stronie...

Ogromny, czteropiętrowy, biały, drewniany budynek, udekorowany długimi werandami i balustradami z lanego żelaza, przykryty obszerną kopułą. Sybille rozpoznała go i wiedziała, co powie kierowca. Słuchała go podświadomie.

- ...Beit al-Ajaib, Dom Cudów, dawniej budynek rządowy. Tutaj sułtan często urządzał wielkie bankiety. Tu zjeżdżały się znakomitości z całej Afryki. Teraz nie używany. Obok pałac sułtana, teraz Pałac Ludu. Czy chcecie państwo obejrzeć Dom Cudów? Jest otwarty. Możemy

się zatrzymać. Oprowadzę państwa.

- Innym razem - powiedziała Sybille obojętnie. - Będziemy tu jakiś czas.

- Nie przyjechaliście tu na jeden dzień?

- Nie. Na tydzień lub dłużej. Przyjechałam studiować historię waszej wyspy. Na pewno odwiedzę Beit al-Ajaib, ale nie dzisiaj.

- Tak, tak. Nie dzisiaj. Bardzo dobrze. Proszę mnie wezwać. Zaprowadzę wszędzie.

Nazywam się Ibuni.

Uśmiechnął się do niej przez ramię, pokazując wszystkie zęby i gwałtownym ruchem kierownicy skierował taksówkę w labirynt wijących się uliczek i wąskich zaułków stanowiących Stonetown - dawną dzielnicę arabską.

Panowała tu cisza. Masywne, białe, kamienne budynki zwrócone były ślepyimi ścianami do ulicy. Wąskie okna zasłaniały okiennice. Większość drzwi - sławnych ozdobnych drzwi ze Stonetown, bogato rzeźbionych, nabijanych mosiądzem i przemyślnie inkrustowanych, każde stanowiące dzieło islamskiej sztuki - było zamkniętych. Sklepy wyglądały nędznie, a ich niewielkie okna wystawowe pokrywał kurz. Większość szyldów była tak wyblakła, że Sybille z trudem mogła je odczytać.

PREMCHAND'S EMPORIUM

MONJFS CURIOS

ABDULLAH'S BROTHERHOOD STORE

MOTILAL'S BAZAAR

Arabów już dawno nie było na Zanzibarze. Wyjechało także wielu Hindusów, chociaż mówiło się, że ukradkiem wracają. Od czasu do czasu, w miarę jak taksówka jechała krętymi uliczkami Stonetown, napotykali długie czarne limuzyny prawdopodobnie produkcji rosyjskiej lub chińskiej prowadzone przez szoferów, w których z godnością i powagą podróżowali

ciemnoskórzy mężczyźni w białych szatach. Prawodawcy, jak przypuszczała Sybille, załatwiający sprawy państwowe. Innych pojazdów nie było widać. Nie było również wielu przechodniów z wyjątkiem kilku czarno odzianych kobiet. Stonetown nie tryskało życiem, tak jak okoliczne pola. Sprawiało na niej wrażenie miejsca przeznaczonego dla duchów i dobrze pasującego na wakacje dla zmarłych. Spojrzała na Zachariasa, który skinął jej głową i uśmiechnął się. Był to szybki, przelotny uśmiech, wyrażający zrozumienie dla jej odczuć i mówił jej, że on również odczuwał to samo. Porozumienie pomiędzy zmarłymi następowało szybko, a rzeczy oczywiste nie wymagały słów.

Droga do hotelu wydawała się niezmiernie poplątana, a kierowca często zatrzymywał się przed sklepami pytając z nadzieją:

- Czy nie potrzebujecie mosiężnych szkatulek, miedzianych naczyń, srebrnych pamiątek, chińskich złotych łańcuszków?

Chociaż Sybille delikatnie odmawiała jego propozycjom, on wciąż wskazywał im bazary i sklepy, poważnie zachwalając wysoką jakość i umiarkowane ceny. Stopniowo Sybille zdała sobie sprawę, zaczynając orientować się w układzie miasta, że niektóre skrzyżowania minęli już kilkakrotnie. Właściciele sklepów musieli chyba płacić kierowcy, żeby sprowadzał do nich turystów.

- Proszę zawieźć nas do hotelu - powiedziała Sybille, kiedy kierowca w dalszym ciągu zachwalał różne towary: najlepsza kość słoniowa, najlepsze koronki... Powiedziała to w sposób zdecydowany, ale nie straciła cierpliwości. Taka zmiana sprawiłaby Jorge'owi przyjemność. Zbyt często był ofiarą wybuchów jej temperamentu. Musiał to być swego rodzaju produkt uboczny zmian metabolicznych w procesie ożywiania, a może skutek dwóch lat opieki Ojca-opiekuna w Zimnym Mieście, a może wreszcie wynik nowej świadomości, że w tej sytuacji pośpiech jest absurdem?

- Tu jest wasz hotel - powiedział wreszcie Ibuni. Był to stary dom arabski - wysokie łuki, niezliczone balkony, zatęchłe powietrze, leniwie obracające się elektryczne wentylatory w ciemnych hallach. Sybille i Zacharias dostali rozległy apartament na trzecim piętrze z oknem wychodzącym na ogród pełen palm i ozdobnych krzewów. Mortimer, Gracchus i Nerita, którzy przybyli znacznie wcześniej inną taksówką, mieli taki sam apartament piętro niżej.

- Wykąpię się - powiedziała Sybille do Zacharias. - Będziesz w barze?

- Najprawdopodobniej albo przejdę się po ogrodzie.

Wyszedł. Sybille szybko zrzuciła swoje przepocone ubranie podróżne. Łazienka była urządzona z ładu bizantyjskim przepychem. Kolorowe kafelki ułożone były w wyszukane wzory. Ogromna, żółta wanna wznosiła się wysoko na nóżkach z brązu w kształcie orlich szponów. Ledwo ciepła woda zaczęła ciec niewielkim strumieniem po odkręceniu kranu. Uśmiechnęła się do swego odbicia w wysokim, owalnym lustrze. Podobne lustro było w domu, w którym dokonywano zabiegów ożywienia. Następnego ranka po ożywieniu pięciu czy sześciu zmarłych przyszło do jej pokoju, by uczcić udaną transformację i przynieśli ze sobą wielkie lustro. Delikatnie i z wielką ceremonią zdjęli z niej kołdrę, żeby mogła się w lustrze zobaczyć naga, wąska w talii, szczupła, z wysokimi piersiami; piękno jej ciała nie zmienione w wyniku śmierci i ożywienia, a nawet jeszcze przez nie udoskonalone, tak że po tych strasznych przejściach wyglądała młodziej, promiennie].

- Jesteś bardzo piękną kobietą.

To powiedział Pablo. Później poznała ich imiona.

- Czuję ogromną ulgę. Obawiałam się, że gdy się obudzę, będę wyglądała okropnie.

- • To nie mogło się stać - powiedział Pablo.

- I nigdy się nie stanie - powiedziała młoda kobieta. To była Nerita.

- Ale zmarli również się starzeją, prawda?

- O tak, starzejemy się, ale nie w ten sam sposób, co żyjący.

- Wolniej?

- Znacznie wolniej. Także inaczej. Wszystkie nasze procesy biologiczne toczą się znacznie wolniej, z wyjątkiem działania mózgu, który działa szybciej niż za życia.

- Szybciej?

- Sama zobaczysz.

- To wszystko brzmi idealnie.

- Mamy niezwykle szczęście. Życie było dla nas niezmiernie łaskawe. Nasza sytuacja jest rzeczywiście idealna. Jesteśmy nową arystokracją.

- Nowa arystokracja...

*

Sybille weszła powoli do wanny i czując chłodną porcelanę ułożyła się wygodnie pozwalając, by letnia woda sięgnęła jej podbródka. Zamknęła oczy. Ogarnął ją spokój.

Zanzibar czekał na nią. Te wszystkie ulice. Nigdy nie myślałam, że je kiedykolwiek zobaczę.

Niech sobie Zanzibar poczeka. Niech poczeka. Te wszystkie słowa. Nigdy nie myślałam, że je kiedykolwiek wypowiem. Gdy pozostawiłam swe ciało na dalekim brzegu. Czas na wszystko.

Wszystko we właściwym czasie.

- Jesteś bardzo piękną kobietą - powiedział jej Pablo i to wcale nie było pochlebstwo.

Tak. Tego pierwszego poranka chciała im wyjaśnić, że wcale nie przejmowała się tak

bardzo wyglądem swego ciała, że zależało jej na czymś innym, na czymś "ważniejszym". Nie

było jednak trzeba nic wyjaśniać. Rozumieli wszystko. Poza tym, przejmowała się jednak

swoim ciałem. Piękno było dla niej mniej ważne niż dla tych kobiet, dla których uroda była

jedynym atutem. Niemniej jednak ciało sprawiało jej przyjemność i wiedziała, że wywoływało

miłe wrażenie u innych. Ułatwiało jej kontakty z ludźmi, zawieranie znajomości i zawsze była

za to wdzięczna. W poprzednim życiu przyjemność wynikającą z posiadania takiego ciała psuła świadomość jego nieuniknionego, powolnego zniszczenia, świadomość utraty tego przypadkowego atutu, jaki dawało jej piękno. Obecnie to jej nie groziło. Będzie się zmieniać w miarę upływu czasu, ale nie będzie miała tego uczucia, jakie mają osoby żyjące, że ulega powolnemu rozkładowi. Ożywione ciało nie zdradzi jej, stając się brzydkie. Nie.

- Jesteśmy nową arystokracją...

Po kąpieli stała przez kilka minut w otwartym oknie wystawiając swe nagie ciało na działanie wilgotnego powiewu. Zaczęły dobiegać do niej różne odgłosy - odległe dzwonki, jazgot tropikalnych ptaków, głosy dzieci śpiewających w niezrozumiałym języku. Zanzibar! Kraj sułtanów i przypraw, Livingstone'a i Stanleya, Tippu Tiba - handlarza niewolników. Może sir Richard Burton spędził noc właśnie w tym pokoju. Odczuwała suchość w gardle i budzące się w niej podniecenie. Miała poczucie oczekiwania, ciekawości. ^Miała przed sobą Zanzibar. Bardzo dobrze. Rusz się, Sybille, ubierz się, zjedz obiad i rozejrzyj się po mieście.

Wyjęła z walizki lekką bluzkę i szorty. Właśnie wtedy do pokoju wrócił Zacharias.

- Kent, czy myślisz, że można tutaj nosić takie szorty? - zapytała nie podnosząc oczu. -

One są...

Zamilkła, kiedy ujrzała jego twarz.

- Co się stało?

- Właśnie rozmawiałem z twoim mężem.

- On jest tutaj?

- Podeszedł do mnie w hallu. Znał moje nazwisko. Po-wiedział: "Pan nazywa się

Zacharias" z lekką chrypką Humphreya Bogarta w głosie, jak zdradzony filmowy mąż do tego trzeciego. "Gdzie ona jest? Muszę się z nią zobaczyć".

- Oj, nie, Kent.

- Pragnęłam się dowiedzieć, czego chce od ciebie, ale odpowiedział, że jest twoim mężem, a ja odparłam, że może był twoim mężem kiedyś, ale sytuacja się zmieniła i wtedy...
 - Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Jorge mógł się tak zachować. Był zawsze takim delikatnym człowiekiem. Jak wyglądał?
 - Jak szaleniec - powiedział Zacharias. - Szkliste oczy, napięte mięśnie twarzy, oznaki szalonego napięcia. Przecież wie, że nie powinien tego robić.
 - Doskonale wie, jak ma się zachować. Co za głupia historia! Gdzie on teraz jest?
 - Wciąż na dole. Rozmawia z Neritą i Laurencem. Nie chcesz się z nim spotkać, prawda?
 - Naturalnie, że nie.
 - Napisz do niego karteczkę, a ja mu ją zaniosę. Powiedz, żeby spływał.
- Sybille pokręciła przecząco głową.
- Nie chcę mu sprawić przykrości.
 - Sprawić mu przykrości? Włókł się za tobą przez pół świata jak chory z miłości chłopaczek. Narusza twoją prywatność. Przerwał nam ważną podróż. Nie stosuje się do zasad regulujących stosunki pomiędzy żywymi a zmarłymi, a ty...
 - On mnie kocha, Kent.
 - Kochał cię. Dobrze. Na to się zgodzę. Jednakże osoba, którą kochał, już nie istnieje. Musi sobie zdać z tego sprawę.
- Sybille zamknęła oczy.
- Nie chcę mu sprawiać przykrości. Nie chcę również, żebyś ty mu sprawiał przykrość.
 - Nie sprawię mu przykrości. Spotkasz się z nim?
 - Nie.

Mruknęła coś w zakłopotaniu i rzuciła bluzkę i szorty na krzesło. Czowała gwałtowne

pulsowanie w skroniach. Takiego zagrożenia nie pamiętała od czasu tego straszego dnia przy kurhanach w Newark. Podeszła do okna i wyrzała. Może miała wrażenie, że zobaczy Jorge'a rozmawiającego z Neritą i Laurencem na podwórzu. Nikogo jednak nie zobaczyła poza boyem hotelowym, który popatrzył na jej nagie piersi i obdarzył ją szerokim uśmiechem. Sybille odwróciła się do niego tyłem i powiedziała bezbarwnym głosem:

- Zejdź na dół. Powiedz mu, że nasze spotkanie jest niemożliwe. Użyj tego słowa. Nie mów, że nie chcę się z nim spotkać, nie mów, że takie spotkanie nie jest właściwe, ale że jest niemożliwe. Zadzwoń na lotnisko. Chcę wrócić do Dar wieczornym samolotem.

- Przecież dopiero przyjechaliśmy!

- To nie ma znaczenia. Wrócimy innym razem. Jorge jest bardzo uparty. Nie pogodzi się z niczym oprócz brutalnej odmowy, a tego nie mogę mu zrobić. Musimy zatem wyjechać.

*

Klein nigdy jeszcze nie widział zmarłych z tak bliskiej odległości. Ostrożnie i z zakłopotaniem rzucał ukradkowe spojrzenia na Kenta Zachariasa siedzącego obok niego na wyplatany fotelu wśród doniczkowych palm hotelowego hallu. Jijibhoi powiedział mu, że to prawie nie rzucało się w oczy, że odbierało się to podświadomie raczej niż w wyniku oznak zewnętrznych i tak rzeczywiście było. Pewien wygląd oczu, ten typowy utkwiony w jeden punkt wzrok zmarłych, a także dziwna bladość skóry pod żywymi rumieńcami Zachariasa były czymś nietypowym. Gdyby jednak Klein nie wiedział, kim jest Zacharias, pewnie by nie zauważył. Próbował wyobrazić sobie tego człowieka, tego rudego, rumianego archeologa, tego kreta ziemnych kurhanów w łóżku z Sybille, robiących to, co robili zmarli w czasie stosunku. Nawet Jijibhoi nie był pewien. Były dotyki, spojrzenia, szepty i uśmiechy, jak uważał Jijibhoi, ale genitalia chyba nie brały udziału. Przecież rozmawiam z kochankiem Sybille, z jej kochankiem. Jakie to dziwne, że tak się tym denerwował. Miała przecież swoje przygody za

życia, podobnie jak i on; podobnie jak wszyscy. Taki był sposób na życie. Teraz czuł się jednak zagrożony, pokonany i zniszczony przez tego chodzącego trupa, jej kochanka.

- Niemożliwe? - zapytał Klein.

- Tak właśnie powiedziała.

- Czy nie mogę zobaczyć się z nią choć przez dziesięć minut?

- Niemożliwe.

- Choć przez kilka chwil? Chciałbym wiedzieć, jak ona wygląda.

- Czy nie uważa pan za upokarzające tak zabiegać o jeden rzut oka na nią?

- Tak.

- Ale w dalszym ciągu pan tego chce?

- Tak.

- Przykro mi, ale nie mogę nic dla pana zrobić - powiedział Zacharias z westchnieniem.

- Może Sybille jest zmęczona po podróży. Czy nie myśli pan, że może jutro będzie w lepszym nastroju?

- Może - powiedział Zacharias. - Niech pan przyjdzie jutro.

- Dziękuję panu bardzo.

- De nada.

- Czy mogę panu postawić drinka?

- Nie, dziękuję - powiedział Zacharias, - Nie piję od czasu, kiedy... - uśmiechnął się.

Klein czuł alkohol w oddechu Zachariasa. No cóż, pójdzie sobie. Kierowca taksówki czekającej w pobliżu hotelu wychylił głowę z okna wozu i zapytał z nadzieją w głosie:

- Może chcecie panowie zwiedzić wyspę? Plantacje goździków, stadion...?

- Już je widziałem - powiedział Klein. - Zawieź mnie na plażę.

Popołudnie spędził obserwując małe turkusowe fale liżące różowy piasek. Następnego

dnia wrócił do hotelu, w którym mieszkała Sybille, ale wszyscy pięcioro odlecieli ostatnim wieczornym samolotem do Dar, jak poinformował go zakłopotany recepcjonista. Klein zapytał, czy może zatelefonować, i recepcjonista wskazał mu stary aparat w niszy koło baru. Zadzwoił do Barwaniego.

- Co się dzieje? - zapytał. - Powiedział pan, że zostaną tu co najmniej tydzień.

- No cóż, sytuacja się zmieniła - odparł Barwani łagodnie.

Rozdział 4

Jakie są perspektywy? Co przyniesie przyszłość?

Nie wiem. Nie mam przeczuć. Kiedy pająk rzuca się w dół z jakiegoś punktu zgodnie ze swoją naturą, widzi zawsze przed sobą tylko pustą przestrzeń, gdzie nie może znaleźć oparcia dla nóg niezależnie od tego, jak szeroko je rozstawi. Tak samo jest ze mną. Przede mną jest zawsze pusta przestrzeń. To, co pcha mnie naprzód, to czynnik leżący poza mną. Życie jest postawione na głowie i straszne. Nie można tego wytrzymać.

Soren Kierkegaard, Albo-albo

- Drogi przyjacielu, jeżeli chodzi o cały problem śmierci, kto może stwierdzić, co jest słuszne? - powiedział Jijibhoi. - Kiedy byłem jeszcze chłopcem w Bombaju, nasi sąsiedzi wyznający hinduizm praktykowali zwyczaj sati, to znaczy spalanie wdowy na stosie pogrzebowym jej męża. Na jakiej podstawie możemy nazwać ich barbarzyńcami? Oczywiście - jego ciemne oczy błysnęły figlarnie - nazywaliśmy ich barbarzyńcami, ale nigdy wtedy, kiedy mogli nas usłyszeć. Zjesz jeszcze curry?

Klein opanował westchnienie. Był już najedzony, a curry było bardzo ostre, ostrzejsze niż zazwyczaj mógł wytrzymać. Jednakże gościnność Jijibhoia wywierająca delikatny nacisk miała w sobie coś takiego, że jakakolwiek odmowa wydawała się Kleinowi niemal bluźnierstwem. Uśmiechnął się i skinął głową, a Jijibhoi wstając nałożył górę ryżu na talerz

Kleina, ukrył ją pod gęstym baranym curry i udekorował hinduskimi przyprawami. Bez słowa żona Jijibhoia wyszła do kuchni i wróciła z butelką zimnego heinekena. Przesłała Kleinowi wstydlivy uśmiech, stawiając butelkę przed nim na stole. Tych dwoje parsów, jego gospodarze, świetnie ze sobą współpracowało.

Stanowili elegancką parę, nawet bardzo. Jijibhoi był wysoki, prosty jak trzcina, z wydatnym orlim nosem, ciemną, lewentyńską skórą, włosami czarnymi jak skrzydło kruka i ogromnymi wąsami. Jego dłonie i stopy były niezwykle małe. Sposób bycia miał uprzejmy i powściągliwy. Ruchy szybkie, prawie nerwowe. Klein przypuszczał, że przekroczył już czterdziestkę, ale mógł równie dobrze mylić się o dziesięć lat w każdą stronę. Jego żona (dziwne, ale Klein nigdy nie poznał jej imienia) była młodsza, prawie tego samego wzrostu. Miała jasną skórę o lekko oliwkowym odcieniu i zmysłową figurę. Zawsze była ubrana w zwiewne, jedwabne sari. Jijibhoi ubierał się zazwyczaj w garnitur i koszulę z krawatem, które wyszły z mody dwadzieścia lat temu. Klein żadnego z nich nie widział nigdy z odkrytą głową. Ona zawsze nosiła białą lnianą chusteczkę, a on małą krymkę, która pozwalała ludziom mylić go z orientalnym Żydem. Byli bezdzietni i samowystarczalni. Tworzyli zamkniętą parę, idealną jednostkę składającą się z dwóch części tej samej całości, połączonych i niepodzielnych, tak jak kiedyś Klein i Sybille. Ich harmonijna wymiana myśli i gestów trochę peszyła i krępowała innych, tak jak to było kiedyś z Kleinem i Sybille.

- W twoich stronach... - zaczął Klein.

- Och, zupełnie inaczej i całkiem, wyjątkowo. Czy znasz nasze zwyczaje pogrzebowe?

- Pozostawiacie zmarłych na otwartym powietrzu, prawda?

- Najstarszy program ponownego wykorzystania - zaśmiał się Jijibhoi. - Wieże

Milczenia...

Wstał i podszedł do okna. Stał plecami do Kleina, wpatrując się w ostre światła Los

Angeles. Dom z drewna tropikalnego i szkła stał wsparty na podporach na skraju Benedict Canyon tuż poniżej Mulholland. Widok obejmował wszystko od Hollywood po Santa Monica.

- Jest pięć takich wież w Bombaju - ciągnął Jijibhoi. - Położone są na Wzgórzu

Malabarskim, z którego widać Morze Arabskie. Mają setki lat. Są okrągłe. Mają po kilkaset ! stóp w obwodzie. Otoczone są murem wysokim na dwadzieścia lub trzydzieści stóp. Kiedy umiera pars... Wiedziałaś j coś o tym?

- Niewiele. Chciałbym wiedzieć więcej.

- Kiedy umiera pars, odnosi się go do wieży na żelaznych marach. Żałobnicy idą za nim w procesji parami, każda para trzyma białą chustę. To piękna scena. W kamiennym murze jest brama, przez którą przechodzą tylko ludzie niosący mary wraz ze swym ciężarem. Nikt poza nimi nie może wejść do wieży. W środku znajduje się duży, okrągły postument wyłożony kamiennymi płytami, na nim zaś rozmieszczone są zagłębienia w trzech rzędach. W zagłębieniach rzędu zewnętrznego składa się ciała mężczyzn, w następnym rzędzie kobiet, a w rzędzie najbliższym środkowi kręgu - dzieci. Z wysokich palm w ogrodach otaczających wieże zrywają się sępy. Po godzinie lub dwóch pozostają jedynie kości. Później nagi, wysuszony przez słońce szkielet wrzucony zostaje do wnętrza wieży. Bogaci i biedni rozpadają się w proch razem.

- Czy wszystkie pogrzeby parsów odbywają się w ten sposób?

- Nie, wcale nie - powiedział Jijibhoi z uśmiechem. - Wszystkie stare tradycje obecnie zanikają. Czy nie wiedziałaś o tym? Nasza młodzież opowiada się za kremacją czy nawet zwykłym pochówkiem. A jednak jeszcze wielu spośród nas dostrzega piękno tego zwyczaju.

- Piękno?

- Chowanie zmarłych w ziemi - wyjaśniła żona Jijibhoia spokojnym głosem - w tropikalnych krajach, gdzie istnieje wiele zakaźnych chorób, wydaje się nam niezbyt hi-

gieniczne. Spalenie ciała oznacza zmarnowanie jego substancji. Oddanie ciał zmarłych głodnym ptakom szybko, czysto i bez zamieszania jest dla nas formą uczczenia oszczędności natury. Zmieszanie się czyichś kości we wspólnym dole z kośćmi innych członków społeczności jest dla nas ostatecznym wyrazem demokracji.

- A sępy nie roznoszą chorób żywiąc się ciałami...

- Nigdy - powiedział Jijibhoi zdecydowanie. - Ani nie zapadają na nasze choroby.

- I rozumiem, że wy oboje zamierzacie... - Klein przerwał skonsternowany, odkaszlnął i uśmiechnął się słabo. - Widzicie, co to wasze radioaktywne curry zrobiło z moim dobrym wychowaniem? Przepraszam. Siedzę tutaj jako wasz gość za stołem i wypyuję, co zamierzacie zrobić ze swoim pogrzebem!

- Drogi przyjacielu - zaśmiał się Jijibhoi - śmierć dla nas to nic strasznego. To jest, chyba nie trzeba tego podkreślać, zjawisko naturalne. Przez pewien czas jesteśmy tutaj, a później odchodzimy. Kiedy przyjdzie pora, ja i moja żona udamy się do Wież Milczenia.

- Lepiej tam niż do Zimnych Miast! Znacznie lepiej! - dodała jego żona ostro.

Klein jeszcze nigdy nie widział u niej takiej gwałtowności.

Jijibhoi odwrócił się od okna i spojrzał na nią gniewnie. Tego też Klein jeszcze nigdy nie widział. Wydawało się, że ta delikatna pajęczyna wyszukanej grzeczności, jaką on i tych dwoje snuło przez cały wieczór, zaczęła się nagle rwać, a nawet stosunki pomiędzy Jijibhoiem i jego żoną stały się napięte. Podniecony i rozdygotany Jijibhoi zaczął zbierać puste naczynia i po dłuższym, kłopotliwym milczeniu powiedział:

- Ona nie chciała cię urazić.

- Dlaczego miałbym się czuć urażony?

- Osoba, którą kochasz, wybrała Zimne Miasto. Mogłeś zrozumieć, że była to krytyka pod jej adresem.

Klein wzruszył ramionami.

- Przecież ma prawo mieć swoje poglądy na temat ożywiania. Zastanawiam się tylko...

- przerwał, wahając się czy może być aż tak dociekliwy.

- Tak?

- Nieważne.

- Proszę... Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

- Zastanawiałem się - powiedział Klein powoli - - czy nie jest ci trudno spędzać cały czas ze zmarłymi, badając ich, poznając ich sposoby postępowania, poświęcając im całą swoją karierę w sytuacji, kiedy twoja żona wyraźnie pogardza Zimnymi Miastami i wszystkim, co z nimi związane.

Jeżeli twoja praca jest dla niej odrażająca, nie możesz dzielić się z nią problemami.

- Och - powiedział Jijibhoi i widać było, że jego napięcie wyraźnie zanika. - Jeżeli o to chodzi, to ja mam chyba Jeszcze mniej zachwyty wobec całego procesu ożywiania niż ona.

- Naprawdę? - Tego Klein nigdy nie podejrzewał. - Odpycha cię to? Dlaczego zatem zajmujesz się tym tak Intensywnie?

- Co? Czy uważasz, że należy lubić badany temat? - Jijibhoi wyglądał na szczerze ubawionego. - Wydaje mi się, że jesteś z pochodzenia Żydem, a jednak swoją pracę doktorską poświęciłeś wczesnemu okresowi Trzeciej Rzeszy, prawda?

- Touche! - przyznał Klein.

- Jako socjolog uważam subkulturę zmarłych za fascynującą - kontynuował Jijibhoi. -

To niezmierne szczęście, kiedy pojawia się w trakcie kariery zupełnie nowy aspekt ludzkiej egzystencji. Dla mnie nie ma bogatszego materiału badawczego. A jednak nie mam najmniejszego zamiaru zdecydować się na ożywienie. Dla mnie i dla mojej żony przeznaczone są Wieże Milczenia, gorące słońce, sępy i koniec, finis, ostatnia stacja.

- Nie wiedziałem, że ty to tak odbierasz. Myślę, że gdybym wiedział więcej o teologii parsów, zrozumiałbym...

- Nie. Jeszcze nie rozumiesz. Nasze zastrzeżenia nie mają teologicznego podłoża. Po prostu mamy życzenie, kaprys, by nie kontynuować życia poza wyznaczony termin. Mam również poważne zastrzeżenia co do wpływu ożywiania na nasze społeczeństwo. Odczuwam poważne zaniepokojenie obecnością zmarłych wśród nas. Obawiam się ich prywatnie, podobnie jak i kultury, którą tworzą. Czuję nawet odrazę... - Jijibhoi zawahał się. - Może użyłem zbyt mocnego słowa. Przepraszam, ale widzisz, jak skomplikowana jest moja postawa wobec tego zjawiska. To mieszanina fascynacji i odrazy. Istnieję w ciągłym napięciu między dwoma biegunami. Ale dlaczego mówię ci to wszystko? Jeżeli cię to nie denerwuje, to pewnie nudzi. Pomówmy o twojej wyprawie na Zanzibar.

- Cóż można powiedzieć. Pojechałem. Czekałem kilka tygodni, zanim się pojawiła, ale nie mogłem się z nią spotkać i wróciłem do domu. Mimo tej całej wyprawy w ogóle jej nie widziałem.

- Co za rozczarowanie!

- Była w swoim pokoju. Nie pozwolili mi pójść do niej.

- Nie pozwolili?

- Jej towarzystwo. Była w towarzystwie czworga innych zmarłych. Była tam kobieta i trzech mężczyzn. Mieszkała w jednym pokoju z tym archeologiem Zachariasem. To on właśnie uniemożliwił mi spotkanie z nią i zrobił to bardzo sprytnie. Zachowywał się tak, jakby był jej właścicielem. Może i tak jest. Co możesz mi o tym powiedzieć, Framji? Czy zmarli zawierają związki małżeńskie? Czy Zacharias to jej nowy mąż?

- To bardzo wątpliwe. Pojęcia "żona" i "mąż" nie są używane wśród zmarłych.

Nawiązują stosunki wzajemne, ale nie łączą się w pary. Tworzą zamiast tego grupy

pseudorodzinne składające się z trzech, czterech, a nawet więcej osób, które...

- Czy chcesz powiedzieć, że jej czworo towarzyszy, którzy byli na Zanzibarze, to jej kochankowie?

Jijibhoi wykonał wiele mówiący gest.

- Któż może wiedzieć? Jeżeli masz na myśli znaczenie czysto fizyczne, to wątpię, ale nigdy nie można być pewnym. Wydaje się, że Zacharias jest jej specjalnym towarzyszem.

Pozostali mogą również należeć do jej pseudorodziny, może nie wszyscy, a może żadne z nich.

Mam podstawy, by twierdzić, że w pewnych sytuacjach każdy zmarły może powołać się na związki rodzinne z innymi. Któż może to wiedzieć? Widzimy postępowanie tych istot, jakbyśmy obserwowali je przez przydymione szkło. Niejasno.

- Ja nie zobaczyłem Sybille nawet w taki sposób. Nawet nie wiem, jak ona teraz wygląda.

- Nic nie straciła ze swej urody.

- To już mi mówiłeś. Chcę ją zobaczyć na własne oczy.

Ty nigdy nie zrozumiesz, Framji, jak bardzo chcę ją zobaczyć. Czuję ból nie mogąc...

- Chciałbyś zobaczyć ją w tej chwili? Klein aż zatrzęsł się ze zdumienia.

- Co?! Co to znaczy? Czy ona...

- Ukryła się w sąsiednim pokoju? Nie. Nic podobnego. Ale mam dla ciebie pewną niespodziankę. Chodź do biblioteki.

Uśmiechając się z dumą Jijibhoi poprowadził go z jadalni do sąsiadującego z nią niewielkiego gabinetu od sufitu do podłogi wypełnionego książkami w różnych językach - nie tylko we francuskim, angielskim i niemieckim, ale także w sanskrycie, hindi, gudżarati i w farszi. Języków tych Jijibhoi nauczył się żyjąc w niewielkiej społeczności parsów w Bombaju. Odsunąwszy na bok stos fachowych czasopism, wydobył lśniący sześcian holograficzny,

ruchem kciuka uaktywnił jego wewnętrzne światło i wręczył go Kleinowi.

Ostry, jasny obraz przedstawiał trzy postacie na rozległej, trawiastej równinie ciągnącej się bez końca, bez drzew, głązów i żadnych innych nierówności, jak nie kończący się zielony dywan pod pustym błękitnym niebem. Zacharias stał po lewej stronie. Nie patrzył w stronę kamery, ale w dół robiąc coś przy zamku ogromnej strzelby. Po prawej stronie stał krzepki, potężnie wyglądający mężczyzna o grubych rysach, ciemnych włosach i twarzy, w której dominowały nos i broda. Klein rozpoznał go. Był to Anthony Gracchus, jeden ze zmarłych, który towarzyszył Sybille na Zanzibarze. Sybille stała obok niego. Ubrana była w spodnie koloru khaki i białą bluzkę. Gracchus wyciągał rękę. Wyraźnie wskazywał jej cel, w który mierzyła ze strzelby prawie tak wielkiej, jak strzelba Zachariasas.

Klein obracał sześcianem, studiując jej twarz pod różnymi kątami, a oglądany obraz spowodował, że jego palce stały się jakby grube i niezgrabne, a powieki zaczęły drżeć. Jijibhoi mówił prawdę. Nic nie straciła ze swej urody. Nie była jednak wcale tą Sybille, którą znał. Kiedy widział ją po raz ostatni leżącą w trumnie, wydawała się bezbłędną marmurową kopią żywej Sybille. Teraz sprawiała to samo posągowe wrażenie. Jej twarz stanowiła maskę bez wyrazu, spokojna, odległa, obojętna. Jej oczy były lśniące i tajemnicze. Na ustach błąkał się słaby, zagadkowy, prawie nieuchwytny uśmiech. Przeraził się, widząc ją taką obcą i jakby nieznaną. Może to intensywność koncentracji nadawała jej tę odpychającą, marmurową powierzchowność, ponieważ wydawało się, że całą swoją uwagę skoncentrowała na czynności celowania. Przechylając sześcian Klein mógł zobaczyć, że mierzyła do ptaka nieco większego od indyka, poruszającego się w trawie w lewej, dolnej części obrazu. Ptak miał okrągłe, workowate ciało, popielate upierzenie z jaśniejszą piersią i ogonem, i żółto-białymi skrzydłami. Poruszał się na krótkich, komicznych, żółtych nogach. Miał ogromną głowę zakończoną czarnym, zakrzywionym dziobem. Wyglądał poważnie, nawet dystygowanie i nieco

absurdalnie. Nie zdawał sobie sprawy, jaki los go czeka. Jakie to dziwne, że Sybille miała właśnie go zabić. Zawsze była zdecydowanie przeciwna zabijaniu. Sybille - łowczyni. Sybille - księżycowa bogini. Sybille - Diana! Wstrząśnięty Klein spojrział na Jijibhoia.

- Gdzie to zdjęcie zrobiono? Chyba na safari w Tanzanii?

- Tak. W lutym. Ten człowiek na zdjęciu jest przewodnikiem, białym myśliwym.

- Widziałem go na Zanzibarze. Nazywa się Gracchus. Towarzyszył Sybille w podróży.

- Prowadzi rezerwat myśliwski położony niedaleko Kilimandżaro. Przeznaczony jest wyłącznie dla zmarłych. Jeden z bardziej niezwykłych przejawów ich subkultury. Polują tylko na te zwierzęta, które...

- Jak zdobyłeś to zdjęcie? - zapytał Klein niecierpliwie.

- Zrobiła je Nerita Trący, jedna z towarzyszek twojej żony.

- Spotkałem ją także na Zanzibarze. Ale jak...

- Jej przyjaciel jest moim znajomym, a raczej moim informatorem. Bardzo przydatne źródło w moich badaniach. Kilka miesięcy temu prosiłem go o coś takiego. Oczywiście nie powiedziałem mu, że potrzebuję je dla ciebie.

Jijibhoi spojrział uważnie na Kleina.

- Wydajesz się czymś zdenerwowany, przyjacielu. Klein skinął głową. Zamknął oczy, jak gdyby chciał je ochronić przed światłem padającym z sześcianu. W końcu powiedział bezbarwnym głosem:

- Muszę się z nią zobaczyć.

- Może byłoby jednak lepiej, gdybyś zrezygnował z...

- Nie!

- Czy w żaden sposób nie dasz się przekonać, że ta pogoń za urojeniem może być niebezpieczna.

- Nie - powiedział Klein. - Nawet nie próbuj. Muszę się z nią spotkać. Muszę.

- A jak masz zamiar to zrobić?

- Pojadę do Zimnego Miasta Zioń - powiedział Klein mechanicznie.

- Już raz tam byłeś. Nie wpuścili cię.

- Tym razem mnie wpuszczą. Nie wyrzucają zmarłych. Oczy parsy rozszerzyły się.

- Chcesz umrzeć? Czy na tym polega twój plan? Co ty opowiadasz, Jorge?

- Nie. Wcale nie mam takiego zamiaru - roześmiał się Klein.

- Nic nie rozumiem.

- Zakradnę się. Ucharakteryzuję się na zmarłego. Dostanę się do Zimnego Miasta tak, jak niewierny dostaje się do Mekki.

Klein chwycił Jijibhoia za rękę.

- Czy będziesz mógł mi pomóc? Czy nauczysz mnie ich zachowania, ich żargonu?

- Natychmiast cię rozszyfrują.

- Może nie. Może spotkam się z Sybille, zanim to nastąpi.

- To jest szaleństwo - powiedział Jijibhoi spokojnie.

- W każdym razie masz odpowiednią wiedzę. Pomożesz mi?

Delikatnie Jijibhoi wycofał rękę z uścisku Kleina, podszedł do półki i zaczął poprawiać ułożone tam książki. Wreszcie odezwał się:

- Nawet sobie nie mogę pomóc. Moja wiedza jest rozległa, ale nie dość głęboka. Jeżeli jednak będziesz nalegał, skontaktuję cię z kimś, kto może zdoła ci pomóc. To jeden z moich informatorów, zmarły, człowiek, który wyzwolił się i spod autorytetu ojców-kierowników.

Wywodzi się ze zmarłych, ale nie jest z nimi. Możliwe, że nauczy cię wszystkiego, czego będziesz potrzebował.

- Wezwij go - powiedział Klein.

- Muszę cię ostrzec, że nie można na nim polegać. Jest! nierówny, może nawet zdradziecki. W jego obecnym stanie! zwykle wartości ludzkie nie mają dla niego najmniejszego znaczenia.

- Wezwij go.

- Gdybym tylko mógł ci wyperswadować...

- Wezwij go.

Rozdział 5

Kłótnie prowadzą do kłopotów. W tym okresie lwy dużo ryczą. Radość następuje po smutku. To niedobrze bić dzieci. Lepiej odejść i iść do domu. Dziś nie można pracować.

Powinieneś chodzić codziennie do szkoły. Nie należy iść tą ścieżką. Przegradza ją woda. Nie przejmuj się, dam sobie radę. Wracajmy szybko. Te lampy zużywają zbyt wiele nafty. W Nairobi nie ma komarów. Nie ma tu lwów. Tu są ludzie. Szukają jaj. Czy w studni jest woda? Nie, nie ma. Jeżeli jest tylko troje ludzi, nie będzie można dzisiaj pracować.

D. V. Perrott, Teach Yourself Swahili

Gracchus daje gwałtowne sygnały tragarzom i wrzeszczy: - Shika njia hii hii! - Trzech zawraca, dwóch idzie dalej. - Ninyi nyote! - woła. - Fanga karna hivi! - Kręci głową, spluwa i ociera pot z czoła. Mówi ciszej, po angielsku, tak żeby tragarze go nie słyszeli:

- Róbcie, jak mówię, leniwe, czarne sukinsyny, albo przed wieczorem będziecie bardziej martwi niż ja!

- Czy zawsze odzywasz się do nich w ten sposób? - śmieje się nerwowo Sybille.

- Staram się postępować z nimi łagodnie, ale to nic nie daje. Chodź, dogonimy ich.

Niecała godzina minęła od wschodu słońca, ale jest już bardzo gorąco na równinie

rozciągającej się pomiędzy Kilimandzaro a Serengeti. Gracchus prowadzi swą grupę ku

północy, przez równinę pokrytą wysoką trawą, śladem kwagi. Torowanie drogi przez trawy to

ciężka praca i tragarze próbują skierować się ku wąwozowi, gdzie kępy ostrokrzewów rzucają upragniony cień. Gracchus musi bez przerwy pokrzykiwać na nich, aby szli drogą, którą wybrał. Sybille zauważyła, że Gracchus traktuje ich jak zwierzęta pociągowe i wyraża się o nich z pogardą, ale odniosła wrażenie, że -wszystko to robił na pokaz, żeby nie wyjść z roli białego myśliwego. Zauważyła również, że w sytuacjach, których miała nie oglądać, Gracchus stawał się łagodny i otwarty, żartując z tragarzami w płynnym swahili i wymieniając z nimi wesołe kuksańce. Tragarze również grali swą rolę. Zachowywali się w sposób typowy dla ich zawodu, zarówno z szacunkiem, jak i z wyższością podchodząc do klientów, występując na przemian w roli wszechwiedzących znawców buszu lub prostych, nieoświeconych dzikusów nadających się wyłącznie do dźwigania ciężarów. Klienci, których obsługują, nie są jednak zupełnie takimi samymi sportowcami, jak myśliwi z czasów Hemingwaya, ponieważ to zmarli, i w skrytości tragarze są przerażeni tymi dziwnymi istotami, którym służą. Sybille widziała, jak szepczą modlitwy i dotykają amuletów, jeżeli przez przypadek dotkną któregoś z zmarłych. Czasami też udało się jej dostrzec przypadkowe spojrzenie wyrażające nieklamany strach, a może nawet odrazę. Gracchus nie jest ich przyjacielem, mimo że z nimi żartuje. Wydają się traktować go jak jakiegoś przerażającego czarownika, a klientów jak uosobienie demonów.

Spoceni myśliwi prawie bez słowa idą jeden za drugim. Przodem idą tragarze ze strzelbami i zapasami, za nimi Gracchus, Sybille i Zacharias. Nerita coś bez przerwy fotografuje. Na końcu idzie Mortimer. Białe chmurki płyną powoli po bezkresnym niebie. Trawa jest bujna i gęsta, ponieważ krótka, grudniowa pora deszczowa była niezwykle obfita.

Niewielkie zwierzęta buszują w trawie i można dostrzec je przez ułamek sekundy - wiewiórki, szakale, perliczki. Od czasu do czasu można zobaczyć i większe zwierzęta. Trzy wyniosłe strusie, para hien, stadko gazeli Thompsona płynących jak brązowa rzeka przez równinę.

Wczoraj Sybille wypatrzyła dwa guźce, kilka żyraf i kilka dzikich kotów z wielkimi uszami, poruszających się z gracją jak miniaturowe gepardy. Na żadne z tych zwierząt nie wolno polować. Są tu specjalne zwierzęta sprowadzone przez strażników rezerwatu na potrzeby klientów. Naturalna fauna afrykańska, to znaczy wszystkie zwierzęta, które tu żyły, zanim zmarli wydzierżawili te tereny od Masajów, chronione są dekretem rządowym. Masajom wolno polować na lwy, ponieważ jest to ich rezerwat, ale Masajów jest tak mało, że nie mogą wyrządzić poważniejszych szkód. Wczoraj, po spotkaniu z guźcarni, ale zanim jeszcze wypatrzyła żyrafy, Sybille zobaczyła po raz pierwszy Masajów. Pięciu szczupłych, wysokich mężczyzn skąpo odzianych w czerwone uzaty, a pod nimi zupełnie nagich. Szli w ciszy przez busz. Często zatrzymywali się, stając w zadumie na jednej nodze i podpierając się dzidą. Z bliska okazali się mniej przystojni. Byli bezzębni, mieli przepukliny. Wokół nich unosiły się roje much. Proponowali sprzedaż dzid i naszyjników z pariorców za kilka szylingów.

Uczestnicy safari zaopatrzyli się już jednak w masajskie wyroby w sklepach pamiątkarskich Nairobi po zaskakująco wyższych cenach.

Przez cały rano podchodzili kwagi. Gracchus wskazywał na to ślady kopyt, a to świeży nawóz. To Zacharias chciał polować na kwagi.

- Skąd wiesz czy nie idziemy po śladach zebry? - pyta zirytowany.

- Możesz mi zaufać - mówi Gracchus, mrugając do Sybille. - Spotkamy także zebry, ale znajdziesz swoją kwagę, gwarantuję.

Ngiri, przywódca tragarzy, odwraca się i uśmiecha.

- Piga ąuagga m'uzuri, bwana - mówi do Zacharias i również mruga, ale zaraz, co

Sybille wyraźnie widzi, jego jowialny, pewny siebie uśmiech znika, jak gdyby odwagi starczyło mu tylko na chwilę, a w oczach pojawia się strach.

- Co on powiedział? - pyta Zacharias.

- Że ustrzelisz piękną kwagę - odpowiada Gracchus. Kwaga. Ostatnie dzikie zwierzę zabito około 1870 roku.

Na świecie pozostały tylko trzy samice w europejskich ogrodach zoologicznych.

Burowie wytepli to zwierzę prawie Całkowicie, polując na nie, żeby zdobyć mięso dla swoich hotentockich niewolników i pasiastą skórę do wyrobu worków na ziarno i do wyrobu butów nadających się do wędrówek po afrykańskich bezdrożach - veldschoen. Kwaga z londyńskiego ZOO zdechła w 1872 roku, z berlińskiego w 1875, a z amsterdamskiego w 1883 roku i od tej pory nikt nie widział żywej kwagi aż do roku 1990, kiedy to udało się odtworzyć gatunek poprzez dobór hodowlany i manipulacje genetyczne i otworzono rezerwat, gdzie mogła polować wybrana klientela.

Jest już prawie południe, a od rana nie padł jeszcze ani jeden strzał. Zwierzęta zaczęły szukać schronienia. Pojawia się znowu, gdy cienie wydłużają się. Czas na postój. Trzeba rozbić namioty, wydobyć z bagaży piwo i kanapki, znowu zacząć wspominać niebezpieczne przygody ze spotkań z rozszalałymi bawołami lub złośliwymi słoniami. Ale jeszcze nie zaraz. Wędrowcy dochodzą do szczytu niewysokiego wzgórza. W dolinie dostrzegają stado strusi i kilkaset pasących się zebra. Gdy pojawili się ludzie, strusie zaczęły oddalać się wolno i ostrożnie. Zebry zupełnie się nie bały. Pasły się nadal. Nigiri wskazuje ręką.

- Piga ąuagga, bwana.

- To stadko zebra - mówi Zacharias. Gracchus kręci przecząco głową.

- Nie. Posłuchaj. Czy słyszysz ten dźwięk?

Z początku nikt nie słyszy nic nadzwyczajnego, ale po chwili, tak! Sybille słyszy przenikliwe, szczekliwe rżenie, głos minionych czasów, głos zwierzęcia, którego nigdy przedtem nie słyszała. Jest to pieśń zmarłych. Nerita słyszy ją również. Słyszy ją Mortimer i wreszcie Zacharias. Gracchus wskazuje na oddalony koniec doliny. Tam, wśród zebra jest z pół

tuzina zwierząt, które mogłyby być uznane za zebry, ale nimi nie są. To niedokończone zebry z pręgami tylko na głowie i na przedniej części tułowia. Reszta tułowia ma kolor żółtawo-brązowy. Nogi mają białe, grzywy ciemnobrązowe z jaśniejszymi pasmami. Ich sierść lśni jak mika w blasku słońca. Od czasu do czasu podnoszą głowy, wydają dziwne, wibrujące, gwizdzące parsknięcia i znów schylają się ku trawie. Kwagi. Zwierzęta zabłąkane z przeszłości, zabytki, ożywione zjawy. Na sygnał Gracchusa grupa rozprasza się na grzbiecie wzgórza. Ngiri podaje Zachariasowi ogromną strzelbę. Zacharias przyklęka, celuje.

- Nie ma pośpiechu - mruczy Gracchus. - Mamy całe popołudnie.

- Czy ja wyglądam na kogoś, kto się spieszy? - pyta Skicharias.

Zebry przesuwiają się i zasłaniają kwagi. Zebry nie wolno mu zastrzelić. Inaczej byłyby kłopoty ze strażnikami rezerwatu. Mijają minuty. Nagle zasłona zebr otwiera się i Zacharias naciska spust. Huk eksplozji. Zebry rozbiegają się we wszystkie strony, aż oczy bolą od gwałtownego stroboskopowego efektu czarnych i białych pasów. Kiedy zamieranie mija, dostrzegam, że jedna kwaga leży na boku sama w pustej dolinie. Przeszła na drugą stronę. Sybille patrzy ze spokojem. Śmierć dawniej ją przerażała, śmierć jakiegokolwiek rodzaju. Teraz już nie.

- Piga m'uzuri! - krzyczą w podnieceniu tragarze.

- Kufa - mówi Gracchus. - Dobry strzał. Masz swoją zdobycz.

Ngiri szybko obdziera zwierzę ze skóry. Tego wieczora, obozując u podnóża Kilimandżaro, zmarli i tragarze jedzą pieczoną kwagę. Mięso jest soczyste, jędrne, lekko czuć je dymem.

*

Późnym popołudniem następnego dnia, kiedy wędrowali terenami nieco chłodniejszymi, poprzecinanymi licznymi strumieniami i pokrytym szarozielonymi,

przysadzistymi drzewami, natknęli się na potwora, kosmate, niezgrabne zwierzę, wysokie na dwanaście czy piętnaście stóp, stojące na tylnych, potężnych nogach i podpierające się niezmiernie grubym, ciężkim ogonem. Zwierzę opierało się o drzewo i zagarniało jego gałęzie długimi, przednimi nogami zakończonymi groźnie wyglądającymi pazurami, podobnymi do małych sierpów. Jadło łąpczywie liście i gałązki. Gdy ich zauważyło, zaczęło przyglądać się im małymi, żółtymi, głupimi oczkami, a następnie wróciło do przerwane go posiłku.

- Rzadkość - wyjaśnił Gracchus. - Znam myśliwych, którzy przemierzyli cały rezerwat i nie natrafili na to zwierzę. Czy widzieliście kiedykolwiek coś podobnie brzydkiego?

- Co to jest? - pyta Sybille.

- Megaterium. Ogromny leniwiec. Właściwie pochodzi z Południowej Ameryki, ale nie przejmowaliśmy się specjalnie geografją, kiedy wprowadzaliśmy zwierzęta do rezerwatu.

Mamy ich tylko cztery i nawet nie wiem, ile tysięcy dolarów kosztuje upolowanie jednego. Nikt jeszcze nie chciał na nie polować i wątpię, czy kiedykolwiek zapoluje.

Sybille zastanawia się, gdzie takie zwierzę należałoby trafić. Na pewno nie w ten maleńki, otępiały mózdzek. Zastanawia się również, jakiego rodzaju myśliwy znalazłby przyjemność zabijając je. Tymczasem powolny potwór rozdziera drzewo na strzępy. Ruszają dalej.

*

O zachodzie słońca Gracchus pokazuje im następną ciekawostkę - białawą kopułę widoczną w kępie gęstej trawy przy strumieniu.

- Jajo strusia? - zgaduje Mortimer.

- Blisko. Bardzo blisko. To jajo ptaka moa z Nowej Zelandii. Wyginęły w osiemnastym wieku.

Nerita schyla się i delikatnie puka w skorupę jaja.

- Cóż za omlet można by z tego zrobić!

- Starczyłoby na siedemdziesiąt pięć osób - wyjaśnia Gracchus. - Jajo zawiera dwa galony płynu. Nie powinniśmy jednak go ruszać. Przyrost naturalny jest bardzo ważnym czynnikiem utrzymania rezerwatu.

- A gdzie jest mama moa? - pyta Sybille. - Czy powinna tak zostawiać to jajo?

- Moa nie są zbyt inteligentne. Prawdopodobnie dlatego wyginęły. Musiała pójść coś zjeść i...

- O Boże! - bełkoce Zacharias.

Mama moa wróciła, wyłaniając się nagle z krzaków. Stoi nad nimi jak pierzasta góra oświetlona blaskiem wieczoru. Podobna do strusia, do ogromnego strusia, strusia strusi.

Wysoka na dwanaście stóp. Ciężkie, okrągłe ciało wsparte na nogach potężnych jak konary drzewa. Długa, gruba szyja. Zupełnie jak ptak rukh, który mógł unieść w szponach słonia, widziany przez Sindbada Żeglarza. Ptak ze smutkiem przygląda się grupce niewielkich istot zebranych wokół jaja. Wygina szyję, jak gdyby szykował się do ataku. Zacharias sięga po jedną ze strzelb, ale Gracchus powstrzymuje go, ponieważ moa wyraża w ten sposób jedynie swój protest. Wydaje głęboki, ponury dźwięk i nie porusza się.

- Cofajcie się powoli - mówi Gracchus. - Nie zbliżajcie się do nóg. Kopnięcie może zabić.

- Już chciałem prosić o wydanie licencji na odstrzał moa - mówi Mortimer.

- Polowanie na nie to żadna przyjemność - odpowiada Gracchus. - Zazwyczaj stoją i pozwalają do siebie strzelać. Masz licencję na coś lepszego.

*

Mortimer wykupił licencję na tura, dawno wytępionego bawoła puszczy europejskiej, znanego Cezarowi i Pliniuszowi. Polował na niego Siegfried. Wytępiono go ostatecznie w 1627

roku. Równiny Afryki Wschodniej nie są najlepszym środowiskiem dla turów. Stado stworzone przez nekrogenetyków trzymało się więc zalesionych terenów wyżynnych oddalonych o kilka dni marszu od rejonu polowań na kwagi i leniwce. W gęstym lesie myśliwi napotykają stadka krzykliwych pawianów, samotne słonie, a w miejscu, gdzie słońce przedzierało się przez korony drzew, widzą samca antylopy bongo o wspaniałych, wygiętych rogach. Gracchus prowadzi ich coraz głębiej w las. Wydaje się spięty. Czuje niebezpieczeństwo. Tragarze prześlizgują się wśród drzew jak czarne duchy. Rozproszyli się po lesie i porozumiewają się między sobą i z Gracchusem gwizdami. Wszyscy trzymają broń w pogotowiu. Sybille spodziewa się, że w każdej chwili ujrzy lamparta przyczajonego wśród gałęzi lub węża pełzającego wśród trawy. Nie boi się jednak.

Zbliżają się do polany.

- Tury - mówi Gracchus.

Około tuzina turów obgryza krzewy. Wielkie, długorogie zwierzęta o krótkiej sierści.

Muskularne i czujne. Czują zapach myśliwych. Podnoszą ciężkie głowy, węszą, wypatrują.

Gracchus i Ngiri porozumiewają się mrugnięciami.

- Za dużo ich - szepce Gracchus do Mortimera. - Poczekajmy, aż stado się rozejdzie.

Mortimer uśmiecha się. Wygląda na zdenerwowanego. Wiadomo, że tury potrafią zaatakować bez ostrzeżenia. Cztery, pięć, sześć zwierząt oddala się. Inne przesuwiają się na skraj polany, jak gdyby odbywały naradę wojenną. Jeden byk toczący wokół gniewnym, ponurym wzrokiem pozostaje jednak na miejscu. Gracchus unosi się na palcach. Jego krępe ciało kojarzy się Sybille ze studium ruchu i gotowości.

- Teraz! - mówi.

W tej samej chwili byk zaczyna atak. Porusza się z niezwykłą szybkością, ze schyloną głową. Wysunięte do przodu rogi wyglądają jak dwie dzidy. Mortimer strzela. Słychać głośnie

uderzenie kuli. Trafienie w łopatkę. Wspaniały strzał. Zwierzę jednak nie pada i Mortimer strzela ponownie. Tym razem mniej celnie. Trafienie w brzuch. Gracchus i Ngiri również strzelają, jednak nie do tura, którego wybrał Mortimer, ale ponad głowami stada, żeby je rozproszyć. Taktyka przynosi owoce. Zwierzęta cwałują w głąb lasu. Tur Mortimera wciąż szarżuje w jego kierunku, chwieje się jednak, traci rozpęd, pada prawie u jego stóp, tarza się, ryje trawę kopytami.

- Kufa - mówi Ngiri. - Piga nyati m'uzuri, bwana.

- Piga - uśmiecha się Mortimer.

- To bardziej podniecające niż polowanie na moa - mówi Gracchus i salutuje

Mortimerowi.

*

- One są moje - mówi Nerita trzy godziny później, wskazując na drzewo stojące na skraju lasu. Kilkaset dużych gołębi rozsiadło się na jego gałęziach. Było ich tak wiele, iż zdawało się, że na drzewie rosną gołębie, a nie liście. Samiczki są gładko upierzone, mają jasnobrązowe grzbiety i szare brzuszki. Samce są znacznie bardziej kolorowe. Mają lśniące, błękitne pióra na skrzydłach i grzbietach, piersi czerwono-brązowe z opalizującymi zielonymi i brązowymi cętkami na szyi. Ich oczy były niesamowite, ruchliwe i pomarańczowe.

- Tak - stwierdza Gracchus. - Znalazłaś swoje gołębie wędrownie.

- Co to za przyjemność strzelać do gołębi siedzących na drzewie? - pyta Mortimer.

Nerita patrzy gniewnie na niego.

- Co to za przyjemność strzelać do szarżującego byka? Daje sygnał Ngiri, który strzela w powietrze. Przerażone gołębie zrywają się z gałęzi i krążą nisko nad ziemią. W dawnych czasach, sto, sto pięćdziesiąt lat temu, nikt nie przejmował się koniecznością strzelania do gołębi wędrownych tylko w locie. Gołębie były pokarmem, a nie sportem w lasach Ameryki

Północnej. Łatwiej było strzelać do gołębi siedzących i jeden myśliwy mógł w ten sposób zabić ich tysiące. Wystarczyło tylko pięćdziesiąt lat, żeby zredukować populację gołębi wędrownych, których miliardowe stada potrafiły całkowicie przysłonić niebo. Nerita postępuje po sportowemu. Ostatecznie jest to próba jej umiejętności. Celuje, strzela, ładuje, strzela, ładuje. Ptaki spadają na ziemię. Nerita i strzelba stanowią jedność. Łączą się w jednym zadaniu. Po chwili wszystko się kończy. Tragarze zbierają ptaki z ziemi. Nerita ma licencję na dwanaście gołębi - parka zostanie wypchana, inne przeznaczy się na dzisiejszą kolację. Ocalałe gołębie wróciły na drzewo i patrzą spokojnie, bez wyrzutu na myśliwych.

- Bardzo szybko się rozmnażają - mruczy Gracchus. - Jeżeli nie będziemy uważać, wydostaną się z rezerwatu i rozplenią po całej Afryce.

- Nie martw się. Damy sobie radę - śmieje się Sybille. - Raz już się nam udało je wytępić, to i drugi raz się uda, jak się postaramy.

*

Sybille wybrała dodo. W Dar, kiedy występowali o licencje, jej towarzysze śmiali się z dokonanego przez nią wyboru. Dodo był to tłusty bezłot nie potrafiący szybko biegać ani walczyć, a przy tym tak głupi, że nie bał się niczego. Zignorowała ich. Chciała upolować dodo, ponieważ dla niej był to symbol zagłady, uosobienie wszystkiego, co martwe i zaprzepaszczone. W polowaniu na głupiego dodo nie ma nic ze sportu, ale to nie miało większego znaczenia dla Sybille. Samo polowanie również.

Przez wielki rezerwat wędruje jak we śnie. Widzi leniwce, wielkie alki, kwagi, ptaki moa, cietrzewie, nosorożce Javana, ogromne pancerniki i wiele innych rzadkich okazów. To miejsce jest pełne duchów. Umiejętności nekrogenetyków są nieograniczone. Może pewnego dnia rezerwat zaroi się trylobitami, tyranozaurami, mastodontami, afrykańskimi tygrysami, a może nawet grupami australopiteków i plemionami neandertalczyków. Wszystko to dla roz-

rywki zmarłych, których zabawy bywają ponure. Sybille zastanawia się, czy rzeczywiście można to nazwać zabijaniem. Przecież są to produkty laboratoriów. Czy te zwierzęta są prawdziwe, czy sztuczne? Czy to są istoty żyjące, czy przemysłnie uruchomione konstrukcje? Są prawdziwe - decyduje Sybille. Żyją, podlegają metabolizmowi, rozmnażają się. Dla nich samych są rzeczywistością. Są może jeszcze bardziej rzeczywistą rzeczywistością niż ożywieni zmarli, którzy krążą po świecie w swych odrzuconych niegdyś ciałach.

- Strzelba - mówi Sybille do najbliższego tragarza. Tam jest ten ptak. Brzydki, śmieszny, przedzierający się

z trudem przez wysokie trawy. Sybille bierze strzelbę i celuje.

- Poczekaj - woła Nerita. - Chciałabym zrobić ci zdjęcie.

Odsuwa się od grupy z przesadną ostrożnością, żeby nie spłoszyć dodo. Ptak jednak chyba nie zdaje sobie sprawy z ich obecności. Jak emisariusz z krainy ciemności, niosący radosną nowinę o śmierci istotom jeszcze nie wytępionym, idzie im naprzeciw.

- Świetnie - mówi Nerita. - Anthony, wskaż ręką na dodo, jakbyś go w tej chwili zobaczył. Kent, chciałabym, żebyś patrzył na swoją strzelbę, jakbyś zaglądał w zamek, czy coś takiego. Świetnie. I jeszcze, Sybille, utrzymaj tę pozycję, celuj... właśnie tak! Nerita robi zdjęcie.

Sybille strzela zachowując całkowity spokój.

- - Kazi imekwisha - mówi Gracchus. - Robota skończona.

Rozdział 6

Chociaż koncentracja na własnej osobowości jest w najlepszym przypadku kłopotliwa, podobnie jak przekraczanie granicy z pożyczonymi dokumentami, wydaje się jedynym koniecznym warunkiem dla nabrania szacunku dla samego siebie. Niezależnie od całej naszej banalności, oszukiwanie samego siebie pozostaje najtrudniejszą formą oszustwa. Sztuczki,

które wywierają wrażenie na innych, nie mają najmniejszego znaczenia w dobrze oświetlonym wnętrzu, w którym rozprawiamy się sami ze sobą. Uprzejme uśmiechy czy dobre zamiary nic tu nie pomogą.

Joan Didniou, On Self-Respect

- Lepiej, żeby pan uwierzył w to, co mówi Jeej - powiedział Dolorosa. - Dziesięć minut w Zimnym Mieście i znajdą pana, może nawet pięć minut.

Człowiek, którego przyprowadził Jijibhoi, był niski, niechlujny, z długimi, rozczochranymi włosami i ognistymi oczyma. Miał czterdzieści, może pięćdziesiąt lat. Skóra jego była ziemista, a twarz wychudła. Zmarli, których Klein widział z bliska, otoczeni byli aurą nieziemskiego spokoju. Ten - nie. Dolorosa był spięty, niespokojny, miał ruchliwe dłonie, wciąż przygryzał wargę. Nie było jednak wątpliwości, że był zmarłym, podobnie jak Zacharias, jak Gracchus, jak Mortimer.

- Co zrobią? - spytał Klein.

- Złapią. Złapią. Będą wiedzieli, że nie jesteś zmarłym. Tego nie da się podrobić. O

Jezu! Czy nie rozumiesz po angielsku? Jorge to obce imię. Powinienem wiedzieć od razu. Skąd pan pochodzi?

- Z Argentyny, ale przyjechałem do Kalifornii w pięćdziesiątym piątym roku, kiedy byłem małym chłopcem. Jeżeli mnie złapią, to trudno. Chciałbym się po prostu tam dostać i przez pół godziny porozmawiać z moją żoną.

- Pan już nie ma żony.

- Z Sybille - powiedział Klein tracąc nadzieję. - Chciałbym porozmawiać z Sybille, moją... moją byłą żoną.

- Dobrze, wprowadzą pana.

- Ile to będzie kosztować?

- Proszę o tym nie myśleć - powiedział Dolorosa. - Jestem wiele winien Jijibhoiowi.

Bardzo wiele. Zorganizuję narkotyki...

- Narkotyki?

- Narkotyki, jakiego używają agenci skarbowi, infiltrując Zimne Miasta. Zwąza źrenice i naczynia włoskowate. Po zażyciu człowiek wygląda jak zmarły. Agentów zawsze łapią i wyrzucają. To samo zrobią z panem. Będzie pan jednak miał przynajmniej poczucie, że jest pan odpowiednio zamaskowany. Jedna kapsułka codziennie rano przed jedzeniem.

- Dlaczego agenci skarbowi infiltrują Zimne Miasta? - spytał Klein patrząc na Jijibhoia.

- Z tego samego powodu, dla którego infiltrują inne miejsca - wyjaśnił Jijibhoi. - Na przeszpiegi. Chcą skompletować dane na temat operacji finansowych prowadzonych przez zmarłych. Widzi pan, dopóki Kongres nie zatwierdzi nowego ustawodawstwa dotyczącego zdefiniowania pojęcia osoby żyjącej, nie ma możliwości, by zmusić osobę oficjalnie uznaną za zmarłą do wywiązywania się...

- A teraz sprawy podstawowe - wtrącił się Dolorosa. - Mogę uzyskać dla pana kartę stałego pobytu w Zimnym Mieście Albany w stanie Nowy Jork. Umarł pan w grudniu. Został pan ożywiony na wschodzie, ponieważ... zastanówmy się...

- Mogłem uczestniczyć w dorocznym spotkaniu Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego - zasugerował Klein. - To właśnie robię. Jestem profesorem historii najnowszej na uniwersytecie kalifornijskim w Los Angeles. Ze względu na okres świąteczny moje ciało nie mogło być przesłane do Kalifornii z braku miejsca. Dlatego skierowano mnie do Albany. Czy to brzmi prawdopodobnie?

- Lubi pan wymyślać kłamstwa, panie profesorze? - uśmiechnął się Dolorosa. -

Wyczuwani tę umiejętność u pana. Dobrze. Zimne Miasto Albany. To jest pierwszy pański wyjazd. Na wysuszenie, tak jak motyl suszy się po wyjściu z poczwarki. Jest pan mięciutki i

wilgotny, sam w nieznanym miejscu. Będzie się pan musiał dużo nauczyć o sposobie zachowania, zwyczajach, życiu w społeczeństwie i o innych bzdurach. Zajmiemy się tym jutro, we środę i w piątek. Trzy lekcje powinny wystarczyć. A teraz sprawy podstawowe. Będąc w Zimnym Mieście, trzeba pamiętać o trzech rzeczach. Po pierwsze, nigdy nie należy zadawać bezpośrednich pytań. Po drugie, nigdy nie należy nikogo dotykać. Po trzecie, należy pamiętać, że dla zmarłego cały wszechświat jest fantazją. Nie ma nic rzeczywistego, nic nie ma większego znaczenia. Wszystko jest żartem, tylko żartem, przyjacielu, tylko żartem.

*

W początkach kwietnia Klein poleciał do Salt Lake City, wynajął samochód i wyruszył w kierunku płaskowyżu otoczonego czerwonymi wzgórzami, gdzie zmarli zbudowali Zimne Miasto Zion. Była to już jego druga wizyta w nekropolii. Poprzednim razem był tu późnym latem 1991 roku. Był to upalny, suchy okres, kiedy słońce wydawało się wypełniać pół nieboskłonu i nawet poskręcane jałowce wydawały się półprzytomne z pragnienia. Tym razem było mroźne popołudnie i słabe, blade światło przesączało się znad wzgórz. Porywy wiatru niosły ze sobą lekki śnieg przez stalowobłękitne powietrze. Instrukcje, jakich udzielił mu Jijibhoi, miał wypisane w elektronicznym notatniku na tablicy rozdzielczej. Czternaście mil za miastem wąska szosa odchodziła w bok od głównej drogi. Przy skrzyżowaniu niewielki znak oznajmiający: DROGA PRYWATNA. ZAKAZ WJAZDU. Tysiąc jardów dalej kolejny znak: ZIMNE MIASTO ZION. TYLKO DLA CZŁONKÓW. Dalej droga była zamknięta. Przecinał ją promień zielonego światła - skaner. Zapory wysunęły się jak dwie kosy z asfaltu. Głos z niewidocznego głośnika oznajmił:

- Jeżeli masz pozwolenie na wjazd do Zimnego Miasta Zien, umieść je z lewej strony pod wycieraczką.

Poprzednim razem nie miał pozwolenia. Dalej nie dotarł. Dowiedział się jednak z

krótkiej rozmowy z niewidzialnym odźwiernym, że Sybille mieszkała właśnie tu, w Zimnym Mieście Zioń. Tym razem wsunął pod wycieraczkę sfalszowany dokument dostarczony przez Dolorosę i czekał w napięciu. Po trzydziestu sekundach zapory cofnęły się. Ruszył dalej drogą wijącą się przez gęsty las rozczochranych sosen i dotarł w końcu do ceglanego muru, który niknął wśród drzew po obu stronach, jak gdyby otaczał całe miasto. Prawdopodobnie tak rzeczywiście było. Klein odnosił wrażenie, że Zimne Miasto Zioń było hermetyczne, ogromne i zamknięte jak starożytny Egipt. W murze była metalowa brama. Zielone, elektroniczne oczy przyjrzały mu się dokładnie, zasygnalizowały aprobatę i brama otworzyła się.

Prowadził samochód powoli w kierunku śródmieścia. Mijał dzielnicę, w której przeważały budynki gospodarcze - składy, podstacja energetyczna, wodociągi. Ponure, jednopiętrowe bloki z żużla, bez okien. Wjechał w dzielnicę mieszkaniową. Niewiele się różniła. Ulice wytyczono prosto, budynki były przysadziste, smętne, bezosobowe, jednolite. Praktycznie nie było ruchu samochodowego. Minał kilkanaście przecznic i spotkał zaledwie około dziesięciu przechodniów. Nie spojrzeli nawet na niego. Tak zatem wyglądało środowisko, w którym zmarli zamierzali spędzić swoje drugie życie. Dlaczego taka zamierzona brzydota? Nigdy nas nie zrozumiesz - ostrzegł Dolorosa. Miał rację. Jijibhoi powiedział mu, że Zimne Miasta nie były piękne. Na to jednak Klein nie był przygotowany. Miejsce to było zimne, jak gdyby skute lodem. Cisza, sterylność, spokój kostnicy. Zimne Miasto - to dobrze wybrana nazwa. Z punktu widzenia architektury miasto wyglądało jak najgorsze tanie i niechlujne osiedle, a nastrój w nim panujący wywoływał przygnębienie, podobnie jak osiedla dla emerytów, w których stały różne Krainy Odpoczynku czy Słoneczne Pałace, pozbawione dzieci i radości skupiska, gdzie ci jeszcze żyjący, ale już u progu śmierci oczekiwali na ostatni sygnał. Kleina przebiegł dreszcz.

*

Po kilku minutach jazdy w kierunku śródmieścia Klein dostrzegł pierwsze oznaki ożywienia. Dom towarowy, zespół budynków o płaskich dachach pokrytych brązowym tynkiem, zbudowanych w kształcie litery U. Po utworzonym w ten sposób dziedzińcu kręcili się kupujący. Dobrze. Jego pierwsza próba miała się rozpocząć. Zaparkował samochód u wylotu dziedzińca i ruszył niepewnie w kierunku wejścia. Czuł się tak, jak gdyby na jego czole widniały napisy z ognistych liter: OSZUST, INTRUZ, PODGLĄDACZ, SZPIEG.

No już - pomyślał. Złapcie mnie, złapcie oszusta i skończcie z tym. Wyrzućcie mnie stąd, powieście albo ukrzyżujcie. Zdawało się jednak, że nikt nie odbiera tych sygnałów. Całkowicie go ignorowano. Przez uprzejmość? A może nim pogardzano? Dyskretnie przyglądał się kupującym, mając nieśmiałą nadzieję, że może od razu spotka Sybille. Wszyscy wyglądali jak lunatycy poruszający się w ciszy, zaprzątnięci swoimi sprawami. Żadnych uśmiechów, żadnych rozmów. Zimna obojętność tych zapatrzonych w siebie ludzi nadawała zwyczajnej atmosferze podmiejskiego domu towarowego surrealistycznej intensywności.

Norman Rockwell z domieszką Dalego lub De Chirico. Dom towarowy wyglądał jak wszystkie inne domy towarowe. Odzież, filia banku, stoisko muzyczne, bar, stoisko z kwiatami, sprzęt elektroniczny, mała sala kinowa. Była tylko jedna różnica, którą dostrzegał w miarę, jak przechodził od stoiska do stoiska. Wszystko było zautomatyzowane. Nigdzie nie było sprzedawców, wszędzie były natomiast ekrany informacyjne i niewątpliwie kamery dla odstraszenia złodziei (a może impuls skłaniający ludzi do kradzieży zanikał wraz z pierwszą śmiercią ciała?). Klienci sami wybierali towary, zgłaszali się przy ekranach informacyjnych i zostawiali odcisk kciuka na płytkach obciążających automatycznie ich rachunek. Oczywiście! Nikt przecież nie chciał zmarnować swego wznowionego życia stojąc za kontuarem i sprzedając tenisówki lub watę na patyku. Mieszkańcy Zimnych Miast nie chcieli również naruszać swojej izolacji wynajmując żywych jako siłę roboczą. Ktoś ”jednak musiał tu pracować, bo skąd się

wzięły towary w sklepie? Ogólnie biorąc jednak, czego nie można było zrobić przy pomocy maszyn, nie robiono wcale.

Przez dziesięć minut błąkał się po domu towarowym. Kiedy już zaczął myśleć, że jest chyba niewidoczny dla tych ludzi, zatrzymał się przed nim niski mężczyzna o szerokich barach. Był łysy, ale twarz miał niezwykle młodą.

- Jestem Pablo. Witamy w Zimnym Mieście Zioń.

To nagłe przerwanie ciszy wytrąciło Kleina z równowagi, tak że jedynie z wysiłkiem zachował właściwą zmarłym obojętność. Pablo uśmiechał się ciepło i podał Kleinowi obydwie ręce w przyjaznym powitaniu, ale jego oczy były zimne, wrogie, zapatrzone w przestrzeń i stanowiły wyraźne zaprzeczenie miłego powitania.

- Prysłano mnie, żebyś zaprowadził cię na kwaterę. Chodźmy do samochodu.

Poza wskazywaniem kierunku Pablo odezwał się tylko trzykrotnie podczas pięciominutowej jazdy.

- Tutaj jest dom ożywień - powiedział wskazując pięciopiętrowy, brązowy budynek przypominający szpital. Okna budynku były czarne jak onyks.

- To jest dom ojca-kierownika - odezwał się po chwili. Był to skromny budynek z cegiel usytuowany na skraju parku.

- Tu będziesz mieszkał - powiedział wreszcie. - Baw się dobrze.

Wysiadł z samochodu i oddalił się szybkim krokiem.

*

Był to dom dla ludzi sobie obcych, hotel dla podróżujących zmarłych. Długi, betonowy budynek, funkcjonalny i pozbawiony wszelkich dekoracji, jeden z najmniej atrakcyjnych budynków w tym mieście zimnych, nieprzyjemnych domów. Niezależnie od innych upodobań, zmarli na pewno nie interesowali się architekturą. Głos płynący z ekranu informacyjnego

umieszczonego w urządzonym po spartańsku hallu skierował go do właściwego pokoju. Pokój był kwadratowy, wysoki, miał ściany pomalowane na biało. Była też łazienka. Pokój był wyposażony w ekran informacyjny, wąski tapczan, komodę, niewielką szafę. Z małego okna roztaczał się widok na podobny, brzydki budynek. Nie powiedziano nic o opłatach. Może był gościem miasta? W ogóle nic mu nie powiedziano. Wydawało się, że został zaakceptowany. Ponure przepowiednie Jijibhoia, że natychmiast zostanie rozszyfrowany, nie sprawdziły się, podobnie jak ostrzeżenia Dolorosy, że złapią go, zanim upłynie dziesięć minut. Był w Zimnym Mieście Zion już ponad pół godziny. Jeszcze go nie złapali.

*

- Jedzenie nie jest dla nas ważne - powiedział Dolo-rosa.

- Ale przecież coś jecie?

- Oczywiście, jemy, ale to nie jest ważne.

Dla Kleina jednak było ważne. Nie potrzebował nic wyszukanego, ale chciał coś zjeść.

Potrzebował coś zjeść trzy razy dziennie. Był głodny. Zadzwoić na obsługę? W tym mieście nie było obsługi. Zwrócił się do ekranu informacyjnego. Przypomnił sobie zasadę wpajaną mu przez Dolo-rosę: nigdy nie zadawać bezpośredniego pytania. Nie dotyczyło to chyba ekranów informacyjnych, a tylko innych zmarłych. Nie musiał przestrzegać zasad dobrego zachowania w rozmowie z komputerem. Głos odpowiadający z ekranu może jednak wcale nie był głosem komputera. Postanowił zatem stosować ten sam styl rozmowy, jaki preferowali zmarli we wzajemnych stosunkach.

- Kolacja?

- W kantynie.

- Gdzie?

- Czwarta Centralna - odpowiedział ekran.

Czwarta Centralna? Dobrze. Znajdzie drogę. Przebrał się i ruszył wyłożonym plastikiem korytarzem w kierunku wyjścia. Zapadła już noc. Płonęły lampy uliczne. Po zmroku brzydota miasta nie była aż tak widoczna i było nawet coś pięknego w brutalnej regularności ulic.

Ulice były jednak nie oznakowane i opuszczone. Klein szedł bez celu przez dziesięć minut w nadziei, że spotka kogoś idącego do kantyny przy Czwartej Centralnej. Kiedy jednak wreszcie spotkał kogoś, a była to wysoka, pełna godności starsza kobieta, nie mógł zdobyć się na zadanie jej pytania (nigdy nie zadawać bezpośrednich pytań, nigdy nikogo nie dotykać). Szedł za nią w milczeniu przez chwilę, dopóki nie skręciła i nie weszła do któregoś z domów. Przez dalsze dziesięć minut znowu błąkał się samotnie. To głupio - pomyślał. Przecież martwy czy żywy jestem przyjezdny. Należy mi się jakaś pomoc. Może Dolorosa chciał tylko skomplikować sytuację? Za następnym rogiem Klein dostrzegł mężczyznę kryjącego się przed wiatrem i zapalającego papierosa. Podszedł do niego śmiało.

- Przepraszam, ale... Tamten spojrzał na niego.

- Klein? Tak, oczywiście! To i ty przeszedłeś na tę stronę!

Był to jeden z towarzyszy Sybille z Zanzibaru. Ten ostry facet o bystrym spojrzeniu...

Mortimer. Członek jej pseudo-rodzinnej grupy, czy jak się to nazywało. Klein patrzył na niego niechętnie. To musiała być ta chwila, kiedy jego oszustwo zostanie wykryte. Minęło zaledwie sześć tygodni, kiedy rozmawiał z nim w ogrodach hotelowych w Zanzibarze. Chyba za mało, żeby umrzeć, zostać ożywionym i przygotowanym do nowego życia. Minęła jednak dłuższa chwila, a Mortimer nic nie powiedział. Wreszcie Klein odezwał się pierwszy.

- Dopiero co przyjechałem. Pablo zaprowadził mnie na kwaterę, a teraz szukam kantyny.

- Na Czwartej Centralnej. Właśnie tam idę. Masz szczęście.

Żadnego śladu podejrzenia. Może jedynie ten nieuchwytny uśmiezek świadczył, że domyślał się, iż Klein nie był tym, za kogo się podawał (pamiętaj, że dla zmarłego cały wszechświat jest sztuczny; to tylko żart).

- Czekam na Neritę - powiedział Mortimer. - Możemy razem pójść na kolację.

- Zostałem ożywiony w Zimnym Mieście Albany - powiedział Klein. - Właśnie stamtąd jadę.

- To fajnie - zgodził się Mortimer.

Nerita Trący wyszła z pobliskiego budynku. Szczupła, wysportowana kobieta około czterdziestki z krótko przystrzyżonymi, rudymi włosami.

- To jest Klein - powiedział Mortimer, gdy zbliżyła się. - Spotkaliśmy go na Zanzibarze, a teraz przyjechał z Albany po ożywieniu.

- Sybille się ucieszy.

- Czy ona jest tutaj? - wybełkotał Klein.

Mortimer i Nerita wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Klein czuł się zmieszany.

Nigdy nie zadawaj bezpośrednich pytań. Cholerny Dolorosa!

- Wkrótce ją zobaczysz - powiedziała Nerita. - Idziemy na kolację?

*

Kantyna była urządzona mniej surowo, niż Klein oczekiwał. Była to całkiem przyjemna restauracja rozmieszczona na czterech czy pięciu poziomach rozdzielonych ciemnymi, lśniącoymi kotarami tworzącymi wydzielone pomieszczenia. Tworzyło to ciepły, bogaty nastrój tropikalnej miejscowości wypoczynkowej. Żywność pochodząca z automatów serwujących w formie gotowych dań była bez smaku i stanowiła przykry kontrast. To tylko żart, przyjacielu, to tylko żart. Okazało się, że był mniej głodny, niż wydawało mu się w hotelu. Siedział z Mortimerem i Nerita, skubiąc jedzenie, podczas gdy rozmowa płynęła wokół tematów, na

których nie mógł skoncentrować myśli. Rozmawiali urywanymi i zawiłymi zdaniami, używali ozdobników, parafraz, przenośni i porównań. Ich retoryka utrzymywała go w zakłopotaniu i taki bez wątpienia był ich zamiar. Od czasu do czasu porzucali gąszcz retoryki, żeby ukłóć go jakąś uwagą. Prawda? - mówili. On uśmiechał się i kiwał głową, kiwał głową i uśmiechał się i mówił: tak, tak, oczywiście. Czy wiedzieli, ie był oszustem i tylko się nim zabawiali, czy też w jakiś niezrozumiały sposób uznali go za jednego z nich? Postępowali tak subtelnie, że nie mógł się zorientować. Nowo ożywiony członek społeczności zmarłych - pomyślał - byłby tu tak samo zagubiony, jak i żyjący.

Wtedy odezwała się Nerita, porzucając wszelkie słowne zabawy:

- Wciąż bardzo za nią tęsknisz, prawda?

- Tak. Pewne rzeczy nigdy się nie kończą.

- Wszystko się kończy - powiedział Mortimer. - Dodo, tury, święte Cesarstwo

Rzymskie, dynastia Tang, mury Bizancjum, język Mihendzo-Daro.

- Ale trwają piramida Cheopsa, Jangcy, czaszka pitekantropa - sprzeciwił się Klein. -

Niektóre rzeczy trwają, niektóre można odtworzyć. Odcyfrowano zapomniane języki. Obecnie poluje się na dodo i tura w jednym z rezerwatów afrykańskich.

- To są repliki - powiedział Mortimer.

- Przekonywające repliki, nie gorsze od oryginału.

- Czy tego właśnie chcesz? - spytała Nerita.

- Chcę tego, co mieć można.

- Przekonywającą replikę utraconej miłości?

- Wystarczy mi pięć minut rozmowy.

- To ci się uda, jednak nie dzisiaj. Widzisz? Jest tam. Teraz jej nie przeszkadzaj.

Nerita skinieniem głowy wskazała środek sali restauracyjnej. Po przeciwległej stronie,

trzy poziomy wyżej pojawili się Sybille i Kent Zacharias. Stali przez chwilę u wejścia do odgrodzonego pomieszczenia, patrząc spokojnie i bez wyrazu na środek restauracji. Klein poczuł, jak mięsień w policzku zaczyna mu drgać nerwowo. Nie mógł tego drżenia opanować. Był to oskarżycielski dowód braku spokoju, tak typowego dla zmarłych. Zasłonił policzek ręką. Dłonią wyczuwał jego drzenie i pulsowanie. Stała tam w górze, jak bogini manifestująca swą boskość przed tłumem wiernych. Błada, opalizująca sylwetka, piękniejsza nawet niż obraz wytworzony przez jego pamięć. Wydawało się wprost niemożliwe, że ta istota była kiedykolwiek jego żoną, że znał ją, kiedy jej oczy były zapuchnięte i zaczerwienione po całonocnym ślęczeniu nad książkami, że patrzył na jej twarz, gdy kochali się, i widział jej wargi rozchylające się w spazmach ekstazy tworzące grymas tak podobny do grymasu bólu, że znał ją oschłą i niesympatyczną w okresach choroby, nerwową i niecierpliwą, gdy była zdrowa, że znał ją po prostu jako człowieka, ze wszystkimi przywarami i wadami, tę boginię, tę nierealną, ożywioną istotę, ten cel jego poszukiwań, Sybille. Odwróciła się spokojnie i zniknęła w wejściu.

- Wie, że tu jesteś - powiedziała Nerita. - Zobacysz się z nią może już jutro.

Mortimer powiedział coś zupełnie nie na temat i Nerita odpowiedziała mu w podobny sposób. Klein znów pograżał się w ich ulotną grę słowną coraz głębiej i głębiej, walcząc, by w niej nie utonąć, by zrozumieć ich wymianę myśli i już ani razu nie spojrzał w kierunku, gdzie siedziała Sybille, i gratulował sobie, że w tej maskaradzie udało mu się aż tyle osiągnąć.

*

Tej nocy leżąc samotnie w swoim pokoju w domu dla obcych, Klein zastanawia się, co on powie Sybille, kiedy wreszcie się spotkają, i co ona jemu powie. Czy odważy się zapytać wprost o jakość jej nowej egzystencji? Właściwie, przede wszystkim, tego chce się od niej dowiedzieć, chce uzyskać wgląd w jej przemienioną istotę. Tyle chce przynajmniej zdobyć, bo

wie, że prawie nie ma szans, by ją odzyskać. Czy się jednak odważy? Czy chociaż na to się zdobędzie? Te pytania odkryją oczywiście przed nią, że wciąż jeszcze żyje, że jego sposób pojmowania jest taki, iż nigdy nie zrozumie życia zmarłych. Jorge jest pewien, że ona natychmiast to odkryje. Co on jej powie? W teatrze swego umysłu odgrywa dialog, jaki poprowadzą.

- Powiedz mi, Sybille, jak to wszystko teraz wygląda?

- Jak pływanie pod szklaną szybą.

- Nie rozumiem.

- Tu, gdzie jestem, wszystko jest takie spokojne. Panuje tu spokój, który przekracza możliwości zrozumienia. Czasami miewałam wrażenie, że znajduję się w centrum huraganu, że jestem szarpana podmuchami wiatru, że spalam się w podnieceniu i niecierpliwości. Ale teraz jestem w oku cyklonu, w miejscu, gdzie panuje cisza. Raczej obserwuję, niż działam.

- Czy nie odczuwasz jednak w tej sytuacji utraty czucia? Czy nie czujesz się odizolowana? Mówisz... jak pływanie pod szklaną szybą. To oznacza odizolowanie, oderwanie, drętwotę.

- Może ci się tak wydawać. W ten sposób jesteśmy zabezpieczeni przed oddziaływaniem spraw nieistotnych.

- Wygląda mi to na niepełną egzystencję.

- Pełniejszą niż grób, Jorge.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego chciałaś być ożywiona. Byłaś zawsze taka spragniona świata, Sybille. Żyłaś z taką intensywnością, z taką pasją. Żeby pogodzić się z taką egzystencją, jaką teraz prowadzisz, żeby być tylko myjącą w połowie...

- Nie bądź głuptasem, Jorge. Żyć w połowie, to lepiej niż gnić pod ziemią. Byłam taka młoda. Było jeszcze tyle do zobaczenia i do zrobienia...

- Ale patrzeć i robić żyjąc tylko w połowie?
- To jest twoja opinia, nie moja. Ja przecież nie żyję. Nie jestem ani w mniejszym, ani w większym stopniu istotą, którą kiedyś znałeś. Jestem inną, różną istotą.
- Czy wszystkie twoje formy odczuwania są inne?
- Zupełnie inne. Moje pojmowanie jest szersze. Rzeczy drobne stają się zupełnie nieważne.
- Podaj mi przykład.
- Wolałabym nie. Jak mogę ci cokolwiek wyjaśnić? Umrzyj i przyłącz się do nas. Wtedy zrozumiesz.
- To wiesz, że nie jestem zmarłym?
- Och, Jorge. Nie bądź zabawny!
- To dobrze, że mogę cię jeszcze rozbawić.
- Wyglądasz na urażonego. Jesteś tragiczny. Prawie mi ciebie żal. Pytaj, o co chcesz.
- Czy mogłabyś zostawić swoich towarzyszy i wrócić do świata?
- Nigdy o tym nie myślałam.
- Mogłabyś?
- Myślę, że mogłabym. Ale dlaczego miałabym to zrobić? To jest teraz mój świat.
- To jest getto.
- Czy tak to widzisz?
- Stanowicie zamknięte społeczeństwo, ścisłą subkulturę, posiadacie własny żargon, własną etykietę i idiosynkrazje. Myślę, że zostało to wypracowane dla odstręczenia outsiderów, dla utrzymania ich poczucia, że są outsiderami. To jest postawa obronna. Hippisi, Murzyni, homoseksualiści, zmarli. To wszystko ten sam mechanizm, ten sam proces.
- I Żydzi. Nie zapominaj o Żydach.

- Dobrze, Sybille... i Żydzi. Macie swoje własne dowcipy, własne święta, własny, tajemny język... Tak, słusznie zauważyłaś.

- Przysłałam zatem do innego plemienia. Cóż w tym złego?

- Czy musiałaś?

- A do czego należałam wcześniej? Do plemienia Kalifornijczyków? Do plemienia naukowców?

- Do plemienia Jorge i Sybille Klein.

- To za mało. Z tego plemienia zostałam i tak wypędzona. Musiałam przyłączyć się do innego plemienia.

- Wypędzona?

- Przez śmierć. Po tym nie ma powrotu.

- Możesz wrócić w każdej chwili.

- Och, nie, Jorge. Nie mogę. Nie mogę. Nie jestem już Sybille Klein. Nigdy nią nie będę. Jak mam ci to wytłumaczyć? Nie ma sposobu. Śmierć powoduje zmiany. Umrzyj. Sam się przekonasz, Jorge. Umrzyj, a zrozumiesz.

*

- Czeka na ciebie w salonie - powiedziała Nerita. Był to duży, po spartańska umeblowany pokój w drugim skrzydle hotelu. Sybille stała przy oknie, przez które wpadało blade, chłodne światło poranka. Byli z nią Mortimer i Kent Zacharias. Obydwaj powitali Kleina tajemniczymi, krzywymi uśmiechami. Nie mógł się zorientować, czy były to uśmiechy kurtuazyjne, czy szydercze.

- Podoba ci się nasze miasto? - zagadnął Zacharias. - Czy już je zwiedzałeś?

Klein wolał nie odpowiadać. Na pytania zareagował nieznacznym skinieniem głowy i zwrócił się do Sybille. Czuł się dziwnie. Był zupełnie spokojny właśnie w tej chwili, gdy

spełniało się pragnienie, które żywił od kilku lat. W jej obecności nie odczuwał nic - ani paniki, ani pragnienia, ani zdumienia, ani nostalgii. Po prostu nic. Zupełnie, jakby rzeczywiście był zmarłym. Wiedział, że był to spokój krańcowego przerażenia.

- Zostawimy was samych - powiedział Zacharias. - Musicie mieć sobie dużo do powiedzenia.

Wyszedł z Nerita i Mortimerem. Oczy Sybille i Kleina spotkały się i patrzyli na siebie długo. Patrzyła na niego chłodno, jakby dokonując bezosobowej oceny. Ten jej cholerny uśmiech - pomyślał Klein. Śmierć zmienia je wszystkie w Mony Lisy.

- Czy długo tu zostaniesz? - spytała. - Chyba nie. Kilka dni, może tydzień. Klein zwilżył wargi.

- Co u ciebie, Sybille? Jak ci się wiedzie?

- Wszystko jest tak, jak się spodziewałam.

Co to znaczy? Czy możesz podać mi jakieś szczegóły? Czy nie jesteś rozczarowana?

Czy zaskoczyło cię cokolwiek? Jak to wszystko odbierasz, Sybille? O Jezu... nigdy nie zadawaj bezpośrednich pytań.

- Szkoda, że nie zgodziłaś się na spotkanie na Zanzibarze.

- To było niemożliwe. Nie mówmy o tym. Zakończyła dyskusję niedbałym skinieniem ręki.

- Chciałbyś usłyszeć fascynującą historię? - zapytała! po chwili. - Odnalazłam informacje na temat wczesnych wpływów omańskich na Zanzibarze.

Bezosobowość tego pytania zaskoczyła go. Jak mogła wykazać tak zupełny brak zainteresowania jego obecnością w Zimnym Mieście Zioń, jego śmiercią, powodami, które popchnęły go do tego spotkania? Jak mogła tak szybko i beznamiętnie przejść do tematu zapomnianych wydarzeń politycznych na Zanzibarze?

- Chyba... tak - powiedział niepewnie.

- To jest historia jak z tysiąca i jednej nocy o tym, jak Ahmad Przebiegły obalił Abdullaha ibn Muhammada Alawi.

Nigdy nie słyszał tych imion. Uczestniczył do pewnego stopnia w jej badaniach historycznych, ale od tego czasu minęły lata. Czas i rozterki spowodowały, że wszyscy Ahmadowie, Hassanowie i Abdullahowie pomieszali się w jego pamięci.

- Przykro mi, ale nic o nich nie pamiętam.

- Na pewno pamiętasz - powiedziała nie przejmując się niczym - że w osiemnastym i w początkach dziewiętnastego wieku główną potęgą w basenie Oceanu Indyjskiego było arabskie państwo Oman rządzone z Maskatu nad Zatoką Perską. Pod rządami dynastii Busaidi założonej w 1744 roku przez Ahmada ibn Saida al-Busaidi. Omańczycy rozszerzyli swoje wpływy na Afrykę Wschodnią. Wybór stolicy nowego imperium afrykańskiego padł na Mombasę.

Omańczycy nie byli jednak w stanie wypędzić wrogiej dynastii tam panującej. Zainteresowali się więc Zanzibarem - kosmopolityczną wyspą zamieszkałą przez Arabów, Hindusów i Afrykanów. Strategiczne położenie Zanzibaru niedaleko brzegów Afryki i jego rozległy, dobrze osłonięty port stanowiły idealną bazę dla handlu niewolnikami, który omańska dynastia Busaidi pragnęła zdominować.

- Zdaje mi się, że zaczynam sobie przypominać.

- Bardzo dobrze. Założycielem omańskiego sułtanatu na Zanzibarze był Ahmad Przebiegły, który objął tron omański w 1811 roku - pamiętasz? To było po śmierci jego stryja Abd-er-Rachmana al-Busaidi.

- Te imiona wydają się mi znajome - powiedział Klein z powątpiewaniem.

- Siedem lat później - ciągnęła Sybille - starając się podbić Zanzibar bez użycia siły, Ahmad Przebiegły zgolił wąsy i brodę i odwiedził wyspę przebrany za wróżbitę. Był odziany w

żółte szaty. Jego turban spięty był drogocennym szmaragdem. W tym czasie większą częścią wyspy władał Abdullah ibn Muhammad Alawi noszący dziedziczny tytuł Mwenyi Mkuu. Władca był krwi mieszanej arabsko-afrykańskiej. Jego podwładni byli w przeważającej mierze Afryka-nami i należeli do plemienia Hadimu. Po przybyciu do miasta Zanzibar sułtan Ahmad stojąc na brzegu morza demonstrował swą umiejętność wróżbity i wywołał tak wielkie zainteresowanie, że zaproszono go na dwór Mwenyi Mkuu. Ahmad przewidział świetlaną przyszłość dla Abdullaha, stwierdzając, że potężny, sławny na całym świecie książę przybędzie na Zanzibar, uczyni Mwenyi Mkuu swoim wysokim urzędnikiem i zapewni jemu i jego spadkobiercom władanie Zanzibarem po wsze czasy.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał Mwenyi Mkuu.

- Jest taki napój - odparł sułtan Ahmad - który pozwala mi oglądać przyszłość. Czy pragniesz spróbować tego napoju?

- Oczywiście, że chcę - stwierdził Abdullah, a Ahmad podał mu narkotyk wywołujący wizje rajy. Siedząc u stóp Allaha Mwenyi Mkuu oglądał bogaty i szczęśliwy Zanzibar rządzony przez dzieci jego dzieci i całymi godzinami przeżywał fantazje na temat swej wielkiej potęgi. Ahmad odjechał i pozwolił odrosnąć swej brodzie i wąsom. Powrócił na Zanzibar dziesięć tygodni później ze wszystkimi atrybutami sułtana Omanu na czele imponującej i groźnej armady. Udał się natychmiast na dwór Mwenyi Mkuu i zaproponował, tak jak to przewidział wróżbita, by Oman i Zanzibar zawarły traktat, zgodnie z którym Oman przejmie odpowiedzialność za sprawy zagraniczne Zanzibaru, w tym handel niewolnikami, gwarantując Mwenyi Mkuu prowadzenie spraw wewnętrznych. W zamian za podział władzy Mwenyi Mkuu otrzyma od Omanu rekompensatę.

Pamiętając o przepowiedniach wróżbity, Abdullah natychmiast podpisał traktat i w ten sposób uprawomocnił sytuację, która oznaczała podbój Zanzibaru przez Oman. Urządzono

wielką ucztę dla uczczenia traktatu, w czasie której Mwenyi Mkuu podał sułtanowi miejscowy narkotyk zwany "borkasz" lub "kwiat prawdy". Ahmad udawał jedynie, że pali fajkę, ponieważ wszelkie narkotyki powodujące zmiany pracy umysłu budziły jego odrazę. Abdullah jednak będąc pod wpływem narkotyku przyjrzał się Ahmadowi i rozpoznał w nim wróżbitę. Zdając sobie sprawę, że został oszukany, Mwenyi Mkuu wbił swój zatruty sztylet głęboko w bok sułtana, uciekł z pałacu i osiedlił się na pobliskiej wyspie Temba. Ahmad ibn Majid nie umarł, ale trucizna toczyła go od środka i następne dziesięć lat przeżył w strasznych męczarniach. Ludzie sułtana dopadli Mwenyi Mkuu i zabili wraz z dziewięćdziesięcioma członkami jego rodziny. Tak zakończyły się rządy miejscowych władców na Zanzibarze.

- Czyż to nie barwna i wspaniała historia - zapytała wreszcie.

- Fascynująca - potwierdził Klein. - Gdzie ją znalazłaś?

- Niepublikowane pamiętniki Claude'a Richburna z Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Wygrzebałam je w londyńskich archiwach. Dziwne, że żaden historyk dotąd się na to nie natknął. W normalnych tekstach stwierdza się, że Ahmad użył swej floty, żeby zmusić Abdullaha do podpisania traktatu, a następnie zamordował Mwenyi Mkuu przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Bardzo dziwne - zgodził się Klein.

Nie przyjechał tu jednak, żeby wysłuchiwać romantycznych historii o narkotykach wywołujących wizje i zdradach koronowanych głów. Szukał sposobu skierowania rozmowy na sprawy bardziej osobiste. Przypomnił sobie fragmenty swego wyimaginowanego dialogu z Sybille. Tu, gdzie jestem, wszystko jest takie spokojne. Panuje tu spokój, który przekracza możliwość zrozumienia. Jak pływanie pod szklaną szybą. Jesteśmy zabezpieczeni przed oddziaływaniem spraw nieistotnych. Rzeczy drobne wydają się zupełnie nieważne. Umrzyj i przyłącz się do nas, wtedy zrozumiesz. Tak. Może. Ale czy rzeczywiście w to wierzyła? To

przecież on wymyślał jej odpowiedzi. Wszystko, co mówiła w jego wyobraźni, było stworzone przez niego. Nie stanowiło klucza do prawdziwej Sybille. Ale gdzie był ten klucz? Nie dała mu żadnych szans.

- Wkrótce pojedę znowu na Zanzibar - powiedziała. - Jest tak wiele rzeczy, których chciałabym się dowiedzieć od ludzi żyjących gdzieś w zapadłych miejscinach. Jakieś stare legendy o ostatnich dniach Mwenyi Mkuu. Może będą się różnić od tej historii.

- Czy mogę pojechać z tobą?

- A nie prowadzisz już własnych badań? Nie czekała na odpowiedź. Szybkim krokiem skierowała się ku drzwiom. Został sam.

Rozdział 7

Mam na myśli to, co oni i wynajęci przez nich psychiatrzy nazywają "systemami złudzeń". Nie trzeba dodawać, że "złudzenia" są zawsze oficjalnie zdefiniowane. Nie musimy przejmować się problemem, czy coś jest realne, czy nierealne. Mówi się jedynie o przydatności. Znaczenie ma tu system i to, jak w nim plasują się dane. Niektóre do siebie pasują, inne nie.

Thomas Pynchon, Gravity's Rainbow

I znowu zmarli, tym razem tylko troje, przylatywali porannym samolotem z Dar. To lepiej niż pięcioro - myślał Daud Mahmoud Barwani, ale było to i tak więcej niż trzeba. Tamci nie spowodowali żadnych kłopotów dwa miesiące temu. Pozostali tylko jeden dzień i odlecieli z powrotem na kontynent. Czuł się jednak niepewnie, wiedząc, że takie istoty przebywają na tej samej niewielkiej wyspie, co i on. Mieli do wyboru cały świat. Dlaczego ciągle przyjeżdżali na Zanzibar?

- Samolot już wylądował - powiedział kontroler lotów.

Trzynastu pasażerów. Oficer sanitarny przepuścił najpierw miejscowych - dwóch

dziennikarzy i czterech członków miejscowej legislatury wracających z panafrykańskiej konferencji w Capetown. Następnie odprawił grupę czterech turystów japońskich, obwieszonych aparatami fotograficznymi. Później przyszli zmarli i Barwani z zaskoczeniem stwierdził, że byli to ci sami zmarli - rudy, szatyn i brunetka - którzy już odwiedzali Zanzibar wcześniej. Czy zmarli mieli tak dużo pieniędzy, że mogli przylatywać z Ameryki na Zanzibar co kilka miesięcy? Barwani słyszał plotkę, że każdy ożywiony zmarły dostawał tyle złota, ile sam ważył. Teraz zaczynał w nią wierzyć. Nic dobrego nie wyniknie z tego, że tacy pętają się po świecie - pomyślał, a już na pewno z ich przyjazdu na Zanzibar. Nie miał jednak wyboru.

- Witam ponownie na wyspie goździków - powiedział obłudnie z przyklepionym uśmiechem i zaczął zastanawiać nie po raz kolejny, co stanie się z Duadem Mahmoudem Barwanim, kiedy jego dni na ziemi dobiegną kresu.

*

- Ahmad Przebiegły i Abdullah jakiś tam - powiedział Klein. - Nie mówiła o niczym innym, tylko o historii Zan-zibaru.

Byli w gabinecie Jijibhoia. Był ciepły wieczór. Padający deszcz przysłaśniał miliony świateł Los Angeles.

- Byłoby nietaktownie zadać jej bezpośrednie pytanie. Jeszcze nie czułem się tak niezręcznie od czasu, kiedy miałem czternaście lat. Byłem wśród nich zupełnie bezradny, jak obcy, jak dziecko.

- Czy myślisz, że odkryli twoje oszustwo? - spytał Jijibhoi.

- Trudno powiedzieć. Odniosłem wrażenie, że bawią się mną, wyśmiewają się, ale może taki jest ich sposób postępowania z każdym nowo przybyłym. Nikt mnie nie zatrzymał, nikt nie zarzucił mi, że jestem oszustem, nikt mną się nie przejmował, nie interesował się tym, co robię i w jaki sposób zostałem zmarłym. Staliśmy z Sybille twarzą w twarz. Chciałem

wyciągnąć do niej ręce. Chciałem, żeby ona wyciągnęła rękę do mnie. Nie nawiązaliśmy jednak kontaktu, nawet cienia porozumienia. Było tak, jakbyśmy się spotkali na jakimś cocktailu w środowisku akademickim, a jedyną rzeczą, o której myślała, była jakaś niezwykła informacja, którą właśnie gdzieś wykopała. Opowiedziała mi wszystko o sułtanie Ahmadzie, o tym, jak oszukał Abdullaha i jak Abdullah uderzył go nożem.

Klein dostrzegł na zavalonych książkami półkach Jijibhoia znajome tytuły. Była wśród nich Historia Afryki Wschodniej Olivera i Mathew, książka, z którą Sybille nie rozstawała się w okresie ich małżeństwa. Sięgnął po pierwszy tom.

- Powiedziała, że opracowania historyczne przedstawiają niedokładny obraz wydarzeń, które uznała za prawdziwe. Wydawało mi się, że bawiła się ze mną opowiadając już sprawdzoną historię, jak gdyby to było coś, o czym do ostatniego tygodnia nikt nie wiedział. Sprawdzimy... Ahmad... Ahmad...

Sprawdził indeks nazwisk. Było w nim pięciu Ahmadów, ale nie było sułtana Ahmada ibn Majida Przebiegłego. Nazwisko to wymienione było jedynie w odnośniku, zgodnie z którym nosił je arabski kronikarz. Klein znalazł również trzech Abdallahów, ale żaden z nich nie władał Zanzibarem.

- Coś tu nie gra - mruknął.

- To nie ma znaczenia - powiedział Jijibhoi łagodnie.

- Ma znaczenie. Poczekaj chwilkę.

Szukał dalej. Pod hasłem "Władcy Zanzibaru" nie znalazł ani Ahmadów, ani Abdallahów. Znalazł Majida ibn Saida, ale stwierdził, że panował on w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. W zdenerwowaniu Klein przerzucał strony przeglądając, cofając się, szukając. Wreszcie spojrzał na Jijibhoia.

- Tu się nic nie zgadza!

- W oksfordzkiej Historii Afryki Wschodniej?

- Szczegóły opowiadania Sybille. Powiedziała, że Ahmad Przebiegły wstąpił na tron omański w 1811 roku i zajął Zanzibar siedem lat później. Tu zaś napisane jest, że niejaki Seyyid Said al-Busaidi został sultanem Omanu w 1806 roku i panował przez pięćdziesiąt lat. To właśnie on, a nie nieistniejący Ahmad Przebiegły zajął Zanzibar. Zrobił to dopiero w 1828 roku, zaś władcą, który był zmuszony do podpisania traktatu był ówczesny Mwenyi Mkuu o nazwisku Hasan ibn Ahmad Alawi i... - Klein pokręcił głową. - To zupełnie inne postacie.

Żadnych sztyletów, zabójstw, daty się nie zgadzają. Wszystko to...

- Zmarli lubią robić sobie żarty - uśmiechnął się Jijibhoi smutno.

- Dlaczego miałyby zmyślać jakąś historię i rozgłaszać ją jako sensacyjne, nowe odkrycie? Sybille była najskrupulatniejszym naukowcem, jakiego kiedykolwiek znałem! Nigdy by...

- To była Sybille, którą znałeś, drogi przyjacielu. Staram się, żebyś zrozumiał, że to już jest inna osoba, nowa osoba w jej ciele.

- Osoba, która kłamałaby na temat historii?

- Osoba, która żartuje.

- Tak, która żartuje - mruknął Klein.

Zapamiętaj, że dla zmarłych cały wszechświat jest jak z plastiku. Nic rzeczywistego.

Nic nie ma większego znaczenia.

- ...która żartuje sobie z głupiego, nudnego, namolnego byłego męża, pojawiającego się w jej Zimnym Mieście, niezdarnie ucharakteryzowanego na zmarłego, która wymyśla nie tylko anegdotę, ale i warunki gry. O Boże, Boże. Jaka ona jest okrutna, a ja jaki byłem głupi! To był jej sposób powiedzenia mi, że wiedziała o moim oszustwie. Oszustwo za oszustwo!

- Co teraz zrobisz?

- Nie wiem - powiedział Klein.

*

Wbrew radom Jijibhoia i wbrew rozsądkowi, Klein zdobył więcej pastylek od Dolorosy i zdecydował się wrócić do Zimnego Miasta Zioń. Tam stanie przed Sybille i zdemaskuje fikcyjnego Ahmada i zmyślnego Abdullaha. Skończmy tę grę - powie. Powiedz mi, Sybille, to, co muszę wiedzieć i odejdę, ale mów tylko prawdę. Przez całą drogę do Utah ćwiczył i cyzelował swoje przemówienie. Okazało się to jednak niepotrzebne, ponieważ tym razem brama Zimnego Miasta Zioń dla niego się nie otworzyła. Skanery zbadały jego podrobiony dokument z Albany i obojętny głos stwierdził przez głośnik:

- Pańska przepustka jest nieważna.

Na tym sprawa powinna się była zakończyć. Mógł wrócić do Los Angeles i zbudować sobie nowe życie. Przez cały semestr zimowy był na urlopie naukowym, ale zbliżał się semestr letni i czekała go praca. Wrócił do Los Angeles, ale tylko po to, by spakować nieco większą walizkę, znaleźć paszport i wyruszyć na lotnisko. W piękny majowy wieczór samolot brytyjskich linii lotniczych zabrał go trasą nad biegunem północnym do Londynu. Tam starczyło mu czasu tylko na wypicie kawy i zjedzenie kanapki w barze na lotnisku i następnym samolotem ruszył na południowy wschód ku Afryce. W półśnie obserwował przesuającą się w dole ziemię. Morze Śródziemne pojawiło się i zniknęło z zaskakującą szybkością. Pojawił się brązowy dywan Pustyni Libijskiej, a później potężny Nil, który z wysokości dziesięciu mil wydawał się cienką strużką. Nagle w dole po prawej stronie pojawiła się spowita w śnieg i mgły Kilimandżaro jak podwójny bąbel i zdawało mu się, że po lewej stronie dostrzega daleki blask Oceanu Indyjskiego. Po chwili wielki samolot zaczął się zniżać i już wkrótce wyszedł z samolotu i stanął w rażącym blasku słońca Dares-Salaam.

*

To zbyt szybko. Zbyt szybko. Nie był jeszcze gotów jechać na Zanzibar. Może odpocznie dzień czy dwa. Wybrał przypadkowo hotel Agip znęcony egzotyczną nazwą i wezwał taksówkę. Hotel był nowoczesny i czysty, zbudowany w stylu lat sześćdziesiątych i znacznie tańszy niż Kilimandżaro, gdzie zatrzymał się poprzednim razem. Położony był w przyjemnej, zadrzewionej dzielnicy w pobliżu oceanu. Pospacerował nieco po okolicy, stwierdził, że był całkowicie wyczerpany i wrócił do hotelu na drzemkę. Spał aż pięć godzin. Obudził się półprzytomny, wziął prysznic i przebrał się do kolacji. Hotelowa restauracja pełna była potężnych mężczyzn o czerwonych twarzach i jasnych włosach, bez marynarek i w białych, rozpiętych pod szyją koszulach. Przypominali mu Kenta Zachariasa. Byli jednak żywi. Z podsłuchanych rozmów i z akcentu wywnioskował, że byli brytyjskimi technikami budującymi zapórę i elektrownię, czy może tylko elektrownię, gdzieś niedaleko Dar. Trudno było zrozumieć, co mówią. Pili dużo dzinu i głośno rozprawiali. Było również sporo japońskich businessmanów poważnie wyglądających w swoich granatowych garniturach i wąskich krawatach. Przy sąsiednim stole siedziało pięciu kędzierzawych, smagłych mężczyzn mówiących po hebrajsku - na pewno Izraelczycy. Klein zamówił ostrygi, stek i karafkę czerwonego wina. Jedzenie było nieoczekiwanie dobre, jednak nie zjadł wszystkiego. W Tanzanii był już późny wieczór, ale dla niego była dziesiąta rano. Jego ciało jeszcze nie zdążyło się przystosować. Poszedł do łóżka i zastanawiał się nad tym, że Sybille jest oddalona o kilka minut lotu na Zanzibarze. Zapadł w sen i zdawało mu się, że spał wiele godzin, ale gdy się obudził, wciąż jeszcze nie nadszedł świt.

Ranek strawił na zwiedzaniu miasta. Trafił do starej dzielnicy, upalnej i zakurzonej, gdzie wzdłuż nieutwardzonych ulic ciągnęły się rzędy blaszanych bud. W południe wrócił do hotelu, wziął prysznic i zjadł lunch. W restauracji byli ci sami goście. Brytyjczycy, Japończycy, Izraelczycy, chociaż ich twarze wydawały się inne. Pił drugie piwo, kiedy pojawił się Anthony

Gracchus. Biały myśliwy o szerokich barach, błądy i z gęstą brodą, ubrany w szorty i koszulę khaki wyglądał zupełnie, jak gdyby wyszedł ze zdjęcia, które pokazywał Kleinowi Jijibhoi. Instynktownie Klein cofnął się i odwrócił ku oknu, ale było już za późno. Gracchus dostrzegł go. W restauracji wszystkie rozmowy ucichły, gdy zmarły kroczył przez salę do stolika Kleina, odsunął krzesło i usiadł nieproszony. Po chwili, jak gdyby projektor filmowy został zatrzymany, a następnie znowu puszczony w ruch, technicy brytyjscy znów zaczęli swoje rozmowy, chociaż wyczuwało się w nich napięcie.

- Świat jest mały - powiedział Gracchus - i zatłoczony. Jedziesz na Zanzibar, prawda?

- - Za dzień lub dwa. Wiedziałaś, że tu jestem?

- Naturalnie, że nie - w oczach Gracchusa mignęły figlarne ogniki. - Czysty zbieg okoliczności. Ona tam już jest.

- Tak?

- Ona, Zacharias i Mortimer. Słyszałem, że dostałeś się do Zioń.

- Na krótko i przez chwilę rozmawiałem z Sybille. - Z niezadowolającym wynikiem.

Daj temu spokój, człowieku.

- Nie mogę.

- Nie mogę - Gracchus zmarszczył brwi. - Neurotyczny zwrot to "nie mogę", a naprawdę chcesz powiedzieć "nie chcę". Dorosły człowiek może zrobić wszystko, co zechce, chyba że jest to fizycznie niemożliwe. Zapomnij o niej. W ten sposób tylko ją niepokoisz, przeszkadzasz jej w pracy, w... - Gracchus uśmiechnął się - ...w życiu. Ona przecież zmarła przed prawie trzema laty. Zapomnij o niej. Świat jest pełen kobiet. Jesteś wciąż jeszcze młody, masz pieniądze, nie jesteś brzydki, masz osiągnięcia zawodowe...

- Czy przysłano cię po to, żebyś mi to powiedział?

- Nikt mnie tu nie przysłał, przyjacielu. Chcę cię tylko ocalić przed sobą samym. Nie

jedź na Zanzibar. Jedź do domu i zacznij nowe życie.

- Kiedy spotkałem ją w Zioń - powiedział Klein - potraktowała mnie pogardliwie.

Bawiła się moim kosztem. Chciałbym się dowiedzieć dlaczego.

- Ponieważ ty żyjesz, a ona zmarła. Dla niej jesteś pajacem. Nie bierz tego do siebie,

Klein. Istnieje po prostu między wami przepaść zbyt szeroka, żebyś mógł ją przekroczyć.

Pojechałeś do Zioń po zażyciu narkotyków, jak to robią urzędnicy skarbowi, prawda? Błada

twarz, wylupiaсте oczy? Czy udało ci się kogokolwiek oszukać? Na pewno nie ją. Ta gra, w

którą grała z tobą, była jej sposobem na przekazanie ci tej wiadomości. Czy tego nie

rozumiesz?

- Rozumiem.

- Czego więcej chcesz? Dalszych upokorzeń?

Klein pokręcił ze znużeniem głową i wpatrzył się w obrus. Po chwili podniósł wzrok i

napotkał wzrok Gracchusa. Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że mu ufa i po raz pierwszy w

swych kontaktach ze zmarłymi odniósł wrażenie, że spotyka się ze szczerością.

- Byliśmy tak bardzo sobie bliscy, Sybille i ja - powiedział cicho - a potem ona zmarła

i teraz ma mnie za nic. Nie mogę się z tym pogodzić. Wciąż jej potrzebuję. Nawet teraz

chciałbym z nią żyć.

- Ale nie możesz.

- Wiem, ale wciąż nie mogę porzucić tego, co robię.

- Jest tylko jedna rzecz, którą możesz z nią dzielić - powiedział Gracchus. - To jest

śmierć. Ona nie zniży się do twojego poziomu. To ty musisz osiągnąć jej poziom.

- To absurd.

- Kto tu jest absurdalny, ty czy ja? Posłuchaj mnie, Klein. Myślę, że jesteś głupcem i

słabeuszem, ale to nie znaczy, że bym cię nie lubił. Nie mam ci za złe twojego szaleństwa.

Jestem gotów ci pomóc, jeżeli się na to zgodzisz.

Sięgnął do kieszeni na piersiach i wy dobył z niej niewielką, metalową rurkę z przyciskiem na końcu.

- Czy wiesz, co to jest? - zapytał. - To jest urządzenie do wystrzeliwania strzałek - ciągnął dalej nie czekając na odpowiedź. - Tego rodzaju broń noszą prawie wszystkie kobiety w Nowym Jorku. Nosi je również wielu zmarłych, bo nigdy nie wiadomo, kiedy motłoch może wystąpić przeciwko nam. W naszych rurkach nie używamy jednak środków usypiających. Możemy pójść do jakiegokolwiek knajpy w murzyńskiej dzielnicy i w ciągu pięciu minut wywołać tam nienajgorszą rozróbę. W zamęcie wpakuję ci taką strzałkę, a w ciągu piętnastu minut będziesz już w szpitalu, w zamrażalniku. Za kilka tysięcy dolarów wyślemy cię w tym stanie do Kalifornii i w piątek możesz być już ożywiony w Zimnym Mieście San Diego. Gdy proces ten się zakończy, będziesz po tej samej stronie przepaści, co Sybille. Rozumiesz? Jeżeli macie się kiedykolwiek znowu połączyć, to jest jedyny sposób. W ten właśnie sposób będziesz miał szansę. Jeżeli będziesz działał swoim sposobem, nie masz żadnej.

- To jest nie do przyjęcia.

- Nie do przyjęcia, może. Ale można o tym pomyśleć. Nic nie jest nie do pomyślenia, jeżeli ktoś o tym pomyślał. Pomyśl o tym. Obiecujesz? Pomyśl, zanim wsiądziesz do samolotu lecącego na Zanzibar. Zostanę tu jeszcze dziś i jutro, później jadę do Arushy spotkać grupę zmarłych przyjeżdżających na polowanie. Przed wyjazdem, jeżeli powiesz tylko słowo, zrobię to dla ciebie. Pomyśl o tym. Pomyślisz? Obiecuj mi, że pomyślisz.

- Pomyślę - powiedział Klein.

- Dobrze! Dziękuję ci. A teraz zmieńmy temat i zajmijmy się obiadem. Lubisz tę restaurację.

- Jedna rzecz mnie zastanawia. Dlaczego nie przychodzą tu Afrykanie? Czy

dyskryminuje się tu czarnych w afrykańskim kraju?

- To czarni wprowadzają dyskryminację, przyjacielu - zaśmiał się Gracchus. - Ten hotel uważany jest za hotel drugiej klasy. Wszyscy czarni odwiedzają Kilimandżaro albo Nyerere. Mimo to jest to nienajgorsza restauracja. Polecam ryby, jeżeli jeszcze nie próbowałeś. Jest też całkiem niezłe białe wino izraelskie...

Rozdział 8

O Boże, Boże, strasznie było tonąć!

Przerażający grzmot wód brzmiał mi w uszach.

I widok wstrętnej śmierci przed oczyma!

Wydało mi się, że widzę, tysiące

Zatrważających, rozbitych okrętów;

Tysiące ludzi, których ryby żarły,

Stosy sztab złota, ogromne kotwice kopce pereł, nieoszacowane

Drogie kamienie, bezcenne klejnoty.

Wszystko to na dnie morza rozrzucone.

Niejeden kamień spoczął w ludzkiej czaszce,

A w dziurach, w których niegdyś tkwiły oczy,

Lśniły diamenty i miotły blaski

Patrząc miłośnie w muł na dnie głębiny

I szydząc z kości rozrzuconych wokół.

William Shakespeare, Ryszard III

(Tłum. Maciej Słomczyński)

- ...izraelskie wino - mówił Mick Dongan. - Jestem gotów wszystkiego raz spróbować, szczególnie jeżeli jest w tym domieszka ironii. Pamiętam, jak kiedyś byliśmy w Egipcie na tym

sławnym przyjęciu wydanym w Luksorze. Naszym gospodarzem był saudyjski książę w szatach plemiennych i w ciemnych okularach. Kiedy podano pieczone jagnię, uśmiechnął się szatańsko i powiedział: Oczywiście moglibyśmy pić Mouton-Rotschild, ale mam w mojej piwniczce niewielki zapas najlepszych win izraelskich, a ponieważ uważam, że podobnie jak ja jest pan zwolennikiem drobnych wybryków, poleciłem memu lokajowi, żeby otworzył jedną czy dwie... Klein, czy widzisz tę dziewczynę, która właśnie weszła?

Było wczesne, styczniowe popołudnie 1981 roku. Wraz z sześcioma kolegami z wydziału historii Klein jadł obiad w Wiszących Ogrodach na najwyższym piętrze Westwood Plaża. Restauracja ta na dziewięćdziesiątym piętrze nowoczesnego hotelu udekorowana była w stylu babilońskim. Wszędzie pojawiały się skrzydlate byki i ziejące ogniem smoki w kolorach błękitnym i żółtym. Kelnerzy nosili długie, fryzowane brody i krzywe szable u boku. Nocą był to zbyt kowny klub, zaś za dnia miejsce spotkań towarzystwa z uniwersytetu. Klein patrzy w lewo. Tak. Przystojna dziewczyna, po dwudziestce. Uroda chłodna, poważna. Siada sama. Odkłada stertę książek i kaset na stół. Klein nie podrywa nieznanym dziewczyn. To jego polityka moralna, ale także wynik nieśmiałości.

- Podejdz do niej - żartuje Dongan. - Jest w twoim typie. Jej oczy są właściwego koloru, prawda?

Klein narzekał ostatnio, że w Południowej Kalifornii było zbyt wiele niebieskookich dziewczyn. Niebieskie oczy w jakiś sposób denerwują go, są nawet groźne. Oczy Kleina są czarne. Jej oczy są takie same - ciemne, lśniące, gorące. Wydaje mu się, że widywał ją od czasu do czasu w bibliotece. Może nawet już się sobie przyglądali.

- Idz, Jorge, idz - ponagla go Dongan.

Klein patrzy na niego gniewnie. Nie pójdzie. Jak można jej przeszkadzać? Zmuszanie jej do swego towarzystwa to prawie jak gwałt. Dongan uśmiecha się w ugrzeczniiony sposób.

Jego uśmiech stanowi bezlitosny bodziec. Klein opiera się, ale gdy tak trwa w niezdecydowaniu, dziewczyna uśmiecha się. Szybki, wstydlivy uśmiech, który zniknął tak szybko, że Klein nie był wcale pewien, że w ogóle zaistniał. Nabrał jednak wystarczającej pewności. Wstaje i rusza niepewnie po alabastrowej podłodze. Zatrzymuje się z wahaniem koło niej i szuka natchnienia, które pomoże mu nawiązać kontakt. Natchnienie nie przychodzi, ale kontakt zostaje nawiązany starym sposobem - wzrokiem. Jest zaszokowany intensywnością wymiany, jaka między nimi następuje w tym trudnym momencie.

- Czy czekasz na kogoś? - udaje mu się wreszcie wyjąkać.

- Nie. - Znowu ten uśmiech, tym razem bardziej pewny siebie. - Chciałbyś się przysiąść?

Po chwili odkrywa, że właśnie skończyła studia. Uzyskała stopień magistra i zaraz bierze się za doktorat, którego tematem jest handel niewolnikami w Afryce Wschodniej. Szczególną uwagę musi poświęcić Zanzibarowi.

- Jakie to romantyczne. Zanzibar! Czy byłaś tam kiedyś?

- Nigdy. Mam nadzieję, że kiedyś tam pojedę. A ty?

- Też nie. Ale ten kraj interesował mnie od czasu, kiedy byłem małym chłopcem zbierającym znaczki. Miałem go na ostatniej stronie w klaserze.

- Ja miałam Zulu na ostatniej stronie.

Okazuje się, że zna jego nazwisko. Myślała nawet o zapisaniu się na jego wykłady o nazizmie i pochodnych ruchach.

- Czy pochodzisz z Ameryki Południowej?

- Tam się urodziłem i wychowałem. Moi dziadkowie uciekli do Buenos Aires w 1937.

- Dlaczego do Argentyny? Myślałam, że tam roi się od nazistów.

- Tak było. Było również mnóstwo uchodźców z Niemiec. Mieliśmy tam dużo

przyjaciół. Czasy jednak były niepewne. Rodzice wyjechali stamtąd w 1955 roku i osiedlili się w Kalifornii. A ty?

- Pochodzę z rodziny brytyjskiej. Urodziłam się w Seattle. Mój ojciec jest w służbie konsularnej. On...

Pojawia się kelner. Zamawiają kanapki! Lunch w tej chwili wydaje się zupełnie nieważny. Kontakt między nimi wciąż się utrzymuje. Wśród jej książek widzi Nostromo Conrada. Przeczytała już prawie połowę. On właśnie skończył czytać. Ten zbieg okoliczności rozbawił ich. Conrad jest jej ulubionym pisarzem. Jego też. A Faulkner? Tak. Virginia Woolf i Hermann Broch. Nie lubią Hessego. Dziwne. A opery? Wolny strzelec, Latający Holender, Fidelio.

- Mamy teutońskie gusty - zauważa ona.

- Bardzo podobne gusty - dodaje on i zdaje sobie sprawę, że trzymają się za ręce.

- Zaskakująco podobne - zgadza się ona.

Mick Dongan gapi się na nich z drugiego końca sali. Klein obrzuca go gniewnym spojrzeniem. Dongan mruga porozumiewawczo.

- Chodźmy stąd - mówi Klein właśnie w chwili, kiedy ona chciała powiedzieć to samo.

Przegadali pół nocy i kochali się aż do świtu.

- Powinnaś wiedzieć - mówi jej przy śniadaniu ze śmiertelną powagą - że dawno już zdecydowałem, że nigdy się nie ożenię, a tym bardziej, że nigdy nie będę mieć dzieci!

- Ja też tak zdecydowałam, kiedy miałam piętnaście lat.

Pobrali się cztery miesiące później. Mick Dongan był družbą.

*

- Pomyślisz o tym, prawda? - powiedział Gracchus, kiedy wychodzili z restauracji.

- Pomyślę - powiedział Klein. - Przecież ci obiecałem.

Wrócił do pokoju, zapakował walizkę, wymeldował się i taksówką pojechał na lotnisko.

Przyjechał na długo przed popołudniowym rejssem na Zanzibar. Ten sam mały, melancholijny człowieczek pełnił obowiązki oficera sanitarnego.

- Och, widzę, że pan wrócił - powiedział Barwani. - Pomyślałem sobie, że może pan przyjedzie. Tamci już tutaj są.

- Tamci?

- Kiedy był pan tu ostatni raz, zostawił mi pan małą pamiątkę, żebym poinformował pana, kiedy pojawi się tu pewna osoba. Ta osoba i jej dwóch towarzyszy są znowu tutaj.

Klein delikatnie położył dwudziestoszylingowy banknot na biurku oficera sanitarnego.

- W którym hotelu?

Usta Barwaniego zadrżały. Widocznie banknot nie spełniał jego oczekiwań. Klein nie sięgnął jednak po drugi.

Jak wtedy, w Zanzibar House, a pan? Jak wtedy, w Shirazi - powiedział Klein.

*

Sybille była w hotelowym ogrodzie i przeglądała notatki, kiedy zadzwonił Barwani.

- Nie pozwól, żeby wiatr rozwiał moje papiery - poleciła Zachariasowi i weszła do hotelu.

Gdy wróciła, wyglądała na zdenerwowaną.

- Jakies kłopoty? - zapytał Zacharias.

- Jorge - powiedziała z westchnieniem. - Jest w drodze do hotelu.

- Co za nudziarz - mruknął Mortimer. - Myślałem, że Gracchus potrafi go przekonać.

- Widocznie nie - powiedziała Sybille. - Co zrobimy?

- A co ty chciałabyś zrobić? - zapytał Zacharias.

- Nie możemy dopuścić, żeby się to tak dalej ciągnęło - stwierdziła Sybille kręcąc

głową.

*

Wieczorne powietrze było wilgotne i aromatyczne. Długotrwałe deszcze wreszcie ustały. Na wyspie nastąpił nowy sezon gwałtownego rozwoju roślin. Za oknem pokoju Kleina jakieś pnącza wypuściły ogromne, żółte kwiaty w kształcie trąbek. W ogrodach hotelowych wszystko rozkwitało i pokryte było burzą młodych, wilgotnych liści. Umysł Kleina odbierał tę atmosferę powszechnej, pełnej życia, zewsząd napierającej nowości. Kręcił się po pokoju pełen energii, próbując opracować nową strategię. Czy pójść zaraz do Sybille? Wedrzeć się do środka, jeśli będzie trzeba, zrobić awanturę i zażądać wyjaśnienia, dlaczego opowiedziała mu tę bajkę o zmyślonych sułtanach? Nie. Nie. Nie doprowadzi do konfrontacji. Nie będzie się też użalać. Teraz, jak już był tutaj, jak już był tak blisko niej, zachowa spokój, będzie spokojnie rozmawiać, postara się przypomnieć jej ich miłość, będzie mówił o Rillem, Woolf i Brochu, o popołudniach w Puerto Yallarta i nocach w Santa Fe, o wspólnie słuchanej muzyce i wzajemnych pieszczotach, postara się przywrócić nie ich małżeństwo, bo to było niemożliwe, ale chociaż wspomnienie więzów, jakie ich kiedyś łączyły. Postara się, aby przyznała, że coś takiego kiedyś istniało i wówczas spokojnie i na trzeźwo wykorzysta to wspomnienie. Ona i on razem postarają się w rozmowie wyswobodzić go z tych więzów, rozmawiając o zmianach, jakie zaszły w ich życiu, dopóki po trzech, czterech albo pięciu godzinach przy jej pomocy nie pogodzi się z tym, z czym pogodzić się nie można było. To wszystko. Niczego nie będzie żądać. O nic nie będzie prosić. Tylko o jedno - żeby w ciągu jednego wieczoru mógł pozbyć się tej niepotrzebnej, niszczącej obsesji. Nawet zmarła, nawet kapryśna, zbłąkana, zmienna, rozpustna zmarła zrozumie korzyści płynące z takiego rozwiązania i będzie chętnie współpracować. Na pewno.

Przygotowywał się do wyjścia, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę pana, ma pan gości!

- Kto przyszedł? - zapytał Klein, chociaż znał odpowiedź.

- Jakaś pani i dwóch panów - odpowiedział boy. - Przywiozła ich taksówka z Zanzibar House. Czekają w barze.

- Powiedz im, że zejdem za chwilę.

Podszedł do komody, na której stał dzbanek wody z lodem. Wypił jedną szklankę mechanicznie, o niczym nie myśląc. Nalał sobie drugą. Tę też wypił. Ta wizyta była niespodziewana. Po co sprowadziła to całe swoje towarzystwo? Walczył, żeby odzyskać równowagę i to poczucie celu, które zdawało mu się, że osiągnął, zanim myśli przerwało mu pukanie do drzwi. Wreszcie wyszedł z pokoju.

Mimo parnego wieczoru wyglądali świeżo i nienagannie. Zacharias miał brązową marynarkę i jasnozielone spodnie, Mortimer biały kaftan z pasem i wykończeniem z wzorzystego brokatu. Sybille ubrana była w prostą, jasnozieloną tunikę. Na ich bladych twarzach nie było ani śladu potu. Zachowywali niezmacony spokój i nienaganne maniery. Nikt koło nich nie siedział. Kiedy Klein wszedł, wstali, zęby się z nim przywitać. Uśmiech ich jednak był ponury. Nie było w nim ani śladu ciepła. Klein zdecydowanie walczył o zachowanie spokoju, tak jak to sobie zaplanował.

- To miło, że przyszliście. Czy mogą zaproponować coś do picia? - zapytał spokojnie.

- My już zamówiliśmy - odparł Zacharias. - To my zapraszamy. Co zamówić dla pana?

- Pimm numer sześć - odpowiedział Klein. Chciał się odwzajemnić równie lodowatym uśmiechem. - Masz piękną sukienkę, Sybille. Wyglądasz tak ślicznie, że aż czuję się skrępowany.

- Nigdy nie przywiązywałeś wagi do ubrania - odparła Sybille.

Zacharias przyniósł napój dla Kleina. Klein wziął go i wznosił szklankę z powagą.

- Czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy, Sybille? - zapytał po chwili.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia, czego nie można by powiedzieć w obecności

Kenta i Laurence'a.

- Jednakże...

- Wolę nie, Jorge...

- Jak chcesz.

Klein spojrzał jej prosto w oczy i nic w nich nie dostrzegł. Zupełnie nic. Aż się

wzdrygnął. Wszystko, co chciał powiedzieć, uciekło mu z głowy. Przypominały mu się tylko

jakieś fragmenty - Rilke, Broch, Puerto Yallarta. Pociągnął długi łyk.

- Musimy omówić pewien problem, Klein - powiedział Zacharias.

- No, słucham,

- Ten problem to pan. Stwarza pan wielkie kłopoty dla Sybille. To już drugi raz

przyjeżdża pan za nami na Zanzibar, na koniec świata. Próbował pan kilkakrotnie dostać się na

teren zamknięty w Utah, używając fałszywych dokumentów. Narusza pan jej wolność osobistą.

To jest niemożliwe. To jest nie do zniesienia.

- Zmarli są zmarłymi - powiedział Mortimer. - Rozumiemy głębię twego uczucia do

twjej zmarłej żony, ale musisz skończyć z tym obsesyjnym ściganiem jej.

- Chcę skończyć - powiedział Klein wpatrzony w jakiś nie istniejący punkt na ścianie

między głowami Zacharias'a i Sybille. - Chciałbym tylko porozmawiać przez godzinę czy dwie

z moją... z Sybille i obiecuję wam, że już więcej...

- Tak jak obiecałeś Gracchusowi, że nie pojedziesz na Zanzibar.

- Chciałem tylko...

- My mamy też pewne prawa - powiedział Zacharias. - Przeszliśmy przez piekło,

dosłownie przez piekło, żeby zajść tam, gdzie jesteśmy. Naruszyłeś nasze prawo, chcemy, żeby

nas zostawiono w spokoju. Przeszkadzasz nam. Nudzisz nas. Niepokoisz. Nie znosimy, jak ktoś nas niepokoi.

Popatrzył na Sybille. Skinęła głową. Dłoń Zachariasa zniknęła w kieszeni marynarki.

Mortimer chwycił Kleina za nadgarstek i gwałtownie pociągnął do przodu. Mała, metalowa rurka błysnęła w dłoni Zachariasa. Klein widział już taką rurkę u Gracchusa dzień wcześniej.

- Nie - wyszeptał. - Nie wydaje mi się... nie! Zacharias zagłębił zimne ostrze, które wyprysło z rurki, w przedramię Kleina.

*

- Zamrażarka jest już w drodze - powiedział Mortimer. - Będzie tu za niecałe pięć minut.

- A co będzie, jak się spóźni? - zapytała zaniepokojona Sybille. - Co będzie, jeżeli jakieś nieodwracalne procesy zajdą w jego mózgu, zanim przyjedzie?

- On nie jest jeszcze zupełnie martwy - przypomniał jej Zacharias. - Mamy czas. Mamy mnóstwo czasu. Rozmawiałem z lekarzem. Bardzo inteligentny Chińczyk. Bezbłędnie mówi po angielsku. Wszystko świetnie zrozumiał. Zostanie zamrożony w kilka minut po śmierci.

Ładunek wyślemy porannym samolotem do Dar. W ciągu dwudziestu czterech godzin będzie w Stanach. To mogę zagwarantować.

Zawiadomimy San Diego. Wszystko będzie w porządku, Sybille!

Jorge Klein leżał bezwładnie na blacie stołu. Bar opustoszał w chwili, kiedy wydał okrzyk i szarpnął się do przodu. Z pół tuzina gości uciekło, nie chcąc psuć sobie wakacji widokiem śmierci. Kelnerzy i barman z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami zgrupowali się w hallu.

- Atak serca - oświadczył Zacharias - a może wylew... Gdzie jest telefon?

Nikt nie widział, jak niewielka metalowa rurka spełniła swoje zadanie.

- Jeżeli coś się nie uda... - Sybille drżała.

- Już słyhać pogotowie - powiedział Zacharias.

*

Siedząc za swym biurkiem Daud Mahmoud Barwani obserwował, jak tragarze ładowali potężną, zamrażającą trumnę na pokład porannego samolotu do Dar. I co teraz będzie? Wyślą zmarłego na drugi koniec świata, do Ameryki. Tchną w niego nowe życie. Znow znajdzie się między ludźmi. Barwani potrząsnął głową. Co za ludzie! Człowiek, który żył, teraz jest martwy. A ci zmarli? Któż wie, kim oni są? Kto wie? Lepiej, żeby zmarli pozostali zmarłymi, jak zamierzono od początku. Któż mógł przewidzieć dzień, w którym zmarli wyjdą z grobów? Nie ja. Któż może przewidzieć, co stanie się z nami za sto lat? Nie ja. Nie ja. Za sto lat już mnie nie będzie - pomyślał Barwani. Nie będzie mnie i nic nie będzie mnie obchodzić, jakie istoty krążą po Ziemi.

Rozdział 9

Umieramy z umierającymi:

Zobacz, odchodzą, a my razem z nimi.

Rodzimy się z umarłymi:

Zobacz, wracają i nas z sobą niosą.

T. S. Eliot, Little Giddmg (Tłum. Władysław Dulęba)

W dniu, w którym obudził się, nie widział nikogo oprócz pielęgniarzy w domu przebudzeń. Wykąpali go, nakarmili i pomogli przespacerować się po pokoju. Nie mówili nic. On też nic nie mówił. Słowa wydały się nieistotne. Dziwnie czuł się w swoim ciele. Było świetnie dopasowane, czuł jak gdyby przez całe życie nosił niedopasowane ubrania, a teraz po raz pierwszy zetknął się z fachowym krawcem. Obrazy, jakie widział nowymi oczami, były ostre, niezmiernie wyraźne, w tęczowych obwódkach. Zjawisko to zniknęło po kilku dniach.

Drugiego dnia odwiedził go ojciec-kierownik Zimnego Miasta San Diego. Wcale nie był wspaniałym patriarchą, jak go sobie wyobrażał. Wyglądał raczej na zimnego, wydajnego urzędnika po pięćdziesiątce, który powitał go serdecznie i zapoznał z zasadami i praktykami, jakie musi opanować, zanim opuści Zimne Miasto.

- Jaki mamy miesiąc? - zapytał go Klein.

- Czerwiec. Siedemnasty czerwca 1993 roku - wyjaśnił ojciec-kierownik.

Spał cały miesiąc.

*

Nastał ranek trzeciego dnia po przebudzeniu. Przyszli goście: Sybille, Nerita, Zacharias, Mortimer, Gracehus. Wchodzą do pokoju i stają półkolem u stóp łóżka. Są rozświetleni blaskiem dnia wpadającym przez wąskie okna. Jak grupa półbogów, jak aniołowie płoną wewnętrznym ogniem, a teraz on jest wśród nich. Obejmują go w sposób oficjalny.

Najpierw Gracchus, później Nerita, później Mortimer. Zacharias jest następny. Zacharias, który posłał go na śmierć. Uśmiecha się do Kleina i Klein odwzajemnia uśmiech. Obejmują się.

Teraz kolej na Sybille. Wsuwa dłoń między jego dłonie. On przyciąga ją blisko. Jej usta dotykają jego policzka. Jego usta dotykają jej policzka. Jego ramię obejmuje jej ramiona.

- Hello - szepcze Sybille.

- Hello - mówi Klein.

Pytają go, jak się czuje, jak szybko wracają mu siły, czy już wstawał z łóżka, jak szybko wyruszy na wysuszenie. Sposób ich rozmowy jest pokrętny, kwiecisty, tak lubiany przez zmarłych. Nie jest jednak tak niejasny, jak używany normalnie. Biorą pod uwagę, że jest nowy.

Wprowadzają go w swoje zwyczaje cal po calu. W ciągu pięciu minut Klein zorientował się, o co chodzi.

- Musiałem stanowić dla was wielki kłopot - odezwał się dostosowując się do

przyjętego stylu.

- Oj, tak - zgadza się Zacharias - ale to już mamy za sobą.

- Przebaczymy ci - mówi Mortimer.

- Witamy cię w naszym gronie - oznajmia Sybille. Dyskutują o planach na najbliższe miesiące. Sybille już

prawie skończyła zbieranie materiałów na temat Zanzibaru. Przez lato pozostanie w Zimnym Mieście Zioń i będzie pisać. Mortimer i Nerita jadą do Meksyku zwiedzać starożytne świątynie i piramidy. Zacharias jedzie do Ohio do swoich ukochanych kurhanów. Jesienią spotkają się w Zioń i omówią plany na zimę. Może pojedą do Egiptu lub do Peru zwiedzić Machu Picchu. Największą radość sprawiają im ruiny i wykopaliska. Najlepiej czują się tam, gdzie śmierć zebrała największe żniwo. Są zarumienieni, podnieceni, wylewni, gadatliwi. Pojedziemy do Zimbabwe, do Palenque, do Angkor, Knossos, Uxmal, Niniwy, Mohendzodaro. I tak w kółko i w kółko. W rozmowie biorą udział ręce, oczy, uśmiechy i słowa, cały zalew słów. Stają się dla niego niewyraźni, zamazani, wprost nierealni, są jak kukiełki podrygujące na scenie wśród brzydkich dekoracji, jak natrętne, brzęczące muchy z całą tą ich gadaniną o podróżach i obchodach, o Boghazky i Babilonie, o Megiddo i Masadzie. Przystaje ich słuchać, wyłącza się. Leży uśmiechnięty, z zamglonymi oczami, myśląc o czymś innym.

Zastanawiające, że tak mało go interesują. Zaczyna sobie jednak zdawać sprawę, że jest to oznaka jego wyzwolenia. Zerwał stare więzy. Czy przyłączy się do nich? Po co miałby to robić? Może pojedzie z nimi, może nie. To będzie zależeć od jego kaprysu. Raczej nie. Prawie na pewno nie. Nie potrzebuje ich towarzystwa. Ma własne zainteresowania. Nie będzie się już włókł za Sybille. Nie potrzebuje, nie chce, nie będzie o to zabiegał. Dlaczego miałby stać się jednym z nich, wędrownikiem bez żadnego oparcia, duchem odzianym w ciało? Dlaczego miałby przyjąć ich wartości i zwyczaje, gdy oni wydali go na śmierć z taką samą obojętnością,

z jaką zabija się muchę, tylko dlatego, że ich nudził i że im przeszkadzał? Nie nienawidzi ich za to, co zrobili, nie czuje nawet niechęci. Po prostu woli się od nich odłączyć. Niech sobie wędrują od ruiny do ruiny, niech gonią za śmiercią z kontynentu na kontynent. On pójdzie swoją drogą. Teraz, gdy już przekroczył próg, widzi, że Sybille nic dla niego nie znaczy.

- Tak, wszystko się zmienia...

- Idziemy już - mówi Sybille łagodnie. Skinął głową nie dając innej odpowiedzi.

- Spotkamy się, jak się już zaaklimatyzujesz - mówi Zacharias i dotyka go lekko kostkami palców w pożegnalnym geście stosowanym jedynie przez zmarłych.

- Do zobaczenia - mówi Mortimer.

- Do zobaczenia - mówi Gracchus.

- Do szybkiego... - mówi Nerita.

Nigdy - myśli Klein, ale oni i tak rozumieją. Nigdy. Nigdy. Nigdy. Nigdy się z wami nie spotkam. Nigdy nie spotkam się z tobą, Sybille. Sylaby brzmią w jego mózgu, a słowo nigdy, nigdy, nigdy przelewa się po nim, jak fale uderzające o brzeg, splukuje go, oczyszcza, uzdrawia. Jest wolny. Jest sam.

- Żegnaj - woła Sybille z hallu.

- Żegnaj - odpowiada.

*

Minęły długie lata, zanim się znów spotkali. Ostatnie dni 1999 roku spędzili jednak razem, polując na dodo w cieniu potężnego Kilimandżaro.

THOMAS PROROK

Rozdział 1

Światło księżyca, światło gwiazd, światło pochodni

Jak długo będzie trwać ta noc? Mrok jest gęsty, mimo że usiłuje rozproszyć go światło księżyca, światło gwiazd, światło pochodni. W dolinie śpiewają. Gorzki dym pochodni dociera aż na wzgórze, gdzie stoi Thomas w otoczeniu swych najwierniejszych uczniów. Urywki starych pieśni rozbrzmiewają wśród drzew. "Przedwieczna skało, w Twych szczelinach...", "Boże, nasze Wspomożenie w wiekach minionych", "Jezu, ukochany mej duszy, pozwól mi biec ku Tobie". Thomas jest ośrodkiem wszystkiego. Jakaś niewidzialna aura spowija jego ciężką, potężną sylwetkę jak nieuchwytnie pole elektryczne. Saul Kraft stojący u jego boku wydaje się przyćmiony, przytłoczony. Drobny, delikatny mężczyzna, teraz znajdujący się na drugim planie, ale nie bez znaczenia dla wydarzeń tej nocy. "Bliżej, mój Boże, do Ciebie". Thomas zaczyna nucić melodię. Później już śpiewa. Jego głos, chociaż głęboki i magiczny, prawdziwie charyzmatyczny, przeskakuje przypadkowo z jednej tonacji w drugą. Prorok nie ma ucha do muzyki. Kraft uśmiecha się kwaśno pod wpływem dźwięków wydawanych przez Thomasa.

Hej, strażniku, powiedz już,

Jakie dary niesie noc.

Hej, wędrowcze pośród wzgórz,

Spójrz na blasku gwiazdy moc!

Z dołu dobiegają zmieszane okrzyki, westchnienia, kaszel. Która godzina? Jest późno.

Thomas przeczesuje dłońmi swoje długie, splątane włosy szarpiąc, gładząc i układając długie pasma na swych potężnych ramionach. Był to powszechnie znany gest, uwielbiany przez tłumy. Zastanawia się, czy powinien się ukazać. Wzywają go po imieniu. Słyszy rytmiczne

okrzyki przebijające się przez dźwięki pieśni. Tho-mas! Tho-mas! Tho-mas! W głosach brzmi histeria. Chcą, żeby wystąpił, rozłożył ramiona i zmusił niebo do poruszenia się, tak jak przedtem zmusił je do zatrzymania się. Thomas opiera się jednak przed dokonaniem tego wielkiego, acz pustego gestu. Jakże łatwo odgrywać rolę proroka! Nie on spowodował, że niebo zatrzymało się, i wie, że nie jest w stanie spowodować, by się znowu poruszyło. W każdym razie nie tylko przy użyciu własnej woli.

- Która godzina? - pyta.

- Za kwadrans dziesiąta - odpowiada Kraft i po chwili namysłu dodaje: - Wieczorem.

Minęło zatem już prawie dwadzieścia cztery godziny. Niebo w dalszym ciągu tkwi nieruchomo. I cóż, Thomas? Czyż nie o to ci chodziło? Padnijcie na kolana, wołałeś, i błagajcie Go o znak, który udowodni nam, że On jest wciąż z nami w potrzebie. Wnieście do Niego wielki okrzyk. I ludzie w całym kraju padli na kolana i prosili, i wznosili okrzyki. Znak został dany. Skąd zatem to przecucie nieszczęścia? Skąd ten strach? Ta noc z pewnością minie.

Spójrz na Krafta. Uśmiecha się. Kraft nigdy nie miał wątpliwości. Te zimne oczy, te szerokie usta o wąskich wargach, ten wyraz spokoju na twarzy.

- Powinieneś do nich przemówić - sugeruje Kraft.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Kilka słów pocieszenia.

- Poczekajmy na to, co się stanie. Cóż mogę im powiedzieć w tej chwili?

- Zabrakło ci słów? Tobie, który zawsze pełen byłeś przepowiedni?

Thomas wzrusza ramionami. Bywają chwile, kiedy Kraft wprawia go we wściekłość.

Ten człowieczek zawsze go do czegoś namawiał, coś kombinował, przygadywał mu, nigdy nie rezygnował i zawsze popychał tę kruczajkę ku sobie tylko znanemu celowi. Intensywność wiary Krafta męczy Thomasa. Zirytowany prorok odwraca się od niego. Widzi tu i ówdzie ogniska

rozrzucone aż po horyzont. Spotkania modlitewne? Rozruchy? Patrząc na odległe płomienie

Thomas bawi się od niechcenia gałką radia.

- ...kończąc bezprecedensowy okres dwudziestoczęterogodzinnego dnia na większości półkuli wschodniej, nie kończący się świt na Bliskim Wschodzie, nie kończące się południe na Syberii,, we wschodnich Chinach, na Filipinach i w Indonezji, podczas gdy Europa Zachodnia i Ameryki są pogrążone w nie kończącej się nocy...

- ...Wtedy, a było to w dniu, kiedy Pan wydał Amorejczyków w ręce synów izraelskich, powiedział Jozue do Pana wobec Izraela: Słońce, zatrzymaj się w Gibeonie, a ty, księżycu, w dolinie Ajalon! I zatrzymało się słońce, i stanął księżyc, dopóki naród nie zemścił się na swoich nieprzyjaciołach. Czyż nie jest to zapisane w Księdze Powtórnego Prawa? I zatrzymało się słońce pośrodku nieba, i nie spieszyło się do zachodu nieomal przez cały dzień...

- ...zaskakująca kulminacja kampanii prowadzonej przez Thomasa Dayidsona z Reno w Newadzie, zwanego powszechnie Thomasem Prorokiem. Ten samozwańczy apostoł pokoju z rozczochraną brodą i długimi włosami doprowadził swą krucjatę wiary do punktu kulminacyjnego w postaci światowego programu równoczesnej modlitwy, która wydaje się przyczyną...

Hej, strażniku, czy promienie Są zwiastunem nam wesela? Tak, wędrowcze, są spełnieniem Obietnic dla Izraela.

- Thomas, czy słyszysz, co oni śpiewają? - mówi Kraft ostro. - Musisz do nich przemówić. Ty ich w to wrobiłeś. Teraz chcą, żebyś powiedział im, jak z tego wybrnąć.

- Jeszcze nie, Saul.

- Nie możesz przegapić tej chwili. Udowodnij im, że Bóg wciąż przemawia przez ciebie!

- Kiedy Bóg będzie gotów przemówić - odpowiada lodowato Thomas - wypowiem

Jego słowa. Nie wcześniej.

Thomas patrzy na Krafta i szuka innej stacji.

- ...kontynuował spotkania w Waszyngtonie, ale nie ogłoszono żadnego komunikatu.

Tymczasem w ONZ...

- ...oto On nadchodzi wśród chmur i ujrzy Go każde oko i wszystkie ludy świata łyzy będą wylewać przez Niego. Amen...

- ...zanotowano też przypadki rabunków w Caracas, Mexico City, Oakland i

Vancouver. Na oświetlonej półkuli nie zanotowano większych niepokojów, chociaż nie potwierdzone doniesienia z Moskwy...

- ...i kiedy to, bracia, słońce zatrzymało się? O szóstej rano, bracia, o szóstej czasu

jerozolimskiego! A którego dnia to się stało? Oczywiście szóstego czerwca. Szóstego dnia,

szóstego miesiąca! Sześć - sześć - sześć! A co mówią nam święte księgi, moi umiłowani, w

rozdziale trzynastym Apokalipsy? Z morza wyjdzie smok mający siedem głów i dziesięć

rogów, a na jego głowach siedem diademów i święte księgi wspominają jeszcze, o umiłowani,

numer owego smoka, który jest sześćset sześćdziesiąt sześć i znów napotykamy owe

znamienne cyfry - sześć, sześć, sześć! Któż może zaprzeczyć, że nie są to nasze ostatnie dni, że

nadchodzi czas Apokalipsy? W tym czasie rozpaczy i ognia siedząc na tej zmartwiałej planecie,

czekając na Jego sąd, musimy...

- ...najnowsze informacje napływające z obserwatoriów potwierdzają, że nie

zanotowano poważniejszych efektów zmiany momentu, gdy Ziemia zmieniła szybkość rotacji.

Naukowcy są zgodni, że zwolnienie obrotów wokół osi powinno było spowodować globalną

katastrofę, która mogła nawet zniszczyć wszelkie życie. Jak dotąd jednak zanotowano jedynie

niewielkie zmiany przyływów. Dwie godziny łożu Raymond Bartell, doradca naukowy

prezydenta, złożył następujące oświadczenie:

Obliczenia wykazują, że obecna prędkość obrotu Ziemi dookoła osi zrównała się z prędkością obrotu dookoła słońca. To znaczy, że dzień i rok trwają tak samo długo. Oznacza to dalej, że Ziemia pozostanie w obecnym położeniu w stosunku do Słońca, tak że oświetlona strona pozostanie oświetlona już zawsze, zaś druga półkula pozostanie w wiecznym mroku. Inne efekty, jakie mogły towarzyszyć zwolnieniu obrotów, to zalanie terenów przybrzeżnych, zawalenie się większości budynków, trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. W tej chwili nie mamy racjonalnego wyjaśnienia tego zjawiska i musimy przyznać, że chyba rzeczywiście Thomas Prorok sprawił cud, ponieważ nie ma innego sposobu...

- Jestem Alfą i Omega, początkiem i końcem, mówi Pan, który jest, który był i który przyjdzie, Wszechmogący...

Gniewnym naciśnięciem Thomas ucisza wszystkie głosy płynące z radia. Alfa i Omega!

Apokaliptyczna bzdura! Bełkot rozhisteryzowanych klechów wylewający się z tysięcy stacji nadawczych zatruwających powietrze! Thomas pogardza tymi wszystkimi zwiastunami zagłady. Żaden z nich nic nie rozumie. Jego gardło wypełnia natłok gniewnych, bezładnych słów. Prawie go dławi. W ustach ma metaliczny smak. Kraft znów namawia go, żeby przemówił. Dlaczego Kraft nie przemówi sam chociaż raz? On wierzy mocniej niż ja. On jest prawdziwym prorokiem. Pomysł ten jednak jest głupi. Zanudziłby wszystkich na śmierć.

Skinął na niego ręką.

- Mikrofon - mruczy. - Daj mi mikrofon. W jego otoczeniu rozlega się szmer podniecenia.

- On chce mikrofon - szepczą. - Dajcie mu mikrofon.

Zamieszanie wśród techników. Kraft wciska płytkę zimnego metalu w dłoń proroka, uśmiecha się, mruga porozumiewawczo.

- Uraduj ich serca - szepcze. - Oczaruj ich.

Wszyscy czekają. W dolinie pochodnie poruszają się w górę i w dół, w lewo i w prawo.

Czy oni tam tańczą? Wysoko nad ich głowami księżyc tkwi w swojej części nieba jak przymarznięty. Gwiazdy również tkwią w miejscu. Thomas nabiera powietrza w płuca. Czuje, jak powietrze wpływa do wnętrza, czuje, jak uderza mu do głowy. Czeką, aż pojawi się to lekkie oszołomienie, które rozwiąże mu język. Czuje, że gotów jest mówić. Słyszy rozpaczliwe skandowanie: Tho-mas! Tho-mas! Tho-mas! Już ponad pół dnia minęło, gdy przemawiał ostatni raz. Jest napięty i pusty. Przez cały Dzień Znaku pościł i oczywiście nie spał. Nikt nie spał.

- Przyjaciele - zaczyna. - Przyjaciele, mówi Thomas. Wzmacniacze wyrzucają jego głos w powietrze. Tysiące głośników unoszących się w powietrzu podchwytuje jego słowa, które zaczynają rozbrzmiewać w całej dolinie i wracają echem. Słyszy okrzyki, dziwne wrzaski. Nawet jego własne imię powraca zniekształcone: Too-mis! Too-mis!

- Minął już prawie cały dzień od czasu, gdy Pan dał nam Znak, o który prosiliśmy. Dla nas był to długi okres ciemności, dla innych był to okres dziwnego światła, a dla wszystkich był to okres strachu. Ale chciałbym wam powiedzieć: NIE... BÓJCIE... SIĘ. Bóg jest dobry, a my do mego należymy.

Thomas przerywa. Nie tylko dla efektu. W gardle czuje szaleństwo. Daje gwałtowny znak Kraftowi marszcząc brwi i ten podaje mu butelkę. Thomas pociąga głęboki łyk czerwonego, chłodnego, mocnego wina. Ach. Patrzy na pobliski okran. Jest transmisja z doliny. Co tam się dzieje! Spoceni, półnady lub nawet zupełnie nady szaleńcy z wytrzeszczonymi oczami podskakujący... podskakujący. Wzywają jego imienia, jakby był bóstwem. Too-mis!

Too-mis!

- Są tacy, którzy wam mówią - ciągnie dalej Thomas - że zbliża się koniec świata, że nadchodzi sąd ostateczny. Mówią o Apokalipsie i gniewie Bożym. A co ja na to mówię? Ja mówię: NIE... BÓJCIE... SIĘ. Bóg jest litościwy. Prosiłszy Go o znak i znak był dany. Czyż nie powinniśmy się cieszyć? Teraz możemy być pewni Jego obecności, Jego pomocy. Nie zwracajcie uwagi na to krakanie. Odrzućcie obawy. Jesteśmy otoczeni Jego miłością!

Znowu Thomas przerywa. Po raz pierwszy od kiedy pamięta, czuje, że nie panuje nad audytorium. Czy dociera do nich? Czy uderza we właściwe struny? Czy może już zaczyna ich tracić? Może to był błąd, że pozwolił Kraftowi namówić się na zabranie głosu tak wcześnie. Myślał, że jest gotów. Może jednak nie był. Widzi, że Krafft patrzy na niego •konaternowany. Bez słów, gestami sygnalizuje, żeby mówił dalej. Pewność siebie Thomasa na chwilę znika. Strach zalewa mu duszę. Wie, że jeżeli w tej chwili zawiedzie, może zostać zniszczony przez siły, które sam rozpętał. Stojąc na brzegu przepaści szuka rozpaczliwie swego zwykłego spokoju. Gdzież jest ten żelazny szyk słów, który potrafił ruszyć nie proszony z głębin jego umysłu? Jeszcze jeden łyk wina. Prędko. Dobrze. Krafft nerwowo zaciera ręce, próbuje przesłać mu uśmiech zachęty. Thomas poprawia włosy, prostuje ramiona, wypina pierś. Nie bój się!

Czuje, że powraca samokontrola po tej przerażającej chwili jej braku. Oni są jego. Ci wszyscy, którzy go słuchają. Zawsze byli jego. Co oni tam krzyczą w dolinie? To nie jest już jego imię. To jakiś nowy okrzyk. Wysila słuch. Inne słowo. Jakie?

- Słońce - mówi Krafft.

Tak, oni chcą słońca Słoń-ca! Słoń-ca! Słoń-ca!

- Słońce - mówi Thomas. - Tak. Dzisiaj słońce stoi nieruchomo. To Jego znak dla nas.

NIE BÓJCIE SIĘ! To On zdecydował, że trwać będzie długi świt nad Jerozolimą, a u nas trwać będzie długa noc. Ale nie aż tak długa. Wkrótce się zakończy.

Thomas czuje nareszcie przyływ mocy. Krafft kiwa do niego, a Thomas odpowiada mu

skinieniem i spluwa winem pod jego stopy. Zdaje sobie sprawę z ryzyka, jakie związane jest z przepowiedniami, i z radości z tym ryzykiem związanej. Powiem, co myślę, i zaufam Bogu, że to urzeczywistni. Godząc się na ryzyko i triumfując nad zwątpieniem, Thomas ciągnął dalej:

- Dzień, w którym dano znak, zakończy się za kilka minut. Znów Ziemia zacznie się obracać a księżyc i gwiazdy ruszą w swoją drogę po niebie. Odłóżcie pochodnie, idźcie do domu i wnieście do Niego modły dziękczynne, gdyż ta długa noc przeminie i świt o wyznaczonej godzinie nadejdzie.

Skąd to wiesz, Thomas? Skąd ta pewność? Oddaje mikrofon Kraftowi i prosi o wino.

Wokół twarzy stężałe od napięcia, wytrzeszczone oczy, zaciśnięte usta. Thomas uśmiecha się.

Wchodzi w tłum. Klepie ludzi po plecach, rozdaje kuksańce, śmieje się, bierze ich w objęcia, mruga znacząco, puka ich wesoło palcem w piersi. Bądźcie dobrej myśli, o wy, którzy idziecie za mną! Czyż nie podzielacie mojej wiary w Niego? Pyta Krafta, jak mu poszło. Świetnie.

Tylko to wahanie w połowie przemówienia. Thomas uderza Krafta w plecy z taką siłą, jakby chciał mu obluzować zęby. Pocziwy, stary Saul. Moje natchnienie, mój doradca, moje światło w ciemności. Thomas wyciąga raka z butelką do Krafta. Kraft kręci przecząco głową. Kraft ma swoje żelazne zasady odnośnie picia i w ogóle sposobu postępowania. Thomas wręcz przeciwnie. Masz mi za złe, prawda, Saul? Potrzebujesz jednak mojej charyzmy. Potrzebujesz mojej energii i mojego potężnego głosu. To bardzo złe, Saul, że prorocy nie są tak porządni i dobrze wychowani, jakbyś chciał.

- Dziesiąta - mówi ktoś. - To już trwa dwadzieścia cztery godziny.

- Księżyc! - woła jakaś kobieta. - Popatrzcie! Czy nie poruszył się?

- Tego nie można zauważyć gołym okiem - mówi Kraft. - Nie ma na to sposobu.

- Ja czuję, że Ziemia się obraca! - woła jeden z techników.

- Spójrzcie na gwiazdy!

- Thomas! Thomas!

Wszyscy biegną do niego. Thomas, rozpromieniony, wyciąga do nich swe potężne ramiona, potwierdza, że on też już to czuje. Tak. Znowu zapanował ruch we wszechświecie. Może poruszenia ciał niebieskich są zbyt powolne, żeby zauważyć je na pierwszy rzut oka, może będzie trzeba godziny lub dwóch, żeby się upewnić, ale już wie, jest pewien, absolutnie pewien. Pan cofnął swój Znak. Ziemia znów ule obraca.

- Możemy teraz iść spać - mówi Thomas radośnie - • powitać jutrzeńkę w weselu.

Rozdział 2

Taniec Miłośników Apokalipsy

Każdego popołudnia zespół Miłośników Apokalipsy spotyka się nad cuchnącym brzegiem jeziora Erie, aby tańcem uczcić zachód słońca. Ich twarze są groteskowo pomalowane w przerażające pasy, wygląd ich jest dziki, poruszają się gwałtownymi, chwiejnymi krokami, wiją się konwulsyjnie - prawdziwy taniec śmierci. Dwa potężne, złociste głośniki umieszczone jak jakieś bóstwa na szczycie metalowych drągów, wbitych w przesiąkniętą wodą ziemię dudnią abstrakcyjnymi rytmami. Lider zespołu stojąc zanurzony aż po uda w brudnej wodzie podśpiewuje, wymachuje rękami i kieruje zespołem wydając krótkie, chrapliwe okrzyki: Ludzie... święci ludzie... ludzie wybrani... ludzie błogosławieni... ludzie prześladowani... tańczcie...! tańczcie...! koniec się zbliża! Więc tańczą. Palce wyprężone w powietrzu, łokcie rozpierające pustą przestrzeń, wznoszone wysoko kolana. Zbliżają się do jeziora, cofają się, znowu się zbliżają, jak gdyby wahali się dostąpić zbawienia. Spotykają się tu od początku roku siedem razy w tygodniu. Rozpoczęli w owym pamiętnym roku, ale większą grupę widzów udało im się zebrać jedynie w tygodniu, w którym był dany Znak. Na początku, w mroźnych dniach stycznia nikomu nie chciało się przychodzić, żeby oglądać tuzin szaleńców podskakujących na smaganym wiatrem lodzie. Później, od czasu

do czasu, pokazywano obrządki w telewizji i to spowodowało nielicznych ciekawskich. Z nastaniem łagodniejszych, kwietniowych wieczorów może około trzydziestu tancerzy i ze dwudziestu gapiów można było spotkać na brzegu jeziora. Teraz jest jednak czerwiec, ów pamiętny czerwiec, w którym Pan w całym swym majestacie ujawnił się i z pobliskich przedmieść Cleveland zbiegają się tysiące, by oglądać tancerzy co wieczór. Szeregi policjantów utrzymują tłum w bezpiecznej odległości. Telewizja kablowa przekazuje obraz na obrzeża tłumu, skąd i tak nic zobaczyć nie można. Nad tłumem unoszą się helikoptery sieci telewizyjnych czyhających na jakieś niezwykle wydarzenie - śmierć jednego z tancerzy, rozruchy w tłumie, masowe nawrócenia, jakiś cud, cokolwiek. Dzisiaj powietrze jest chłodne. Czerwieniejące słońce przysłonięte lekką mgiełką zawsze obecną w tym rejonie chyli się nad jeziorem. Tancerze poruszają się w szalonych układach. Pierwszy szereg zbliża się do wody, moczy stopy, cofa się. Lider uderza w wodę, wzbijają się bryzgi, wzywa tancerzy wysokim, pełnym wysiłku głosem.

- Ludzie... ludzie święci, ludzie wybrani...

- Alleluja! Alleluja!

- Podejdźcie a otrzymacie stygmat! Ludzie błogosławieni... ludzie prześladowani...

przybądźcie... otrzymacie stygmat od Boga!

- Alleluja!

Widzowie poruszają się niepewnie. Niektórzy trącają się łokciami i chichoczą.

Niektórzy, patrząc uporczywie, trzymają się za ręce. Usta niektórych poruszają się cichą modlitwą lub cichymi przekleństwami. Niektórzy wyglądają, jak gdyby chcieli przyłączyć się do tancerzy. Niektórzy przyłączają się. Co wieczór kilka osób wysuwa się z tłumu. Również co wieczór kilka osób próbuje przerwać kordon policyjny i zaatakować tancerzy. Tylko w czerwcu siedmiu widzów miało atak serca, z czego pięć przypadków było śmiertelnych.

- Sługi Boże! - krzyczy człowiek stojący w wodzie.

- Alleluja! - odpowiadają tancerze.

- Rok mija! Nadchodzi czas!

- Alleluja!

- Zagrzmią trąby i zostaniemy zbawieni!

- Tak! Tak! Tak! Tak!

Cóż za szal tańca! Cóż za dzikość na twarzach! Wymalowane pasy krzywią się i spływają w miarę, jak pot spłukuje gęste i tłuste barwniki. Można by było rozsypać rozżarzone węgle na brzegu jeziora, a tancerze i tak by po nich stąpali, nieświadomi i szczęśliwi.

Choreografia tej wiary pochłania ich całkowicie i nic nie jest im w stanie przeszkodzić. Tak mało zostało czasu i tyle świętego wysiłku trzeba dokonać, zanim nastąpi koniec! Czerwiec już prawie minął. Minęło już pół roku. Zbliża się styczeń, początek nowego tysiąclecia, 1 stycznia 2000 nastąpi za sześć i pół miesiąca, a On dał już swój Znak, że koniec świata się zbliża.

Tańczą. Ekstatyczne ruchy prowadzą do zbawienia.

- Bójcie się i chwalcie Boga! Nadchodzi dzień sądu!

- Alleluja! Amen!

- Chwalcie Tego, który stworzył niebo i ziemię, i morze, i źródła wody!

- • Alleluja! Amen!

Tańczą. Muzyka staje się coraz bardziej natarczywa. Ostre dźwięki wypełniają powietrze. Widzowie zaczynają rytmicznie klaskać i bujać się. Zbliża się pierwszy nawrócony tego wieczora. To kobieta w średnim wieku. Szuka drogi przez kordon policji. Elektroniczne urządzenie sprawdza, czy nie ma ukrytej broni i materiałów wybuchowych. Jest niegroźna.

Przekracza kordon i biegnie potykając się, żeby przyłączyć się do tancerzy.

- Nadchodzi dzień Jego gniewu! Któż mu się oprze?

- Amen!

- Przyjmijcie jego stygmat, a zostaniecie zbawieni!

- Stygmat... stygmat... otrzymamy stygmat... będziemy zbawieni...

- Potem widziałem czterech aniołów stojących na czterech krańcach ziemi

powstrzymujących cztery wiatry ziemi, aby nie wiał wiatr na ziemię ani na morze, ani na żadne drzewo! - wrzeszczy mężczyzna stojący w wodzie. - Widziałem też innego anioła wstępującego od wschodu słońca, który miał stygmat Boga żywego i który zawołał głosem donośnym na czterech aniołów, którym zezwolono wyrządzić szkodę ziemi i morzu, mówiąc: nie wyrządźcie szkody ani ziemi, ani morzu, ani drzewom, dopóki nie opatrzymy stygmatem sług Boga naszego na czołach ich.

- Stygmat! Alleluja! Amen!

- I usłyszałem liczbę tych, których opatrzone stygmatem: sto czterdzieści cztery tysiące ze wszystkich plemion Izraela.

- Stygmat! Stygmat!

- Przybądźcie, a otrzymacie stygmat! Tańczcie, a otrzymacie stygmat!

Słońce zapada w jezioro. Czerwień zachodu rozlewa się na horyzoncie. Tancerze wrzeszczą ekstatycznie i rzucają się w wodę. Ochlapują się, chrzczą, piją wodę, wypluwają i piją znowu. Otaczają lidera. Oczekują jego błogosławieństwa. Wśród widzów wybucha gniewny pomruk. Są niezadowoleni z tej historycznej demonstracji wiary. Menażeria! Cyrk! Szaleńcy. Po co tu przyszliśmy? Pogardzamy nimi.

A jeżeli mają rację? A jeżeli świat rzeczywiście skończy się 1 stycznia, a my pójdziemy do piekła, podczas gdy oni zostaną zbawieni? Niemożliwe. Potworne. Absurdalne. A jednak, kto może to potwierdzić? Przecież w zeszłym tygodniu Ziemia zatrzymała się na całą dobę. Jesteśmy w ręku Boga. Zawsze byliśmy, ale teraz już nie możemy w to wątpić. Nie możemy już

zaprzeczać, że On jest tam w górze. Patrzy i słucha. Myśli o nas. A jeżeli koniec rzeczywiście nadchodzi, jak można się do tego przygotować? Czy przyłączyć się do tancerzy? Boże, dopomóż! Zapada noc. Spójrzcie na tych idiotów taplających się w jeziorze.

- Alleluja! Amen!

Rozdział 3

Gdy rozum śpi, budzą się upiory

Kiedy miałem około siedmiu lat, czyli gdzieś w latach sześćdziesiątych, pewnego niedzielnego poranka bawiłem się przed domem, polując na motyle. Nagle pojawiło się trzech piegowatych irlandzkich chłopców z sąsiedztwa. Wracali z kościoła. Najmłodszy był w moim wieku, starsi mieli może po osiem lub dziewięć lat. W moim pojęciu byli to duzi chłopcy, zahartowani, silni, śmiali i obcy. Mój ojciec był profesorem na wyższej uczelni, ich zaś konduktorem autobusu lub górnikiem. Byli więc dla mnie zupełnie obcy, tak jak mogli być turyści z Patagonii. Zatrzymali się i przyglądali mi się może przez minutę, a później najstarszy wywołał mnie na ulicę i zapytał, jak to się stało, że nigdy nie spotkali mnie w niedzielę w kościele.

Najprostszą i najbardziej taktowną rzeczą, jaką mogłem im powiedzieć, było, że nie należałem do kościoła rzymskokatolickiego. To była prawda. Myślę, że chcieli jedynie dowiedzieć się, jakiego byłem wyznania, ponieważ nie chodziłem do ich kościoła, czy byłem Żydem, muzułmaninem, prezbiterianinem, baptystą, czy kim? W owym czasie byłem jednak zadowolonym z siebie, małym cwaniakiem i zamiast wyjść dyplomatycznie z sytuacji, powiedziałem im z zadowoloną miną, że nie chodzę do kościoła, ponieważ nie wierzę w Boga. Popatrzyli na mnie, jak gdybym właśnie wysmarkał nos w amerykańską flagę.

- Powtórz to - zażądał najstarszy.

- Nie wierzę w Boga - powiedziałem. - Religia to oszustwo. Tak mówi mój tata, i

myślę, że ma rację.

Zmarszczyli brwi, cofnęli się o kilka kroków i zaczęli naradzać się przyciszonymi, poważnymi głosami często rzucając spojrzenia w moim kierunku. Widocznie byłem pierwszym ateistą, jakiego spotkali. Przypuszczałem, że zaraz rozpoczniemy debatę na temat istnienia Istoty Boskiej. Spróbują wytłumaczyć mi powody, dla których tracili tak wiele cennego czasu w Kościele Naszej Pani Wszystkich Trosk, a później ja będę próbował wykazać im, jak głupio było tak bardzo przejmować się niewidzialnym staruszkim w niebie. Dysputy teologiczne nie były jednak w ich stylu. Skończyli naradę i ruszyli w moim kierunku. Nagle w ich oczach dostrzegłem groźbę i kiedy dwóch młodszych rzuciło się na mnie, wyminąłem ich i zacząłem uciekać. Mieli dłuższe nogi, ale ja byłem zwinniejszy, a poza tym byłem w swojej dzielnicy i lepiej znałem teren. Przebiegłem kawałek ulicą, skręciłem w boczną alejkę, później przez dziurę za garażem Allertonów, zawróciłem w ich kierunku równoległą uliczką i wróciłem do domu kuchennymi drzwiami. Przez kilka następnych dni nie oddalałem się od domu i zachowywałem czujność, ale pobożni Irlandczycy nigdy już nie pojawili się, by ukarać bluźniercę. Od tego czasu nauczyłem się ostrożniej wyrażać opinie na tematy religijne. Nigdy nie zostałem wierzącym. Miałem naturalne skłonności do sceptycyzmu. Jeżeli czegoś nie można zmierzyć, to ta rzecz nie istnieje. To dotyczyło nie tylko Boga Ojca i Jednorodzonego Syna, ale również wszelkiego mistycyzmu, który ludzie tak lubili w tych latach napięć, jak latające talerze, buddyzm Zen, kult Atlantydy, Hare Krishna, makrobiotyka, telepatia i inne rodzaje pojmowania ponadmysłowego, jak teozofia, entropia, astrologia i tym podobne dziedziny. Gotów byłem uznać istnienie neutrino, kwazarów, dryfowania kontynentów i różnych rodzajów kwarków, ponieważ odczuwałem szacunek wobec dowodów ich istnienia. Nie mogłem zaakceptować zjawisk nieracjonalnych stanowiących opium dla mas. Kiedy księżyc jest w siódmym domu... nie, dziękuję. Trzymałem się ścieżki rozumu w trakcie trudnego okresu

dojrzewania i uparty, mały Billy Gifford, cwany zbieracz owadów, pozostał z dala od kościoła i stał się profesorem dr Williamem F. Giffordem z Wydziału Muzyki Uniwersytetu Harvarda.

Nie byłem nastawiony wrogo do religii. Po prostu ją ignorowałem tak, jak ignorowałem sprawozdania prasowe z gier narodowych w Afganistanie.

Zazdrościłem wierzącym ich wiary. Gdy nadchodziły złe czasy, jak dobrze byłoby pójść do Naszej Pani Wszystkich Trosk po pociechę. Oni mogli się modlić, oni mieli złudzenie, że Boży plan kierował tym najlepszym ze światów, podczas gdy ja pozostawałem w bezbarwnej i burzliwej pustce pośpiesznie zdając sobie sprawę, że świat nie ma sensu i że jedyna uniwersalna prawda, która nim rządzi, to ta, że entropia w końcu zwycięży.

Były okresy, kiedy szczerze pragnąłem umieć się modlić, kiedy byłem zmęczony korzystaniem z wyłącznie mojego kapitału egzystencjonalnego, kiedy chciałem paść na twarz i zawołać: Panie, poddaję się, teraz Ty coś zrób. Mogłem Go prosić o tyle rzeczy. Boże, pozwól, aby gorączka mojej córki spadła. Nie pozwól, żeby mój samolot się rozbił. Nie dopuść, żeby zastrzelili i tego prezydenta. Naucz rasy żyć ze sobą w pokoju, zanim czarni zaczną podpalać domy na mojej ulicy. Nie pozwól, żeby miłujący pokój, oświeceni studenci podłożyli bombę w ośrodku obliczeniowym w tym semestrze. Niechaj kolejny skandal z narkotykami nie wydarzy się w szkole, do której chodzi mój syn. Niech baranek spoczywa spokojnie wraz ze lwem.

Poruszając się w tym chaosie miałem często taką samą skłonność do pobożności, jak pobożni do grzechu. Jednakże moja miłość rozumu nie pozwalała mi opowiedzieć się za rzeczami nieracjonalnymi. Czy to był upór, czy przerost ambicji, ale niezależnie od tego, jak źle układała się sytuacja, Bili Gifford nie miał zamiaru poddać się tyranii. Nawet łaskawej tyranii. Nawet kiedy miałem prosić o łaskę. Można było prosić o tak wiele, chociaż wiary było tak mało.

Uczciwość intelektualna przede wszystkim, Gifford! Nawet jeżeli każdy następny rok był gorszy niż poprzedni.

Gdy dorastałem w latach siedemdziesiątych, było w modzie, by poważni i wykształceni ludzie spotykali się i przekonywali nawzajem, że zachodnia cywilizacja upada. Niemcy mają na to odpowiednie słowo - Schadenfreude, czyli przyjemność, jaką można wyciągnąć z katastrofy, a lata siedemdziesiąte były właśnie naznaczone katastrofami prawdziwymi lub oczekiwany - wzrost zanieczyszczenia środowiska, eksplozja demograficzna, Wietnam i wszystkie inne małe Wietnamy, transport ponaddźwiękowy, czarny separatyzm, retorsje białych, niepokoje studenckie, ekstremistyczny ruch wyzwolenia kobiet, neofaszyzm i nowa lewica, neonihilizm i nowa prawica, setki różnych innych wariantów dynamicznego braku racjonalizmu - mnóstwo pokarmu dla Schadenfreude. Tak - mówili moi rodzice i ich cywilizowani przyjaciele z powagą, smutkiem i satysfakcją - wybuch się zbliża, wszystko się rozleci i trafi do rynsztoka. Przez opary sobotniego drinka przebijały cytaty z Yeatsa: "Wszystko się wali, centrum się nie utrzyma, anarchia opanuje świat". Co wtedy zrobimy? Nie mamy już na to wpływu. Czy mamy się modlić? Wnieść do Niego wołanie? Nie rnoę. Czuję się jak idiota. Wybacz mi, Boże, ale muszę odmówić. Najlepszym zabrakło wiary, zaś najgorsi są pełni pasji.

Oczywiście wszystko okazało się jeszcze gorsze, niż przewidywali pesymiści z lat siedemdziesiątych. Nawet ci, którzy zachłystywali się wyliczaniem klask, jakie jeszcze miały nadejść, pod swą ponurą radością kryli iskierkę nadziei, że rozsądek jeszcze zatriumfuje. Najbardziej ponury z proroków miał cichą nadzieję, że szlachetne rezolucje ekologiczne zostaną w końcu przemienione w działanie, że szaleńcza spirala urodzeń zostanie powstrzymana, że niezliczone grupy protestu powstrzymają swą retorykę i zmodyfikują swe rewolucyjne podejście, jeżeli ich pierwsze cele zostaną osiągnięte. Tak się jednak nie stało. Przyszły lata osiemdziesiąte - • dziesięciolecie, kiedy stałem się młodym mężczyzną - i historia jeszcze się powiększyła. Wtedy to zaczęły się dni masek gazowych. Wprowadzono planowe

wyłączenia elektryczności, sprawnie rozpięto międzynarodowy chaos działaniami Grupy Dobrobytu Ludności Krajów Trzeciego Świata. Nastąpiły rozruchy na lotniskach. Spadły czarne deszcze. Wypowiedziano wojnę komputerom. Przeprowadzono pacyfikację Brazylii. Wprowadzono indeks Claude'a Harkinsa i w związku z tym przeprowadzono akcję palenia książek. Wkroczyła do akcji policja ekologiczna. Powstała Liga Czystości Genetycznej i jej jeszcze bardziej przerażający murzyński odpowiednik. Zorganizowano Krucjatę Dzieci do Świątoci. Rozgorzała wojna dziewięcioletnia. Zdarzyła się Noc Laserów. Centrum się nie utrzymało. Świat znalazł się na równi pochyłej. Wśród tego całego zamętu skończyłem studia, ożeniłem się, urodziły mi się dzieci, zrobiłem karierę, zwalczałem codzienne przeciwności i jak każdy czekałem na ostateczną, nieuchronną katastrofę.

Któż mógł mieć wątpliwości, czy katastrofa taka nadejdzie? Ani ty, ani ja. Nie wątpili w nią też ci dziwni ludzie o dzikich oczach, którzy pojawili się wśród nas jak pleśń na gnijącym pniu, Miłośnicy Apokalipsy, którzy podnieśli Schadenfreude do rangi sakramentu i utworzyli ekstatyczną religię zagłady. Koniec świata - twierdzili - nastąpi 1 stycznia 2000 roku i w tym dniu 144 000 wybranych, którzy uzyskali stygmat od Boga za swoje oddanie i dobre uczynki, zostanie zbawionych. Reszta biednych grzeszników będzie zawleczona przed Sąd.

Rozumiałem, o co im chodzi. Chociaż odrzucałem całą tę ich gadaninę o Drugim Przyjściu, już dawno odrzuciwszy Pierwsze, i chociaż ani nie podzielałem ich pewności co do dokładnej daty Apokalipsy, ani nie zgadzałem się co do teorii wyboru tych, co mają przeżyć, zgadzałem się, że koniec już bliski. Fakt, że przez ponad ćwierć wieku rozmawialiśmy wyłącznie na ten temat na cocktailach, nie gwarantował, że cywilizacja zachodnia upadnie. Jednakże rzeczy, o których ludzie gadają na cocktailach, okazują się czasami prawdziwe. Jako fizyk dobrze rozumiejący teorię entropii dostrzegałem z łatwością oznaki rozkładu społeczeństwa. Przez ponad wiek funkcje społeczeństwa stawały się coraz bardziej skomplikowane. Wymagało to coraz

wyższego poziomu organizacji, podczas gdy przez cały czas zmierzaliśmy do uniwersalnej demokracji, do świata składającego się z kilku miliardów samorządnych republik, składających się z maksimum trzech osób każda. Jakikolwiek system zamknięty, który doświadcza równocześnie szybkiego wzrostu złożoności mechanicznej i entropii, musi się rozpaść na długo przedtem, zanim nastąpi maksymalna dystrybucja energii. System uzgodnień i umów, na którym oparta jest cywilizacja, zostaje zniszczony. Wszelkie stosunki społeczne, poczynając od parkowania samochodu po rozstrzygnięcie międzynarodowego sporu granicznego, stają się problemem, który może być rozwiązany jedynie przy użyciu siły, ponieważ wszystkie sposoby "cywilizowane" załatwiania sporów zostały zawieszane lub zarzucone. Kiedy dostarczenie poczty staje się przedmiotem negocjacji pomiędzy obywatelem a listonoszem, czy można oczekiwać, że zapanuje rozsądek? Gdzieś i kiedyś minęliśmy punkt, poza którym nie ma możliwości powrotu. Było to może w 1984, a może w 1972 roku, a może tego okropnego listopadowego dnia w 1963 roku. Teraz nic już nie mogło powstrzymać nas od stoczenia się w przepaść.

Nic?

W Newadzie pojawił się Thomas, kudłaty Thomas, Thomas Prorok. Wyszedł pomiędzy automatów do gry i rulety i zawołał: Jeżeli wierzysz, będziesz zbawiony! Był przeciwnikiem Miłośników Apokalipsy, jego przesłaniem było, że cywilizację można jeszcze ocalić, że jeszcze nie jest za późno. Głos nadziei, wróg entropii, nowy Apostoł Pokoju. Dla ludzi takich jak ja wyglądał tak samo dziko, kosmato i niebezpiecznie jak zwolennicy zagłady, ponieważ podobnie jak Miłośnicy Apokalipsy zajmował się siłami działającymi poza strefą zdrowego rozsądku. Można było przypuszczać, że wychynął z jakichś zalesionych zakątków Arkansas lub z bardziej zwariowanych miasteczek Kalifornii. Tak jednak nie było. Pojawił się w Newadzie, na pustyni, jak Jan Chrzciciel. Prawdziwy prorok naszych czasów. Obszarpany,

grubiański, zapity, cyniczny. Potrafił rozpocząć telewizyjne kazanie transmitowane na cały świat od beknięcia. Był żołnierz, który z całym spokojem obrzucał napalmem różne prowincje w czasie pacyfikacji Brazylii. Zajmował się też dorywczo przemytem środków halucynogennych. Był ekspertem od kradzieży kieszonkowych i wirusów komputerowych. Zajął się ewangelizacją, ponieważ widział w niej łatwe pieniądze. Sprzedawał Ewangelię i wykradał pieniądze z tacy. Twierdził później jednak, że przydarzyła mu się dziwna rzecz. Ujrzał Pana i zrozumiał błędy, jakie popełnił. Rozgorzało w nim poczucie prawości. Nie ukrywając swej nieciekawej przeszłości podawał się za żywy przykład nawrócenia. Popatrzcie, jeżeli ja mogę być wyzwolony od grzechu, każdy może mieć nadzieję! Zainteresowały się nim środki masowego przekazu. Ten jego wspaniały głos, ta burza włosów, te oczy, ta hipnotyczna pewność siebie - idealny. Wędrował od Kalifornii po Florydę i mówił o nadchodzącym tysiącleciu. Zbierał zwolenników. Było ich tysiące, później miliony. Rekrutowali się spośród tych, którzy nie byli jeszcze gotowi na to ostateczne rozstrzygnięcie. Wzywał ich do modlitwy. Organizował spotkania, które były transmitowane do Karaczi i Katmandu, Addis Abeby i Szanghaju. Nie stosował się do żadnej konkretnej teologii, żadnych konkretnych tekstów. Jego podejście było ekumeniczne i do zaakceptowania dla każdego, czy to wyznawcy konfucjanizmu, muzułmanina czy hinduisty. Słuchajcie - mówił Thomas - Bóg istnieje. Istnieje jakaś wszechpotężna istota, której boski plan rządzi wszechświatem. Ona nas obserwuje. Nie może być inaczej! Jest to istota dobra, która nie dopuści, aby przytrafiło nam się zło, jeżeli tylko będziemy postępować według ustalonych przez nią zasad. Wypróbujcie nas, zsyłając nam problemy, żeby sprawdzić głębię naszej wiary. A zatem, bracia, pokażmy Jej naszą wiarę! Módlmy się razem i wnieśmy do Niej wielki głos! Ona da nam z pewnością jakiś znak, niewierni zostaną w końcu nawróceni i nadejdzie era czystości. Ludzie myśleli - czemu nie spróbować? Mamy wiele do zyskania, a nic do stracenia. Była to zwulgaryzowana wersja

rozumowania Pascala: jeżeli On tam jest, to może nam pomóc. Jeżeli Go nie ma, to straciliśmy jedynie trochę czasu. Ustalono godzinę wielkiej prośby.

Wśród naukowców dobrze bawiliśmy się tym całym pomysłem będąc gruboskórnymi racjonalistami. Czasami jednak do żartów wkradała się pewna nerwowość i w śmiechu przebijała sztuczna wesołość, jak gdybyśmy podejrzewali, że w rozumowaniu Pascala mogła być przewaga po stronie pozytywnej, zaś Thomas może miał trochę racji. Ja oczywiście znajdowałem się wśród sceptyków, chociaż, jak zwykle, zatrzymywałem swoje opinie dla siebie. Było to wynikiem lekcji, której nauczyłem się jeszcze w dzieciństwie, uciekając przed Irlandczykami. Nie zwracałem większej uwagi na Thomasa i jego przesłanie, podobnie jak na wyniki rozgrywek piłki nożnej czy telewizyjne programy dla dzieci. Nie wchodziły w sferę moich zainteresowań i mnie nie dotyczyły. Kiedy jednak zbliżył się dzień modlitwy, zaczęły przemawiać dawne skłonności. Poddaj się wreszcie, Gifford. Pochyl głowę i spłać daninę. Nawet gdyby On był mitem, jak zawsze to twierdziłeś, zrób to. Zrób to! Dyskutowałem ze sobą. Mówiłem do siebie: nie bądź idiotą. Nie poddawaj się odwiecznym przesądom. Przypominałem sobie święte wojny, Inkwizycję, rozpustnych papieży renesansu i wszystkie zbrodnie popełnione przez pobożnych. Cóż z tego, Gifford? Czy nie możesz być zwykłym, skromnym, bogobojnym człowiekiem chociaż raz w życiu? Padnij na kolana wraz z twymi braćmi. Przeczytaj Pascala. A jeżeli On istnieje i nasłuchuje, a twoja odmowa przeważy szalę na niekorzyść ludzkości? To przecież tak niewiele. W dalszym ciągu zwalczałem ten przebiegły głosik. Wiara to absurd - wykrzykiwałem. Nie mogę dopuścić do tego, żeby desperacja popchnęła mnie do odrzucenia rozsądku nawet w tak krytycznej chwili. Thomas to przebiegły cwaniak, a jego zwolennicy to rozhisteryzowani prostacy. A ty jesteś aroganckim członkiem elity, Gifford, który może nie pożyć wystarczająco długo, żeby tę arogancję odpokutować. Była to wojna psychologiczna. Gifford walczył z Giffordem. Rozum walczył z

wiarą.

W końcu rozum przegrał. Byłem roztrzęsiony, wytrącony z równowagi, zdemoralizowany. Najmniej spodziewane osoby opowiadały się po stronie Thomasa Proroka i czułem się w coraz większym stopniu odizolowany, zimny człowiek o kamiennym sercu, wiejski ateista krzywiący się na widok wieńców, przybijanych na drzwiach na Boże Narodzenie. Do ostatniej chwili nie wiedziałem, co zrobię, ale kiedy nadeszła godzina, znalazłem się sam w swoim gabinecie, zamknąłem drzwi na klucz, aby odseparować się od żony i dzieci - którzy stwierdzili, że i tak będą uczestniczyć w modlitwie - i padłem na kolana z policzkami płonącymi rumieńcem, a usta moje poruszały się wymawiając słowa modlitwy. Modliłem się. Na całym świecie miliardy wierzących modliły się wraz ze mną. Modliłem się zakłopotany własną słabością, a ból i wstyd ścisnęły mnie za gardło. Pan wysłuchał nas i dał Znak. Przez jeden dzień i przez jedną noc Ziemia nie poruszała się wokół Słońca i wokół własnej osi. Prawa bezwładności uległy zaprzeczeniu, podobnie jak moje poglądy. Następnie Ziemia ruszyła w dalszą drogę, jak gdyby nie zdarzyło się nic niezwykłego. Wyobraźcie sobie moją rozterkę. Chciałbym znowu spotkać owych irlandzkich chłopców. Powinienem ich przeprosić.

Rozdział 4

Thomas naucza na rynku

Słyszają, co mówicie. Mówicie, że jestem prorokiem, mówicie, że jestem świętym.

Niektórzy nawet twierdzą, że jestem Synem Bożym, który ponownie pojawił się na Ziemi. Mówicie, że spowodowałem, iż Słońce zatrzymało się nad Jerozolimą. Otóż nie. Uczynił to Bóg Wszechmogący, Pan Zastępów. To Jego wola okazana w odpowiedzi na wasze modlitwy. Ja jestem jedynie drogą, po której wędrują do Niego wasze modlitwy. Nie jestem żadnym świętym. Nie jestem Synem Bożym. Nie jestem nikim, za kogo mnie uważacie. Jestem po prostu Thomas. Kim jestem?

Jestem tylko głosem, rzecznikiem, narzędziem, za pomocą którego ujawniła się Jego wola. Nie prezentuję tu przed wami, przyjaciele, swojej skromności. Chcę, żebyście dojrzelі prawdę. Kim jestem?

Powiem wam, kim byłem, chociaż to już i tak wiecie. Byłem bandytą, byłem złym człowiekiem. Postępowałem wbrew prawu. Byłem zabójcą, kłamcą, pijakiem, oszustem! Robiłem, co chciałem. Sam stanowiłem własne prawa. Gdyby mnie złapano, na pewno nie prosiłbym o litość. Plułbym na sędziów i przyjmowałbym wyroki z podniesioną głową, ale nigdy nie zostałem złapany, ponieważ miałem szczęście i ponieważ mamy takie czasy, że złym ludziom dobrze się powodzi[^] źli ludzie kwitną, a cnotliwi są wdeptywani w błoto. Byłem poza prawem! Thomas - przestępca. Thomas - bandyta szydzący z prawa. Zło było moją religią przez cały czas, kiedy posługiwałem się miotaczami płomieni w Brazylii, kiedy drenowałem wasze kieszenie w naszych miastach, kiedy dokonywałem oszustw komputerowych. Jeżeli człowiek kiedykolwiek należał do Szatana, to byłem nim ja. I co się wtedy stało? Pan przyszedł do Szatana i powiedział: Szatanie, oddaj mi Thomasa, potrzebuję go. I Szatan oddał mnie Jemu, ponieważ Szatan jest również sługą Bożym.

I Pan wziął mnie i potrząsnął mną, i powiedział: - Thomas, jesteś śmieciem!

A ja powiedziałem: - Wiem o tym, Panie, ale kto mnie takim uczynił?

A Pan zaśmiał się i powiedział: - Jesteś odważny, Thomas, jeżeli odpowiadasz mi w ten sposób. Lubię ludzi odważnych. Ale mylisz się, przyjacielu. Dałem ci możliwość bycia świętym lub grzesznikiem, a ty wybrałeś grzech z własnej woli! Czy myślisz, że trudziłbym się tworząc złych ludzi? Ja nie tworzę marionetek. Tworzę istoty ludzkie. Dałem ci wybór, a ty wybrałeś zło. Czyż nie tak, Thomas? Czy to nie jest prawda?

A ja powiedziałem: - Tak, Panie, może to i prawda. Nie wiem.

I Pan Bóg znów się na mnie rozgniewał i znów mną potrząsnął, a kiedy się pozbierałem, miałem rozciętą wargę i krew mi kapłała z nosa, a Pan zapytał jak bym postąpił, gdybym mógł zacząć wszystko od początku, a ja popatrzyłem Mu w oczy i powiedziałem: - Panie, jak dotąd zło bardziej mi się opłacało. Pędziłem wygodne życie, miałem wszystkie swoje radości i nie spędziłem ani dnia za kratkami. Powiedz mi zatem, Panie, dlaczego nie miałbym być dalej grzesznikiem, skoro dotąd wszystko mi się udawało?

A On odrzekł: - Ponieważ już wszystko zrobiłeś, a teraz czas, żebyś zrobił coś innego.

- A co takiego, Panie? - spytałem.

- Chciałbym, żebyś zrobił dla mnie coś ważnego, Thomas - odparł Pan. - Świat pełen jest ludzi, którzy utracili wiarę, którzy nie mają żadnej nadziei, którzy uznali, że już nie warto próbować i że nadchodzi koniec świata. Chciałbym jakoś dotrzeć do tych ludzi i powiedzieć im, że się mylą. Chciałbym pokazać im, że mogą wziąć swój los we własne ręce i jeżeli wierzą w siebie i we Mnie, mogą zbudować lepszy świat.

- To łatwe, Panie - odparłem. - Dlaczego nie ukazesz się na niebie i nie powiesz im tego sam, jak to powiedziałaś mnie?

A On roześmiał się i powiedział: - O, nie, Thomas. To za łatwe. Powiedziałem ci, że nie tworzę marionetek. Oni muszą chcieć odrzucić rozpacz. To oni muszą zrobić pierwszy krok.

Czy rozumiesz Mnie, Thomas?

- Tak, Panie, ale co ja mam zrobić?

A On powiedział: - Idź do nich, Thomas. Opowiedz im o swoim zmarnowanym, bezużytecznym, sprzecznym z zasadami życia i o tym, jak Pan dał ci szansę dokonania dla odmiany czegoś wartościowego, a ty pokonałeś własne zło

I skorzystałeś z okazji. Następnie wezwij ich, by zebrali się i modlili o przywrócenie wiary i poproś o znak. Jeżeli cię wysłuchają, jeżeli będą się szczerze modlić, to obiecuję, że znak będzie dany, że ujawnię swoją obecność i wszystkie wątpliwości znikną i opadną łuski z ich oczu. Czy zrobisz to dla mnie, Thomas?

Otóż, przyjaciele, wysłuchałem Pana i stwierdziłem, że cały drzę i zlany jestem potem i w mgnieniu oka nie byłem już dawnym, brudnym Thomasem. Byłem kimś nowym i czystym. Byłem człowiekiem o szczytnych celach, człowiekiem wierzącym w coś większego i lepszego niż własna zachłanność i własne pragnienia. Tak zmieniony przyszedłem do was.

Opowiedziałem wszystko. Dalszy ciąg znacie, jak to zebraliśmy się dobrowolnie i oddaliśmy Mu nasze serca i jak On uczynił dla nas cud dwa tygodnie temu, dając nam znak, i od tej pory patrzy na nas.

Cóż jednak teraz możemy zobaczyć, teraz, jak już znak został nam dany? Cóż możemy zobaczyć?

Gdzież jest nowy świat wiary? Gdzież jest ten nowy sen o nadziei? Czy ludzie stoją ramię przy ramieniu chwając Pana i pracują razem dla osiągnięcia światłości?

Cóż więc widzimy? Widzimy gnijącą planetę, szerniałą

I popękaną aż do rdzenia. Widzimy raka zwątpienia. Widzimy wirusa zamętu.

Widzimy, że znak Jego jest opacznie tłumaczony na każdym kroku, a jego piękno jest zdeptane i zniszczone.

Wciąż widzimy wymalowanych szaleńców tańczących i bijących w bębny, wrzeszczących, że świat się skończy pod koniec tego 1999 roku. Cóż to za szaleństwo? Czyż Bóg nie przemówił? Czyż nie przekazał nam radoszej nowiny? Bóg jest z nami. Bóg jest dobry. Dlaczego Miłośnicy Apokalipsy nie zaakceptowali prawdy Jego znaku? Gorzej! Codziennie pojawiają się nowe szaleństwa! Czym są owe kulty pojawiające się wśród nas? Kim są ci ludzie, którzy żądają od Boga, aby powrócił i przedstawił swoje zamiary, jak gdyby znak im nie wystarczał? Kim są owi tchórzliwi bluźniercy, którzy twierdzą, że winniśmy paść w trwodze i wylewać łzy żalu, ponieważ przywołaliśmy nie Boga, lecz Szatana i zmierzamy ku zagładzie? Popatrzcie na wyniosłych przedstawicieli kleru, którzy odziani w szaty kapłańskie i lśniące tiary usiłują wyjaśnić znak jakimś zjawiskiem natury. Cóż to za słowa? Czy rzeczywiście pochodzą od sług Bożych? Popatrzcie na dawnych bezbożników, którzy wrzeszczą jak przerażone małpy, ponieważ ich bezbożność została im wydartą! Cóż widzimy? Widzimy wszędzie szaleństwo i trwogę, chociaż wszędzie powinniśmy widzieć radość.

Proszę was, przyjaciele, uważajcie. Spójrzycie głęboko w wasze dusze. Błagam was, niech wasze myśli będą jasne właśnie teraz, jeżeli w ogóle myślicie. Wybierzcie właściwą drogę, przyjaciele, ponieważ inaczej odrzucicie całą chwałę dnia znaku i zaprzepaście nasze największe osiągnięcie. Nie dopuszczajcie do siebie sił ciemności. Trzymajcie się z daleka od tych przekupniów handlujących opętańczą wiarą. Starajcie się odzyskać piękno tej chwili, kiedy ludzkość przemawiała jednym głosem. Proszę - jak możecie wątpić w Niego właśnie teraz? Proszę - wiara - triumf wiary - nie pozwólmy - nie - dopuśćmy - nie...

(O Boże, moje gardło! Tyle krzyku. Czuję się, jakbym łykał ogień. Daj tę butelkę!

Pośpiesz się! Wino. Wino. No, lepiej! O, tak! Znacznie lepiej. Poczekaj, jeszcze jej nie zabieraj.

Przestań się tak na mnie gapić, Saul.)

Dlatego błagam was dziś, bracia i siostry, w imię Pana... bracia i siostry (co ja takiego miałem powiedzieć?)... wzywam was, byście poświęcili się... byście zobowiązali się do... (nie mogę sobie przypomnieć do czego)... do nowej krucjaty wiary. Tego właśnie nam trzeba.

Musimy odrzucić wszystkie wątpliwości, wszelkie wahania i wszystkie nasze... (O Jezu, Saul, zgubiłem się, nie pamiętam, co miałem zrobić. Zaczynjcie grać! Szybko! O, tak! Głośniej!

Jeszcze głośniej!) Zaśpiewajmy, bracia! Wnieśmy do Niego nasz radosny głos!

Będę chwalił Pana, mego Boga,

Źródło wszelkiej mocy...

Właśnie tak! Śpiewajcie! Wszyscy śpiewajcie!

Rozdział 5

Ceremonie niewinności

Na całym świecie trwały poszukiwania najwłaściwszej reakcji na wydarzenia z 6 czerwca. Dotąd nie znaleziono zadowalającego wyjaśnienia zaistniałych zjawisk, chociaż wysuwano wiele propozycji. Emocje rosły, coraz trudniej było utrzymać nerwy na wodzy, zaskakująco wzrosła ilość przypadków użycia siły. Stawało się oczywiste, że chwilowe wstrzymanie obrotu Ziemi dookoła osi spowodowało szczególny emocjonalny stres u ludności całego świata, wywołując poważne napięcia, które trwały w ciągu następnych tygodni, a nawet się nasiliły. Przypadki przestępstw popełnianych bez żadnego motywu, a szczególnie podpałek i wandalizmu, stały się znacznie częstsze. Władze Brazylii, Indii, Zjednoczonej Republiki Arabskiej i Włoch sugerowały, że tajne organizacje rewolucyjne lub kontrrewolucyjne stały za tymi zdarzeniami korzystając z powszechnego poczucia niepewności i podsycając niezadowolenie. Jak dotąd nie ujawniono jednak żadnych dowodów w tej sprawie. Nasiliła się wrogość wobec religii. Zjawisko to nie doczekało się jeszcze wyjaśnienia. Niektórzy socjologowie wskazywali, że ta gwałtowna reakcja antyklerykalna wynikała z tego, iż

większość kościołów nie przedstawiła oficjalnej interpretacji tak zwanego cudu z 6 czerwca. Doniesienia o niszczeniu przez motłoch kościołów różnych wyznań oraz o zranieniu lub nawet zabójstwach księży nadchodziły z Meksyku, Danii, Burmy, Puerto Rico, Portugalii, Węgier, Etiopii i z Filipin, a na terenie Stanów Zjednoczonych z Alabamy, Colorado i z Nowego Jorku. Przywódcy głównych wyznań przyrzekli przedstawić oficjalne stanowisko w najbliższym czasie. Tymczasem jednak w niektórych kołach kościelnych pojawiła się tendencja do mechanistycznej lub racjonalistycznej interpretacji wydarzeń z 6 czerwca. We wtorek, na przykład, arcybiskup Yorku zaznaczając, że zabiera głos jako prywatny obywatel, a nie jako członek hierarchii Kościoła anglikańskiego, stwierdził, że nie powinniśmy całkowicie wykluczyć możliwości manipulacji ruchem Ziemi przez jakieś istoty na wyższym stopniu rozwoju pochodzące z innej planety, które chciały wywołać zamęt przygotowując inwazję. Teologowie, stwierdził arcybiskup, nie uznają, aby akt stworzenia powołujący istoty rozumne na innej planecie lub nawet w innej galaktyce był niemożliwy. Nie można też wykluczyć, kontynuował arcybiskup, że celem Pana może być oczyszczenie grzesznej ludzkości przez przybyszów z innej planety. A zatem, zwolnienie obrotu Ziemi dookoła osi może być dziełem wrogów z kosmosu, którzy pragną wyciągnąć korzyści z emocji wywoływanych kampanią prowadzoną przez Thomasa Proroka. Rzecznik koptyjskiego patriarchy Aleksandrii komentując przychylnie dwa dni później wypowiedź arcybiskupa Yorku dodał, że według prywatnych poglądów patriarchy istnienie istot rozumnych poza Ziemią jest bardziej prawdopodobne niż to, że cud z 6 czerwca mógł być wywołany powszechnym życzeniem ludzi. Wielu innych przywódców religijnych również wypowiadających się nieoficjalnie ostrzegało przed zbyt szybkim uznaniem, że zdarzenia z 6 czerwca dokonały się za sprawą Boga, nie przyjmując jednak sugestii arcybiskupa Yorku. W piątek dr Nathan F. Scharf, przewodniczący Konferencji Rabinów Amerykańskich, zaapelował do uczonych amerykańskich i izraelskich o

przedstawienie modelu komputerowego prezentującego sposób, w jaki naturalne działanie sił w kosmosie mogło spowodować zjawisko z 6 czerwca. Jedyłą odpowiedzią na jego apel była wypowiedź ministra nauki Chińskiej Republiki Ludowej Hsiangju, który stwierdził, że specjalna grupa składająca się z kilkuset astronomów chińskich pracuje już nad takim programem. Natomiast jego radziecki odpowiednik, akademik N. W. Posilipow wezwał do rewizji marksistowsko-leninowskiej teorii astronomii i wzięcia pod uwagę "możliwości interwencji jak dotąd nie określonych sił, nawet pochodzenia nadnaturalnego, w ruchy ciał niebieskich". Możemy zatem stwierdzić, że sytuacja pozostaje płynna. Obserwatorzy są zgodni, że na wypadkach z 6 czerwca skorzystały jak dotąd głównie nowo powstałe sekty apokaliptyczne, które obecnie uznają tak zwany Dzień Znaku jako oznaką zbliżającej się zagłady życia na Ziemi. Bez wątpienia ostatnio narastające gwałty i inne formy nieracjonalnego zachowania mogą być powiązane z nasilającą się aktywnością tych sekt. W ostatnich tygodniach nasilił się również rozwój wszelkiego rodzaju sekt związanych z Kościołem zielonoświątkowców. W świecie protestanckim odrodził się fenomen glosolalii, polegający na osiągnięciu ekstazy lub stanu jasnowidzenia poprzez wykrzykiwanie niezrozumiałych wyrazów: illalum gha ghollim ve illalum ghollim ghaznim kroo! Aiha! Kroo illalum nildar sitamon ghaznim. Wartość takiej praktyki jest co najmniej mehigioo camaleelee honistar zam i jest przedmiotem sporów w kołach religijnych od wielu stuleci.

Rozdział 6

Kobieta o złamanym sercu karcia Thomasa

Wiedziałam, że był w naszym kraju i musiałam się z mm spotkać, ponieważ to właśnie on był źródłem wszystkiej moich kłopotów. Wyruszyłam do jego kwatery głównej, czyli do miejsca, skąd transmitowano wszystkie jego programy w tym tygodniu, i ujrzałam go w otoczeniu grupy zwolenników. Był to bardzo przystojny mężczyzna, chociaż wyglądał zbyt

nieświeżo i dziko, jak na mój gust, ale gdyby się ogolił i ostrzygł, mógł być, według mnie, całkiem pociągający. Był duży i silny i kiedy się patrzyło na mego, chciałoby się rzucić mu w objęcia, chociaż wtedy byłam w takim nastroju, że i tak bym tego nie zrobiła a poza tym nigdy tak nie postępuję. Szłam prosto w jego kierunku. Na ulicy był ogromny tłum, ale ja się łatwo me zniechęcam. Mój mąż nazywa mnie czasami "mały buldożek". Przepychałam się przez tłum trochę kopiąc, trochę rozpychając łokciami i zdaje mi się, że nawet kogoś ugryzłam. Wreszcie udało mi się. Byli tam Thomas i ten mały, chudy człowiek, który zawsze mu towarzyszy, Saul Kraft. Wydaje mi się, że jest jego agentem prasowym czy czymś w tym rodzaju. Jak się zbliżyłam, jego trzech ochroniarzy popatrzyło na mnie, a następnie wymieniło między sobą spojrzenia. Pomyśle pewnie, och, oto kolejna wariatka. Otoczyli mnie i zaczęli odsuwać. Thomas nie patrzył w moją stronę. Zaczęłam krzyczeć, że chcę z nim porozmawiać, że mam cos ważnego do powiedzenia. Wtedy ten Saul Kraft powiedział, żeby mnie zostawili i przeprowadź mnie. Sprawdzili, czy me mam przy sobie ukrytej broni, i wtedy Thomas spytał mnie, czego chcę.

Byłam bardzo zdenerwowana. Taki sławny człowiek. Stałam jednak mocno na nogach, podniosłam głowę, jak nauczył mnie tata i powiedziałam:

- To ty jesteś wszystkiemu winien. Zniszczyłeś mnie,

Thomas. Wpędziłeś mnie w taką sytuację, że nie wiem, co mam ze sobą zrobić.

Uśmiechnął się do mnie krzywo.

- Ja?

- Powiem ci, jak to było. Chodziłam co tydzień z rodziną na mszę do Kościoła

Odkupiciela na Wilson Avenue. Dawaliśmy datki, robiliśmy, co trzeba, żeby wieść dobre, chrześcijańskie życie. Inna rzecz, że Bogiem za bardzo się nie przejmowaliśmy. Nie myślałam wcale o tym, czy On mnie słucha, kiedy odmawiam Ojciec nasz. Myślałam, że On jest zbyt

zajęty, zęby się mną przejmować, ja zaś też dłużej się nad tym nie zastanawiałam, ponieważ On przekracza moje pojmowanie. Rozumiesz? Zamiast tego modliłam się do ojców. Dla mnie ojciec McDermott był jak sam Pan Bóg. Chcę powiedzieć, że zwyczajni ludzie nie są zbyt związani z Bogiem. Z Kościołem, z księżmi, tak, ale nie z Bogiem. Potem pojawiaasz się ty i mówisz, że na świecie panuje bałagan i trzeba się modlić do Boga, aby pojawił się jak w dawnych czasach. Pytam się ojca McDermotta, a on powiedział, że to jest nawet w porządku, chociaż ten pomysł nie pochodzi z Rzymu. To dobrze, że świat się będzie modlić. Modliłam się i ja, i Słońce się zatrzymało. To ty spowodowałaś, że 6 czerwca Słońce się zatrzymało.

- To nie ja, to On.

Thomas znów uśmiechał się do mnie i patrzył na mnie, jak gdyby mógł odczytać wszystko zapisane w mej duszy.

- Wiesz, co mam na myśli - odparłam. - To w każdym razie był cud. Największy cud od... nie wiem... od czasu Zmartwychwstania. Następnego dnia czuliśmy, że potrzebujemy pomocy, rady. Poszłam z mężem do kościoła. Kościół jest zamknięty. Zamknięty na cztery spusty. Obeszliśmy go dookoła i chcieliśmy znaleźć ojców. Nie ma nikogo, tylko gospodyni. Jest przerażona. Nie otwiera. Dlaczego kościół zamknięty? Boją się rozruchów. Gdzie ojciec McDermott? Pojechał do archidiecezji na naradę. Wszyscy pojechali. Idźcie sobie, nikogo tu nie ma - mówi gospodyni. Rozumiesz, Thomas? Największy cud od czasu Zmartwychwstania, a oni następnego dnia zamykają kościół.

- Myślę, że się zdenerwowali - powiedział Thomas.

- Zdenerwowali się? Jasne, że się zdenerwowali. I o to mi chodzi. Gdzie byli ojcowie, kiedy potrzebowaliśmy ich najbardziej? Na naradzie w archidiecezji. Kardynał zwołał naradę w związku z kryzysem. Z kryzysem - rozumiesz, Thomas? Bóg czyni cud, a dla Kościoła to jest kryzys! Co mam teraz zrobić? W jakim jestem położeniu? Potrzebuję Kościoła. Kościół zawsze

zapewniał mnie o tym, a teraz nagle zamyka przede mną drzwi i mówi: Przemyśl to sobie sama.

Wydamy biuletyn za kilka dni. Kościół przestraszył się! Myślę, że przestraszyli się, że Pan przyjdzie i powie, iż księża nie są już potrzebni, a ta zorganizowana forma religii i tak nie zdała egzaminu, możemy więc o niej zapomnieć w nowym tysiącleciu.

- Wszystkie wielkie i niezwykle wydarzenia wytrącają z równowagi ludzi u władzy -

powiedział Thomas wzruszając ramionami. - Kościół przecież znowu działa.

- Jasne. Ale minęły cztery dni. Prowadzi normalną działalność, ale mamy nie zadawać

pytań na temat 6 czerwca. Nie otrzymali jeszcze instrukcji z Rzymu. Śmieszne. Minęły prawie

trzy tygodnie od tych wydarzeń, a kardynałowie wciąż radzą nad stanowiskiem, jakie Kościół

powinien zająć. To głupie. Jeżeli papież nie może rozpoznać cudu, przed którym stoi, to po co

nam taki Kościół?

- Dobrze - powiedział Thomas - ale gdzie tu moja wina?

- Zabrałeś mi mój Kościół. Nie mogę już więcej ufać tym ludziom. Nie wiem, w co

mam wierzyć. Stoimy twarzą w twarz z Bogiem, a Kościół już nami nie kieruje. Co teraz mamy

zrobić? Jak postąpić?

- Zachowaj wiarę, dziecko - powiedział - i módl się o zbawienie, i twardo trzymaj się

swoich przekonań.

Jeszcze długo coś mówił w tym sensie beznamiętnie jak zaprogramowany komputer,

który ma udzielać błogosławieństw. Czułam, że nie jest szczery. Nie próbował udzielić mi

odpowiedzi. Chciał mnie tylko uspokoić i chciał się mnie pozbyć.

- Nie - przerwałam mu. - To już na nic. Zachowaj wiarę. Módl się. Robiłam to przez

całe życie. Modliliśmy się, żeby Bóg dał znak, i tak się stało. Co dalej? Jaki masz program?

Powiedz mi. Co mamy robić? Zabrałeś nam nasz Kościół. Co dajesz w zamian?

Widziałam, że nie miał żadnej odpowiedzi. Twarz nabiegła mu krwią i zaczął bawić się

pasmami włosów patrząc na Saula Krafta, jak gdyby wzrokiem chciał mu przekazać ”a nie mówiłem!” Spojrzał na mnie i w jego twarzy dostrzegłam albo żal, albo trwogę. Nie byłam pewna, co to było. Właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że Thomas jest taką samą istotą ludzką, jak ty i ja, przestraszona istotą ludzką, która niezupełnie rozumie, co się dzieje, i nie wie, co ma dalej robić. Usiłował udawać. Powiedział mi znowu, żebym się modliła i nigdy nie lekceważyła potęgi modlitwy i tak dalej, i tak dalej, ale w jego słowach brakowało serca. Był zagubiony.

”Jaki masz program?” Nie miał żadnego. Nie przemyślał spraw poza moment otrzymania znaku. Teraz nie może nam pomóc. Tak wygląda Thomas Prorok. Boi się. Wszyscy boimy się, a on jest tylko jednym z nas. Nie jest ani inny, ani mądrzejszy. Wczoraj wieczorem Miłośnicy Apokalipsy spalili dom towarowy. Wiecie, że gdybyście mnie spytali pół roku temu, jak bym się czuła, gdyby Bóg dał nam znak, że istnieje i czuwa nad nami, odpowiedziałabym, że byłaby to najcudowniejsza rzecz od czasu narodzenia Jezusa w żłobie. Znak został nam dany. Teraz waham się. Mam uczucie, jak gdyby lada chwila ziemia miała rozstąpić się pod nogami. Nie wiem, co się z nami stanie. Bóg pojawił się i powinno być pięknie, a jest strasznie. Nigdy nie przypuszczałam, że to tak będzie. O Boże, Boże! Czuję się taka zagubiona, taka pusta.

Rozdział 7

Poglądy analityków

Przemawianie przed audytorium nie jest dla mnie, oczywiście, nowością. Po tych długich latach spędzonych w salach wykładowych na cierpliwym pouczeniu coraz to nowych generacji rozczochranej młodzieży o tajnikach teorii obrotów, ładunków cząsteczkowych i równań czasowych. Również i audytorium nie było szczególnie obce ani napawające strachem. Składało się z pracowników naukowych Harvardu, M.I.T. oraz magistrantów i kilku prawników, psychologów i przedstawicieli kilku innych specjalności z Cambridge. Wszyscy zatem byliśmy przedstawicielami świata naukowego. Było to audytorium, które mogło zebrać

się, by zaprotestować przeciwko kolejnemu przypadkowi zanieczyszczenia środowiska lub manipulacji politycznych. Niepokoił mnie jednak jeden aspekt roli, jaką miałem odegrać tego wieczora. Było to właściwie spotkanie religijne. Spotykaliśmy się, by przedyskutować istotę Boga i osiągnąć zrozumienie naszego stosunku do Niego. Miałem wygłosić główny referat, ja, stary Bili Gifford, który prawie przez cztery dziesięciolecia traktował Boga jak przestarzały rupieć. Byłem pasterzem tej trzódki. Dziwnie się czułem.

Wierzę, że wielu z was jest w tej samej sytuacji - powiedziałem im. - Jesteście ludźmi, dla których religijność była czymś zupełnie obcym, których życie było kompletne i wypełnione, chociaż modlitwy i rytuały były w nim nieobecne, którzy traktowali pojęcie Istoty Najwyższej jako rzecz bez znaczenia i którzy traktowali nawyk chodzenia do kościoła jako przejaw przesądów klas niższych i świętoszkowości klas średnich. Nadeszło jednak wielkie zaskoczenie w dniu 6 czerwca zmuszające nas do przeanalizowania doktryn, które wyszydzałyśmy, zmuszające nas do przemyślenia naszych struktur filozoficznych i do poszukiwania takiego wyjaśnienia zjawiska, które dotąd uznawaliśmy za niemożliwe, które byłoby do przyjęcia. Wy wszyscy, podobnie jak i ja, znaleźliście się nagle pogrążeni w nieznanym wam metafizycznym wodach.

Grupa zebrała się po raz pierwszy w tydzień po wydarzeniu i od tego czasu spotykała się dwa, trzy razy w tygodniu. Z początku grupa nie miała żadnej formalnej struktury organizacyjnej, nie miała nazwy, nie miała określonej polityki. Było to po prostu spotkanie inteligentnych, wyrafinowanych obywateli Nowej Anglii, którzy uznali, że sami nie mogą sobie poradzić ze zmienioną rzeczywistością i potrzebowali wzajemnej pomocy i wsparcia. To był powód naszych spotkań. Jednak już po dziesięciu dniach zaczęliśmy poszukiwać bardziej pozytywnego celu. Nie chcieliśmy już tylko uczyć się, jak zaakceptować to, co przydarzyło się ludzkości, ale także znaleźć sposób wykorzystania wydarzeń w jakiś przydatny sposób.

Zacząłem wysuwać tego rodzaju poglądy w rozmowach prywatnych i nagle kilku członków grupy zwróciło się do mnie, abym przedstawił swoje poglądy publicznie na kolejnym spotkaniu.

Miało miejsce zadziwiające wydarzenie - ciągnąłem. - Wysunięto wiele pomysłówych teorii, by wyjaśnić to zjawisko. Na przykład, że Ziemia została zatrzymana działaniem siły telekinetycznej wywołanej równoczesną koncentracją całej ludności świata. Słyszeliśmy również wyjaśnienia oparte na astronomii, że gwiazdy i planety znalazły się w wyjątkowej konfiguracji wywołując taki efekt. Twierdzono również, że wypadki z 6 czerwca były wynikiem działania istot z kosmosu. Twierdzenia te pochodziły z najbardziej zaskakujących źródeł. Propozycja telekinezy na pierwszy rzut oka wygląda atrakcyjnie z wyjątkiem tego, że badania prowadzone w przeszłości nie wykazały zdolności telekinetycznych u człowieka lub grup ludzkich. Możliwe, że równoczesny wysiłek podjęty przez całą ludność mógł wywołać pewne siły, których nie mogły ujawnić mniejsze grupy, ale ten sposób rozumowania musi prowadzić do niepożądanego rozmnożenia się hipotez. Wierzę, że większość zgodzi się ze mną, iż inne propozycje wyjaśnienia wydarzeń z 6 czerwca nie dają odpowiedzi na jedno istotne pytanie - dlaczego zwolnienie obrotów Ziemi nastąpiło tak szybko, jak gdyby w odpowiedzi na kampanię światowej modlitwy prowadzoną przez Thomasa Proroka? Czy można uwierzyć, że wyjątkowa konfiguracja sił astronomicznych zdarzyła się właśnie w godzinie modlitwy? Czy można uwierzyć, że potwory pozagalaktyczne po prostu przypadkiem zaczęły eksperymentować z obrotami Ziemi właśnie tego dnia? Element zbiegu okoliczności konieczny dla przyjęcia wszystkich teorii jest dla nich zabójczy.

Co nam zatem zostaje? Zostaje nam tylko wyjaśnienie, że Bóg Wszechmogący wysłuchawszy próśb ludzkości uczynił cud, abyśmy zostali utwierdzeni w wierze.

To jest moja konkluzja. Podobnie myśli wielu z was. Czy wynika jednak z tego, że

ponura historia religii ze świętymi wojnami, absurdalnymi dogmatami, dziecinnymi rytuałami, postami i bierzmowaniami jest usprawiedliwiona? Ponieważ zarówno wy, jak i ja przeżyliśmy 6 czerwca szok i zostaliśmy wyrwani z naszego sceptycyzmu przez wypadki, które nie mają racjonalnego wyjaśnienia, czy powinniśmy biec od razu do kościołów, synagog i meczetów i przyłączyć wie do wybranej ortodoksji? Myślę, że nie. Twierdzę, że nasze sceptyczne i racjonalistyczne postawy były właściwe, chociaż źle skierowane. Odrzucając pokazową, trywialną otoczkę zorganizowanej wiary, omijając kościoły, w których pobożnie klęczą nasi sąsiedzi, popełnialiśmy błąd odwracając się również od spraw, które tkwią u podstaw ich wiary, czyli istnienia istoty najwyższej, której boski plan reguluje działanie wszechświata. Kręcenie kołami modlitewnymi i odmawianie Credo wydawało się nam tak puste, że w naszej niechęci do takich działań doszliśmy do odrzucenia wszystkich pojęć wyższego rzędu z dziedziny teologii i przyjęliśmy koncept w pełni przypadkowego kosmosu. Wtedy Ziemia unieruchomiła na cały dzień i na całą noc.

Jak to się stało? Przyznajemy, że było to dzieło Boga, chociaż jesteśmy zdumieni, iż to właśnie my mówimy. To nic wyjaśnione wydarzenie skłoniło nas do sformułowania tego poglądu. Co jednak rozumiemy pod pojęciem Bóg? Kim On jest? Czy jest to starzec z długą, białą brodą? Gdzie Go można znaleźć? Gdzieś między orbitami Marsa i Jowisza? Czy jest istotą nadnaturalną, czy tylko pozaziemską? Czy On ma też jakąś władzę nad sobą? W ten sposób wyłaniają się coraz to nowe pytania. Nie mamy żadnej wiedzy co do Jego istoty, chociaż teraz mamy świadomość Jego istnienia.

Dobrze. Mamy obecnie wielką okazję, my, analitycy oddani działalności intelektualnej. Wokół nas świat dostał j szału. Miłośnicy Apokalipsy mdleją z zachwyty nad nadchodzącą katastrofą, glosalolianie bełkocą w maniackiej radości, głowy hierarchii kościelnych są skonsternowane. Wszystko jest płynne, wszystko jest nowe i dziwne. Pojawiają się nowe

religie, upadają stare. Nadeszła nasza chwila. Wystąpmy i wymieńmy łatwowierność i przesady na rozsądek, Połóżmy koniec kultom, teologii, ślepej wierze. Niechaj naszym zadaniem będzie powiązanie wydarzeń tego straszego dnia z jakimiś rozsądnymi zasadami i rozwinięcie przydatnego, dynamicznego i racjonalnego ruchu odrodzenia. Nie ma to być religia, a raczej wiara oparta na koncepcie, że istnieje boski plan, że żyjemy pod władzą istoty najwyższej, czy wyższej, i musimy nawiązać z tą istotą jakieś racjonalne stosunki.

Mieliśmy już moralną odwagę przyznać, że nasz dawny, intuicyjny sceptycyzm był błędny. Zaoferujmy teraz atrakcyjną alternatywę tym, którzy nadal uznają rytualną ortodoksję za nie do przyjęcia, ale którzy również obawiają się całkowitego załamania się porządku publicznego, jeżeli stan ducha ludności nie ulegnie poprawie. Stwórzmy, o ile to możliwe, czysto świecki ruch, religię niereligijną, która da nadzieję na ustanowienie znaczącego dialogu między nami a Nim. Opracujmy plany. Znajdźmy potężne symbole, które mogą przyciągnąć niezdecydowanych i zagubionych. Wyruszmy jak krzyżowcy w dramatycznym wysiłku mającym na celu ocalenie ludzkości przed utratą rozsądku i przed rozpaczą.

I tak dalej w tym tonie. Jak na kogoś, kto nie przywykł do wygłaszania przemówień, było to całkiem niezłe. Streszczenie tego przemówienia pojawiło się w miejscowej gazecie, a następnego dnia przedrukowała je cała prasa. Mój zwrot o nas jako o analitykach zwrócił na siebie uwagę i stał się źródłem nazwy nie nazwanego dotąd ruchu. Zaczęto nazywać nas analitykami. Kiedy już mieliśmy nazwę, zmienił się nasz status. Przestaliśmy być grupą zaniepokojonych obywateli. Staliśmy się ośrodkiem kultu, sceptycznym, racjonalnym ruchem występującym przeciwko przesądom, sektą, najnowszym zjawiskiem w lawinowo narastającym szaleństwie ostatnich dni.

Rozdział 8

Nadzieje oczekujących

Wiem, że wiara w Boga nie była w modzie przez te ostatnie dwadzieścia, trzydzieści czy czterdzieści lat i ludzie nie przestrzegali Bożych przykazań. Ja jednak zawsze się do nich stosowałem. Nawet kiedy byłem małym chłopcem, szczerze wierzyłem i kochałem Go, i cały czas chciałem chodzić do kościoła, nawet w środku tygodnia. Prawdziwie lubiłem klękać, modlić się i czuć się blisko Niego. Mama mówiła jednak: "Nie, Davey, musisz poczekać do niedzieli, a dziś jest dopiero środa". Sprawy Boże - jak to się mówi - j nie są mi zatem zupełnie obce i gdy przyszło wezwanie do modlitwy, modliłem się z całego serca, żeby Bóg dał nam znak. Nie jestem jednak głupi i nie przyjmuję wszystkiego, co mi wciskają, i zadaję pytania, mam wątpliwości, wszystko sprawdzam i badam i nie jestem, jak te zwykłe cepy wiejskie, które przyjmują wszystko na wiarę. Można by chyba powiedzieć, że należę do tych nielicznych analityków, chociaż w żadnym przypadku nie jestem analitykiem. Nie czuję najmniejszej sympatii do tej bandy ateistów. W każdym razie modliliśmy się wszyscy i znak został dany, i moją pierwszą reakcją była radość. Wcale nie wstydzę się przyznać, że płakałem ze szczęścia, kiedy zatrzymało się słońce. Czułem, że wiara całego mojego życia została potwierdzona, a bezbożnicy powinni drżeć z trwogi. Jednakże następnego dnia znowu zacząłem o tym myśleć i zadałem sobie pytanie, skąd właściwie wiemy, że znak pochodzi od Boga? Skąd możemy mieć pewność, że istota, którą wezwaliśmy, jest rzeczywiście po naszej stronie? Takie właśnie pytania sobie zadałem i oczywiście nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Tak samo dobrze mogliśmy przywołać przekłętą Szatana i to, co uznawaliśmy za cud, było po prostu sztuczką z głębin piekielnych, wiodącą nas ku zagładzie. Pojawili się teraz analitycy twierdzący, że żałują swego ateizmu, ponieważ teraz już wiedzą, że Bóg jest rzeczywistością i jest On z nami. Analitycy są jednak aż tak naiwni, iż biorą pod uwagę możliwości, że to Szatan zastawił pułapkę i oszukuje nas. Nie możemy mieć pewności, absolutnie nie możemy mieć pewności. Znak może pochodzić od Boga lub od Diabła i nie będziemy tego wiedzieć, dopóki nie

otrzymamy kolejnego znaku, na który czekamy i który, wierzę, otrzymamy w najbliższej przyszłości. Co powie nam drugi znak? Wierzę, że Najwyższy jeszcze nie podjął decyzji w tej sprawie. Drugi znak może zwiastować całkowite potępienie lub może zwiastować nadejście raju na ziemi i musimy oczekiwać go z pokorą i w modlitwie, przyjaciele. Musimy modlić się i oczyścić, aby przygotować się na najgorsze albo na najlepsze. Z przyjemnością myślę o tym, że niedługo Bóg we własnej Osobie stanie przed nami i nie okaże się nam w sposób pośredni, jak wtedy, gdy zatrzymał Słońce, ale bezpośrednio, jako Bóg Ojciec lub Syn Boży, i wówczas zostaniemy zbawieni. Stanie się tak jednak tylko wtedy, jeżeli zachowamy prawość. Jeżeli zaś poddamy się błędom i złu, sprowadzimy na siebie Diabła, ponieważ - jak sam Thomas powiedział - nasz los jest w naszych rękach i w Jego rękach i wierzę, że pierwszy znak to dopiero początek procesu, którego rozwiązaniem w najbliższym czasie będzie dobro lub zło. Wzywam was zatem ja, Davey Stafford, trzymajcie się, przyjaciele, ścieżki wiary, ponieważ nie możemy zachwiać się w nadziei, że Ten Który Nadejdzie przyniesie nam miłość. Twierdzą, że nadeszła dla nas chwila próby i jeżeli się nie sprawdzimy, może się okazać, że to Szatan przyjdzie po nasze dusze. Powtarzam wam jeszcze raz, że nie możemy interpretować pierwszego znaku. Możemy jedynie wierzyć, że prawdziwie pochodzi od Boga, i musimy modlić się, by tak rzeczywiście było, czekając na ostateczny wyrok nieba. W związku z tym wynajęliśmy pusty sklep spożywczy przy Coshocton Avenue, który nazwaliśmy Pierwszy Kościół Oczekujących Odkupienia i będziemy się tam modlić przez całą dobę. Jest nas już siedemnaścioro i będziemy zmieniać się co trzy godziny, po pięcioro. Nasza ilość będzie się zwiększać i to szybko, bo ufam, że do nas dołączycie. Musimy się modlić. To jest konieczne. Nie ma innej nadziei. Musimy błagać o to, by Ten, Który Nadejdzie był łaskawy. Proszę was, módlcie się i niech ufność zagości w waszych sercach w ten czas oczekiwania.

Rozdział 9

Placz proroków

Kraft wszedł do pokoju w momencie, kiedy Thomas odkładał słuchawkę telefonu.

- Z kim rozmawiałeś? - spytał.
- Z Giffordem Analitykiem. Dzwonił z Bostonu.
- Dlaczego sam odebrałeś telefon?
- Nikogo innego nie było.
- Było trzech apostołów w sąsiednim pokoju. Mogli odebrać telefon.
- I tak przekazaliby go mnie - Thomas wzruszył ramionami. - Dlatego odebrałem. Cóż w tym złego?
- Musisz zachować dystans. Nie możesz zajmować się sprawami codziennymi. Musisz pozostawać na piedestale, a nie odbierać telefony.
- Spróbuję, Saul - powiedział Thomas z westchnieniem.
- Czego chciał Gifford?
- Chciałby połączyć się z nami.
- Połączyć się? Połączyć się! - Oczy Krafta rozbłysły. - A czy my jesteśmy jakieś przedsiębiorstwo produkcyjne? Jesteśmy ruchem. Jesteśmy siłą duchową. Takie połączenie to nonsens.
- Chciałby pracować z nami. Twierdzi, że powinniśmy zjednoczyć się, ponieważ jesteśmy po tej samej stronie.
- O co mu dokładnie chodzi?
- Występujemy przeciwko Miłośnikom Apokalipsy. Powinniśmy razem pracować dla zachowania społeczeństwa i uchronić je przed rozpadem.
- To jest uproszczenie - stwierdził Kraft. - My zajmujemy się wiarą, a oni równaniami. My wierzymy w Istotę Boską, a oni w świętość rozumu. Gdzie tu są punkty wspólne?

- Pożary w Cincinnati i Chicago są naszym wspólnym punktem. Miłośnicy Apokalipsy szaleją, a teraz jeszcze ci

Oczekujący, ci rzecznicy Szatana... Nie. Musimy działać. Jeżeli będę do jego dyspozycji...

- Do jego dyspozycji?

- Chce, abym złożył oświadczenie popierające jeżeli nie treść, to chociaż ducha filozofii Analityków. Myśli, że to trochę uspokoi nastroje.

- Chce cię wykorzystać do swoich celów.

- Dla potrzeb ludzkości, Saul.

- Jakiś ty naiwny - zaśmiał się Saul chrapliwie. - Gdzie masz rozum? Nie można zawierać sojuszu z ateistami. Chcą cię przekształcić w swoją marionetkę.

- Wierzą w Boga tak samo, jak...

- To ty masz władzę, Thomas. Masz ją w głosie, w oczach. Oni jej nie mają. To tylko banda profesorów. Chcą skorzystać z twojej władzy. Chcą cię wykorzystać do swoich celów. Oni nie chcą ciebie, Thomas. Chcą twojej charyzmy. Zabraniam tego sojuszu.

Thomas drżał. Wznosił się jak góra nad Kraftem, ale był roztrzęsiony, podczas gdy tamten pozostawał spokojny.

- Jestem taki zmęczony, Saul - powiedział wreszcie Thomas.

- Zmęczony?

- Cały ten zamęt, rozruchy, pożary... Dźwigam zbyt wielki ciężar. Gifford może mi pomóc. Potrafi planować, ma pomysły. To są bardzo inteligentni ludzie. -

- Przecież ja ci mogę pomóc.

- Nie, Saul. Co powtarzałeś mi przez cały czas? Że modlitwa jest dobra na każdą okazję! Wiara! Wiara! Wiara! Wiara przenosi góry! No i co? Miałeś rację. Tak. Rozgłaszałeś

swą wiarę za moim pośrednictwem i osiągnęliśmy cud, ale co dalej? Co właściwie osiągnęliśmy? Wszystko się rozpada i potrzebujemy sił, by budować i odbudowywać, a ty nie proponujesz niczego nowego. Ty...

- Bóg da...

- Na pewno? Na pewno, Saul? Ile osób zginęło od 6 czerwca? Ile zniszczeń? Rząd jest sparaliżowany. Transport się załamał. Nowe religie, nowi prorocy. Pojawia się Gifford i mówi: Połączmy siły, Thomas, pracujmy razem, a ty mi mówisz...

- Zabraniam.

- Wszystko już uzgodnione. Gifford przyleci pierwszym samolotem i...

- Zadzwoń, do niego. On tu nie może przyjechać. Jeżeli przyjedzie, nie dopuszczą go do ciebie. Zawiadomię apostołów, żeby go nie wpuszczali.

- Nie, Saul.

- Nie potrzebujemy go. Jeżeli on się tu pokaże, będziemy zrujnowani.

- Dlaczego?

- Ponieważ on jest bezbożnikiem, a cała siła naszego ruchu pochodzi od Boga! Co się z tobą stało, Thomas? Gdzie twój ogień? Gdzie twój zapal? Gdzie jest stary, dumny Thomas, który dyskutował z Bogiem? Bekaj, Thomas, pluj na podłogę, drap się po brzuchu, przeklinaj. Dam ci wina. Nie mogę patrzeć na ciebie, kiedy tak biadolisz i narzekasz, jaki to jesteś zmęczony i przestraszony.

- Ostatnio nie mam z czego być dumny, Saul.

- Do cholery, bądź dumny mimo wszystko! Cały świat patrzy na ciebie! Posłuchaj, przygotuję dla ciebie nowe przemówienie, które wygłosisz w pełnej gali jutro wieczorem. Wymanewrujemy Gifforda i jego bandę. To my ich przyjmujemy. Słuchaj, Thomas, wezwiesz do dokonania nowego aktu wiary, jakiejś masowej demonstracji, czegoś potężnego i

symbolicznego, czegoś, co wyzwoli ludzi od rozpacz i zniszczenia. Będziemy stosować rozumowanie Analityków poszerzone o nasz element wiary. Potępisz wszystkie fałszywe nowe kultury i wezwiesz wszystkich do - niech pomyślę - odbycia jakiejś pielgrzymki? Do jakiegoś zjednoczenia? Masowego chrztu? O, właśnie! Marsz do morza. Wszyscy wykąpią się w morzu stworzonym przez Boga. Zmyją z siebie wszelkie wątpliwości i grzechy. Dobrze? To będzie takie potwierdzenie wiary.

Kraft miał twarz rozpaloną, jego czoło lśniło od potu. Thomas przyglądał mu się z niechęcią.

- Przestań się krzywić - ciągnął dalej Kraft. - Zrobisz to i uda się! To oderwie ludzi od Miłośników Apokalipsy. Pozytywne cele - takie powinno być nasze podejście! Thomas Prorok wzywa, że wszyscy powinniśmy działać wspólnie w ramach praw Bożych. Tak. Obiecuję ci, że zaprowadzimy porządek w ciągu dziesięciu dni. Napij się i odpręż. Muszę zadzwonić do Gifforda, a później przygotuję twój nowy apel. Skończ z tą ponurą miną, Thomas! Mamy w swych rękach ogromną władzę. Dzierżymy miecz Boży. Chcesz to wszystko oddać grupie Gifforda? A teraz idź i odpocznij.

Rozdział 10

Upadek Kościoła Prześlania

WSZYSCY

PRZEWODNICZĄCY

PARAFII.

DO

POWIELENIA

I

ROZPROWADZENIA. Wielebny August Hammacher do wielce umiłowanych braci i siostr w

Chrystusie, członków Autentycznego Kościoła Doktryny Prześlągania. Pozdrowienia i błogosławieństwa z Przybytku Centralnego. Powiadamiam niniejszym, iż poinformowaliśmy Przełożonego Daveya Stafforda z Pierwszego Kościoła Oczekujących Odkupienia, że poczynając od dnia dzisiejszego przestajemy utrzymywać łączność z jego Kościołem ze względu na nie dające się pogodzić różnice doktrynalne. Zabrania się zatem członkom Kościoła Autentycznego uczestniczenia w jakichkolwiek obrzędach Kościoła Oczekujących i utrzymywania jakichkolwiek kontaktów o charakterze religijnym z jego wyznawcami, chociaż zachowamy członków Kościoła Oczekujących w naszych modlitwach i będziemy błagać o ich zbawienie tak, jak gdyby byli naszymi współwyznawcami.

Schizma pomiędzy naszym Kościołem a Kościołem Oczekujących, która narastała już od ponad tygodnia, wynika z zasadniczego braku porozumienia co do istoty znaku. Jesteśmy oczywiście przekonani, a ostatnie wypadki nas w tym przekonaniu utwierdzają, że znak pochodzi od Szatana i oznacza, iż w niebie nastąpiła zmiana sytuacji z potencjalną korzyścią dla sił diabelskich. Oczekując szybkiego zapanowania Ciemnych Potęg na Ziemi, składamy nasz skromny hołd Szatanowi, drugiemu wcieleniu Chrystusa, w nadziei, że gdy nadejdzie, uzna nasze posłuszeństwo i ocali od ostatecznej zagłady.

Kościół Oczekujących zajął agnostyczne stanowisko, twierdząc, iż nie można mieć pewności, czy znak pochodził od Boga, czy od Szatana i oczekując pełnego wyjaśnienia musimy modlić się, jak dawniej do Ojca i Syna i istnieje możliwość, że naszą pobożnością możemy w ogóle uniemożliwić nadejście Szatana. Istnieje pewna powierzchowna zbieżność pomiędzy ich i naszymi poglądami, wyrażająca się niechęcią do uznania poglądów Thomasa Proroka z jednej strony i analityków z drugiej, że znak pochodził od Boga. Widać jednak, że pomiędzy nami a Kościołem Oczekiwania istnieje podstawowy konflikt doktrynalny, ponieważ odmawiają oni zrozumienia naszej nauki dotyczącej możliwości okazania przez Szatana łaski.

Trwają na stanowisku, które może okazać się niebezpiecznie obraźliwe dla Niego. Nie chcąc opowiedzieć się po żadnej stronie mają nadzieję trzymać się środka, nie zdając sobie sprawy, że gdy Czarny nadejdzie, ukarze wszystkich, którzy nie pojęli prawdziwego znaczenia objawienia z 6 czerwca. Mieliśmy nadzieję, że Kościół Oczekiwania przejdzie na naszą stronę. Ich postawa jednak stawała się coraz bardziej obraźliwa w miarę, jak obnażaliśmy ich doktrynalne niekonsekwencje i obecnie nie mamy już wyboru. Musimy obłożyć ich ekskomuniką. Cóż bowiem mówi Apokalipsa: "Znam uczynki twoje, żeś ani zimny, ani gorący. Obyś był zimny albo gorący! A tak, żeś letni, a nie gorący, ani zimny, wypłuję cię z ust moich". Nie możemy zatem ryzykować, że zostaniemy skażeni przez owych letnich wyznawców Kościoła Oczekiwania, którzy nie są gotowi paść na kolana przed Czarnym, chociaż uznają możliwość (a nie nieuchronność) Jego nadejścia. -

Jednakże, umiłowani przyjaciele w Chrystusie, zawiadamiam Was z przyjemnością, że w dniu dzisiejszym nawiązaliśmy wstępne porozumienie ze Zjednoczonym

Diaboliczno-Apokaliptycznym Kościołem Zielonoświątkowców Stanów Zjednoczonych z siedzibą w Los Angeles w Kalifornii. Nie muszę tu omawiać głębokiej przepaści doktrynalnej dzielącej nas od sekt apokaliptycznych w ogóle, ale chociaż potępiamy ich niektóre nauki, nawet i owej sekty diabolicznej, uznajemy, że uda nam się oczyścić ją z czasem z błędów. Nie należy tego w żadnym przypadku interpretować jako zgodę na to, aby członkowie Kościoła Przebłagania uczestniczyli w obrzędach apokaliptycznych, nawet tych nieszkodliwych. Pragnę jednak powiadomić Was, że istnieje możliwość nawiązania ściślejszych stosunków przynajmniej z jedną grupą apokaliptyczną w momencie zerwania naszych związków z Kościołem Oczekiwania. Przesyłamy Wam wszystkim naszą miłość i padamy kornie przed Czarnym, którego triumf już następuje. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego oraz Tego,

Który Nadejdzie. Amen.

Rozdział 11

Marsz do morza

Była to najbardziej przerażająca rzecz, jaka mnie kiedykolwiek spotkała. To było jak inwazja obcych wojsk, jak szarańcza, która pojawiła się w Egipcie na skinienie Mojżesza. Opisuje to Księga Wyjścia: "Pokryła ona całą powierzchnię ziemi, tak że ziemia pociemniała. I pożarła całą roślinność ziemi i cały owoc drzew, który pozostawił grad. Nie pozostała żadna roślinność w całej ziemi egipskiej". To było jak koszmar nocny. Lucy i ja byliśmy Egipcjanami. Wszyscy ludzie Thomasa byli szarańczą.

Lucy chciała się w to zaangażować od samego początku. Dla niej Thomas był jak święty, Boży prorok, od chwili, kiedy zaczął nauczać, chociaż próbowałem przekonać ją, że to szarlatan i niebezpieczny szaleniec z przeszłością kryminalną. Przyjrzyj się jego twarzy - mówiłem. - Popatrz na te oczy! Nic nie pomagało. Zbierała o nim wycinki prasowe, jak gdyby był gwiazdą filmową, a ona piętnastolatką, a nie kobietą po siedemdziesiątce. Miała jego fotografie i teksty wszystkich przemówień. Gniewała się na mnie, gdy mówiłem, że jest szalony lub bez skrupulów. Nasza największa kłótnia w ciągu ostatnich może trzydziestu lat wybuchła, gdy chciała wysłać mu pięćset dolarów, żeby przyczynić się do pokrycia kosztów, jakie ponosił na programy telewizyjne, a ja absolutnie odmówiłem. Oczywiście po dniu, w którym Znak był dany, uznała, że miał rację i zaliczał się do tej samej kategorii co Mojżesz, Eliasz i Jan Chrzciciel, czyli był jednym z prawdziwych powołanych głoszących słowa Pana i wydaje mi się, że ja też zacząłem go za takiego uważać wbrew sobie. Chociaż nie lubiłem go i mu nie ufałem, czułem, że obdarzony jest specjalną mocą. Kiedy wszyscy modlili się o znak, modliłem się i ja, nie dlatego że spodziewałem się, iż będzie dany, ale żeby uniknąć kłopotów z moją Lucy. W każdym razie modliłem się szczerze, a kiedy Ziemia zatrzymała się, przebiegł mnie dreszcz i, przeżyłem taki wstrząs, że myślałem, iż dostanę wylewu. Przeprosiłem Lucy za wszystko, co mówiłem na temat Thomasa. Wciąż podejrzewałem, że był szaleńcem i

szarlatanem, ale nie mogłem zaprzeczyć, że miał w sobie coś ze świętego i proroka. Myślę, że jest taka możliwość, iż człowiek jest równocześnie świętym i szarlatanem. Wszystko jest możliwe. Słyszałem, że jedna z tych nowych religii twierdzi, iż Szatan jest w rzeczywistości ucieleśnieniem Jezusa, czy też czwartym członkiem Świętej Trójcy, czy coś w tym rodzaju. Naprawdę.

Później zaczęły się te wszystkie rozruchy i podpalenia, kiedy nadeszła fala upałów i wydawało się, że świat zwariował, a wszystko zaczęło iść gorzej, a nie lepiej po tym, jak Bóg dał znak i Thomas wezwał do odbycia Dnia Ponownego Oddania Sie, i wszyscy mieli iść do morza i zmyć grzechy. Miał to być prawdziwy, starodawny obrządek całkowitego obmycia się. Wszyscy mieli się spotkać, potępić nowe kultury i przywrócić dawny porządek rzeczy. Lucy przyszła do mnie bardzo przejęta i powiedziała, żebyśmy poszli i że musimy w tym uczestniczyć. Miejsca spotkań były rozrzucone po całych Stanach Zjednoczonych. Wyznaczono Nowy Jork, Houston, San Diego, Seattle, Chicago i nie pamiętam jakie jeszcze miasta. Thomas miał uczestniczyć w głównej uroczystości, która miała odbyć się w Atlantic City, położonym niedaleko nas. Uroczystość miała być transmitowana przez telewizję na żywo do innych miejsc spotkań w Stanach Zjednoczonych i za granicą. Lucy nigdy nie widziała Thomasa we własnej osobie. Powiedziałem jej, że to szaleństwo, żeby ludzie w naszym wieku pchali się w tak wielki tłum, jaki zawsze otacza Thomasa. Zgniotą nas, zdeptają - powiedziałem. - Z pewnością zginiemy. Słuchaj - powiedziałem jej - mieszkamy tuż przy morzu. Ocean zaczyna się o pięćdziesiąt kroków od naszej werandy. Po co pchać się w kłopoty? Zostaniemy tutaj i będziemy obserwować wszystko w telewizji, a kiedy wszyscy zaczną wchodzić do morza w celu oczyszczenia, zejdziemy na naszą plażę. Będziemy uczestniczyć bez wystawiania się na ryzyko. Widziałem, że Lucy była rozczarowana, iż nie zobaczy Thomasa bezpośrednio, ale jest rozsądną kobietą, a mnie stuknęła osiemdziesiątka w

listopadzie. Zgodziła się, zwłaszcza dlatego, że wiedzieliśmy, iż różne rzeczy dzieją się przy okazji spotkań zwoływanych przez Thomasa.

Nadszedł wreszcie ten wielki dzień. Włączyłem telewizor i pierwszą rzeczą, jaką się dowiedzieliśmy, było, że Atlantic City w ostatniej chwili nie zgodziło się na spotkanie zwołane przez Thomasa ze względów bezpieczeństwa. Poprzedniego wieczora wielki tankowiec uległ awarii niedaleko wybrzeża i plama ropy zbliżała się do plaż, stwierdził burmistrz. Takie spotkanie na brzegu morskim uniemożliwiłoby walkę z zanieczyszczeniami, a ropa zagroziłaby zdrowiu wszystkich, którzy weszliby do wody. Wszystkie plaże w Atlantic City zostały zamknięte, sprowadzono dodatkowe oddziały policji, postawiono bariery laserowe i inne zabezpieczenia. W rzeczywistości plama ropy wcale nie była blisko Atlantic City i dryfowała w przeciwnym kierunku, a kiedy burmistrz troszczył się o bezpieczeństwo, nie miał na myśli ludzi zebranych przez Thomasa, ale bezpieczeństwo swego miasta i nie chciał, aby kilka milionów ludzi niszczyło chodniki i wybijało szyby. Atlantic City było zatem zamknięte, a Thomas zebrał już nieprzebrane tłumy, które nadeszły z Filadelfii, Trenton, Wilmington, a nawet z Baltimore. Tłum był tak wielki, że liczył pięć, sześć, a może nawet dziesięć milionów ludzi. Pokazywali ten tłum z helikoptera. Wszyscy stali ramię przy ramieniu na przestrzeni może dwudziestu mil w tę stronę i pięćdziesięciu w przeciwną. Tak to przynajmniej wyglądało. Jedyne wolne miejsce było tam, gdzie znajdował się Thomas. Może pięćdziesiąt jardów pustej przestrzeni otoczonej ciasnym pierścieniem przez chroniących Thomasa apostołów.

Gdzie ten tłum miał się podziąć, jeżeli nie mógł iść do Atlantic City? To proste - powiedział Thomas - niech każdy uda się w kierunku wybrzeża stanu Jersey pomiędzy Long Beach Island i Sandy Hook. Kiedy to usłyszałem, chciałem wskoczyć do samochodu i ruszyć choćby do Montany. Było jednak za późno. Uczestnicy marszu już ruszyli. Wszystkie drogi były zablokowane. Wyszedłem z lornetką na balkon i zobaczyłem pierwsze szeregi

przekraczające groble. Ludzie szli po siedemdziesięciuro, osiemdziesięciuro w rządzie, a dalej całe morze twarzy sięgające gdzieś, hen, w głąb lądu aż po Manahawkin, a nawet dalej.

Zupełnie jak mongolskie hordy Dżyngis Chana. Jedna grupa zawróciła na południe w kierunku Beach Haven, druga zaś przez Surf City, Loyelaadies i Hervey Cedars szła w naszym kierunku.

Tysiące, tysiące i tysiące. Nasza miejscowość położona jest na długim i wąskim piaszczystym cyplu i zabudowana dość ciasno zarówno od strony zatoki, jak i otwartego morza. Nie ma tu

żadnych otwartych przestrzeni, a jedynie wąskie uliczki i po prostu nie było miejsca dla tylu ludzi. Oni jednak wciąż napływali i patrząc przez lornetkę odniosłem wrażenie, że kręci mi się

w głowie, ponieważ zdawało mi się, że niektóre domy idą wraz z nimi. Dopiero po chwili

zdałem sobie sprawę, że domy rzeczywiście się ruszały. Napór masy ludzkiej spychał mnie

solidne konstrukcje z fundamentów. Domy przewracały się i były miażdżone pod stopami. Czy

możecie to sobie wyobrazić? Powiedziałem Lucy, żeby się modliła, ale ona i tak już to robiła

bez mojej sugestii. Schwyciłem strzelbę w nadziei, że będę przynajmniej się jakoś bronić.

Powiedziałem też Lucy, że jest to prawdopodobnie ostatni dzień naszego życia. Ucałowaliśmy

się i powiedzieliśmy sobie, jak dobre były te pięćdziesiąt trzy lata, które spędziliśmy razem.

Wtedy tłum dotarł do naszej części osiedla. Pędzili ku plaży. Rozszalała”, ogłupiała tłuszcza.

Thomas był tam także, bardzo blisko naszego domu. Był wyższy niż myślałem. Włosy i

brodę miał w nieładzie, twarz czerwoną i opaloną. Był tak blisko, że widziałem skórę

złuszczoną słońcem. Wciąż otaczał go pierścień apostołów. Krzyczał coś przez megafon, ale

mimo potężnych głośników zamontowanych na krążących helikopterach nie można było

zrozumieć ani słowa. Saul Kraft był razem z nim. Był blady i przerażony. Ludzie biegli do

wody, niektórzy w ubraniach, inni nadzy wypełnili całe morze aż do linii, przy której za-

łamywały się fale. Gdy coraz więcej ludzi tłoczyło się do wody, ci stojący z przodu zaczęli

tracić grunt pod nogami. Myślę, że właśnie wtedy zaczęły się utonięcia. Sam widziałem ludzi

walczących z falami, wzywających pomocy i spychanych w morze. Thomas pozostał na brzegu krzycząc coś przez megafon. Musiał zdać sobie sprawę, że utracił panowanie nad tłumem, ale już nic nie mógł zrobić. Aż do tej chwili cały tłum parł do przodu, ku morzu. Teraz nastąpiła jednak zmiana. Ci, którzy znajdowali się w wodzie, usiłowali powrócić na ląd. Myślałem, że czynią to z obawy przed utonięciem, zobaczyłem jednak czarne plamy na ich odzieży i zrozumiałem: plama ropy! Nie dotarła do Atlantic City, ale była tu i przesuwała się ku brzegowi. Ludzie grzęzli w niej, mieli ją na twarzach i we włosach, nie mogli jednak wrócić na brzeg ze względu na tłum prący w przeciwną stronę. Wielu ludzi stratowano, kiedy wychodzący z wody, kaszlący, duszący się i oślepieni ropą przewracali się pod nogi innych, wciąż usiłujących wejść do morza.

Kiedy spojrzałem na Thomasa, wyglądał, jak gdyby wpadł w szal. Twarz miał dziką. Odrzucił megafon i krzyczał coś. Na szyi i czole wystąpiły mu węzły żył. Saul Kraft podszedł do niego i coś powiedział. Thomas odwrócił się do niego w gniewie, podniósł ręce i opuszczył je jak dwie maczugi na głowę Krafta. Wiecie, że Kraft to niewielki człowiek. Padł jak martwy. Jego twarz zalana była krwią. Dwóch czy trzech apostołów podniosło go i zaniósło do jednego z domów przy plaży. Wtedy właśnie udało się komuś prześliznąć przez kordon apostołów. Ruszył biegiem w stronę Thomasa. Był niski, otyły, odziany w szaty Kościoła Oczekiwania czy Przebłagania, nie wiem którego. Miał w ręku laserowy toporek. Krzyknął coś do Thomasa i podniósł broń. Thomas ruszył w jego kierunku. W porównaniu z nim był tak ogromny, iż zdawało się, że zabójca się skurczył. Był tak przerażony, że znieruchomiał. Thomas wyciągnął rękę, wyrwał mu z dłoni toporek i odrzucił go w piach. Później zaczął go bić. Uderzał krótkimi, potężnymi ciosami. Bach, bach, bach. Wydawało się, że napastnikowi odpadnie głowa. Thomas zupełnie zatracił ludzki wygląd. Był jak jakaś niszcząca maszyna. Krzyczał i wył. Z ust ciekła mu piana, jak gdyby ten śmiertelny rytm ciosów upajał go. Bach, bach, bach. Wreszcie

przestał, schwycił tego człowieka za ręce i rzucił nim o piasek, jak szmacianą lalką. Mężczyzna przeleciał w powietrzu jakieś dwadzieścia stóp, upadł i leżał nieruchomo. Jestem pewien, że Thomas pobił go na śmierć. Taki to jest ten święty prorok, człowiek Boży. Nagle cały jego wygląd zmienił się. Stał się śmiertelnie spokojny, lodowaty. Stał na plaży przygarbiony, z opuszczonymi rękami. Jego pierś wznosiła się i opadała przyspieszonym oddechem po wysiłku. Zaczął płakać. Wyraz jego twarzy zmienił się nagle i zobaczyłem łzy. Tego nigdy nie zapomnę. Thomas Prorok samotny wśród tego całego szaleństwa na plaży, płaczący jak młoda wdowa.

Później już nic nie widziałem. Na dole rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Schwyciłem strzelbę i pobiegłem zobaczyć, co się stało. Na podłodze w salonie leżało może z piętnaście osób, które zostały wepchnięte przez panoramiczne okno przez napierający z zewnątrz tłum. Byli pokaleczeni szkłem, niektórzy bardzo poważnie. Wszędzie pełno było krwi i coraz więcej ludzi wpadało przez dziurę, gdzie kiedyś było okno. Usłyszałem krzyk Lucy. Moja strzelba wypaliła i już nie pamiętam, co się stało później. Oprzytomniałem w środku nocy w naszym całkowicie zrujnowanym domu. Zobaczyłem helikopter lądujący na plaży i ekipy przystępujące do zbierania ciał. Tylko na naszym odcinku brzegu było ich kilkaset. Topielcy, stratowani, zaduszeni ropą, ofiary ataków serca. Ciała już posprzątano, ale osiedle jest w ruinie. Chcemy, aby rząd ogłosił go rejonem klęski. Nie wiem, czy nam się uda. Czy obrzęd religijny można nazwać klęską? My uważamy, że można. Tak wyglądał wasz Dzień Potwierdzenia Wiary - klęska. Modlitwa i oczyszczenie, by zebrać wszystkich pod sztandarami Pana. Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli nie mówię szczerzej prawdy, ale wolałbym, żeby Pan i wszyscy jego prorocy zniknęli i zostawili nas w spokoju. Jak na razie mamy dość religii.

Rozdział 12

Głos z nieba

Saul Kraft zabezpieczony urządzeniami elektronicznymi wartymi ponad dziewięć tysięcy dolarów, czujnikami, skanerami, zapadnikami zastanawiał się, czemu wszystko idzie tak źle. Może wybór Thomasa był błędem? Zdał sobie teraz sprawę, że Thomas miał zbyt skomplikowaną osobowość. Jego reakcje były nieprzewidywalne. Miał jak gdyby podwójną duszę, w której diabeł i anioł byli wymieszani po równo. W każdym razie początki krucjaty były dość obiecujące. Działając za pośrednictwem Thomasa udało mu się skłonić Boga Wszechmogącego, by zareagował na modlitwy ludzkości. Co jeszcze można było zrobić? Ale co teraz? Wszędzie panuje ta potworna atmosfera karnawału. Pojawiają się nowe kulty, nowi prorocy. Tysiące interpretacji wydarzeń, których znaczenie powinno być kryształowo jasne. Płoną stosy. Szaleństwo rzucało łunę na niebo jak błyskawice. Może to był błąd Thomasa? Od początku prorok nie otrzymał prawdziwej łaski. Możliwe, że jakikolwiek ruch masowy, ześrodkowany wokół proroka takiego, jak Thomas, był od początku skazany na chaos?

A może błąd był mój?

Kraft trwał w samotności od wielu dni, może tygodni. Zatracił poczucie czasu. Z nikim się nie spotykał, nawet z Thomasem, który chciałby go przeprosić. Rany Krafta zagoiły się i nie czuł już żalu do Thomasa. Niepowodzenie Dnia Potwierdzenia Wiary spowodowało u wszystkich kryzys psychiczny tam, na plaży, i wybuch Thomasa był zrozumiały, jeżeli nie usprawiedliwiony. Mogło się to nawet stać z inspiracji Boga, który ukarał jego, Krafta, za grzechy, używając Thomasa jako swego narzędzia, a jego grzechy to głównie pycha. Odepchnięcie Gifforda, zorganizowanie Dnia Potwierdzenia Wiary w oparciu o tak cyniczne motywy...

Kraft boi się o swoją duszę. Boi się też o duszę Thomasa. Teraz Kraft nie może się zdobyć na spotkanie z Thomasem, dopóki nie odzyska duchowej równowagi. Thomas jest zbyt

gwałtowny, wzburzony, emanuje silną wolą. Kraft musi przedtem odzyskać siły moralne. Chce się teraz w pełni oddać modlitwie. Modlitwa jednak nie przychodzi. Kraft czuje się oderwany od Wszechmogącego jak nigdy dotąd. Niepowodzenie jego świętej krucjaty musiało wywołać niezadowolenie Pana. Powstała przepaść. Kraft czuje się porzucony i bezsilny. Już nie usiłuje modlić się. Snuje się zdenerwowany po całym mieszkaniu, nasłuchuje, czy ktoś nie usiłuje się włamać, sprawdza urządzenia zabezpieczające. Włącza wewnętrzne systemy telewizyjne spodziewając się ujrzeć pożary na ulicy, ale wszędzie panuje spokój. Słucha wiadomości przez radio. Wszędzie chaos i bałagan. Mówi się, że Thomas nie żyje. Mówi się, że Thomas tego samego dnia był w Istambule, Karaczi, Johannesburgu, San Francisco. Kościół Przebłagania ogłosił, że według ich obliczeń Szatan pojawi się na ziemi dwudziestego czwartego listopada, by przejąć władzę. Papież nareszcie przerwał milczenie i oznajmił, że nie wie, jaka moc mogła spowodować zaskakujące wydarzenia z 6 czerwca, ale myśli, że przypisywanie ich bezpośredniej interwencji Boga bez uzyskania dalszych dowodów byłoby przedwczesne. Papież zatem również stał się Oczekującym - uśmiecha się Kraft. Wspaniale! Kraft zastanawia się, czy arcybiskup Canterbury uczestniczy w obrzędach Kościoła Przebłagania, lub czy dalejlama nawiązał kontakty z Miłośnikami Apokalipsy. Teraz już wszystko może się zdarzyć. Gog i Magog buszują po świecie. Krafta już nic nie może zaskoczyć. Nie czuje również zdumienia, gdy włącza radio późnym popołudniem i stwierdza, że przez radio przemawia Bóg we własnej osobie.

Głos Boga jest bogaty i majestatyczny. Przypomina Kraftowi nieco głos Thomasa, ale ton głosu jest nieco mniej zarliwy, nieco mniej ewangeliczny. Mówi w sposób poważny i zrozumiały, jak senator prowadzący kampanię wyborczą na piątą kadencję. W głosie Boga można zauważyć trudny do uchwycenia akcent wschodni. Mógłby być senatorem z Pensylwanii lub Ohio. Zdecydował się przemówić - wyjaśnia - w nadziei, że uda mu się

przywrócić porządek na świecie. Chciałby zapewnić każdego, że nie planuje się żadnej apokalipsy, a ci, którzy oczekują szybkiej zagłady świata, postępują nierozsądnie. Nie należy również słuchać tych, którzy twierdzą, że ostatni znak był dziełem Szatana. Oczywiście, że nie był - stwierdza Pan Bóg. Przebłaganie Złego nie jest wcale potrzebne. Oczywiście, należy oddać diabłu to, co mu się należy, ale nic poza tym. Wstrzymując obroty Ziemi dookoła osi miałem zamiar udowodnić, że jestem, że dbam o wasze interesy. Chciałem, abyście wiedzieli, że w przypadku prawdziwych kłopotów zadbam...

Kraft z ciasno zaciśniętymi ustami szuka innych stacji. Dźwięczny baryton stale mu towarzyszy.

...że pokój zostanie utrzymany, a siły sprawiedliwości zostaną wzmocnione...

Kraft włącza telewizor. Na ekranie ukazuje się jedynie znak rozpoznawczy stacji. U góry ekranu lśni jasnozielony napis:

RZEKOMY GŁOS BOGA

a poniżej szkarłatny podtytuł:

TRANSMISJA Z KSIEŻYCA

Bóstwo tymczasem przeszło gładko na nowe tematy. Wszystkie problemy świata - stwierdziło - wynikają z powstania i rozwoju ateistycznego socjalizmu. Fałszywy prorok, Karol Marks, któremu pomagał anarchista Lenin, oraz pomniejsze demony, Stalin i Mao, rozprzestrzenili w świecie plagę bezbożności, która skaziła cały wiek dwudziesty, a teraz, u progu dwudziestego pierwszego wieku musi zostać pokonana. Przez długi czas wierny lud Boży świata opierał się bolszewickim doktrynom - kontynuował Pan Bóg głosem przejrzystym i tchnącym rozsądkiem - ale w ciągu ostatnich dwudziestu lat nastąpiło porozumienie z siłami ciemności, co pozwoliło na rozprzestrzenienie się zgnilizny nawet do takich prawych krajów, jak Japonia, Brazylia, Republika Federalna Niemiec, a nawet do umiłowanych przez Boga

Stanów Zjednoczonych Ameryki. Nieuczciwa filozofia współistnienia krok po kroku spętała siły dobra i w rezultacie...

Kraft stwierdza, że wszystko to jest bardzo dziwne. Czy Bóg mówi do wszystkich po angielsku, czy też do Japończyków po japońsku, po hebrajsku do obywateli Izraela, po chorwacku do Chorwatów, a po bułgarsku do Bułgarów? Od kiedy to Bóg stał się tak zagorzałym obrońcą etyki kapitalistycznej? Kraft przypomina sobie, że przecież dawno temu wypędził przekupniów ze świątyni. Jak głos Boży żądać może świętej wojny z komunizmem? Kraft słyszy, jak wzywa, by legiony wiernych atakowały marksistowskiego wroga wszędzie tam, gdzie podnosi się czerwony sztandar, paliły domy działaczy lewicowych, niszczyły ambasady, konsulaty, biblioteki i inne źródła niebezpiecznej propagandy. Wszystko to mówi cywilizowanym, bezbarwnym tonem.

Nagle, w pół zdania, głos Wszechmogącego znika z fal eteru. W kilka chwil później spiker nie mogący ukryć swego zakłopotania wyjaśnił, że program był żartem wymyślonym przez znudzonych techników satelitarnej stacji przekaźnikowej. Wdrożono dochodzenie w celu stwierdzenia, w jaki sposób tak wiele stacji radiowych i telewizyjnych dało się skłonić na transmisję tego programu jako ważnej wiadomości. Dla wielu bezbożnych marksistów komunikat ten pojawił się jednak za późno. Napady i rabunki, do których wzywano, miały miejsce w kilkunastu miastach. Setki dyplomatów, strażników i urzędników zostało zamordowanych przez rozwścieżony tłum spełniający wolę Bożą. Straty materialne były ogromne. Świat ogarnął kryzys międzynarodowy. Są doniesienia o wypadkach odwetu na obywatelach amerykańskich w kilku krajach Europy Wschodniej. Żyjemy w dziwnych czasach - myśli Kraft. Modli się. Za siebie, za Thomasa, za całą ludzkość. Boże, zmiłuj się. Amen.

Amen. Amen.

Rozdział 13

Pogrzeb wiary

Trasa marszu zaczyna się od granicy miasta i biegnie w kierunku zachodnim, i wtapia się w labirynt przedmieść. Maszeruje około tysiąca osób. Kroczą energicznie, mimo że panuje przygniatający, wilgotny upał. Mijają park okryty gęstym, ciemnozielonym listowiem późnego lata. Mijają wielopoziomowe skrzyżowanie autostrad i rząd wypalonych moteli i stacji benzynowych. Mijają zbombardowany zbiornik wodny, cmentarz i kierują się na miejskie wysypisko.

Gifford kierujący tą procesją ubrany jest w odzież, jaką zwykle nosi do pracy - zużyte spodnie koloru khaki, luźną, szarą koszulę i stare, skórzane sandały. Z początku proponowano, aby bardziej wybitni Analitycy ubrali się w szaty akademickie. Gifford sprzeciwił się jednak temu twierdząc, że taki strój nie odpowiadałby duchowi ceremonii. W tym dniu miały być pogrzebane wszystkie stare przesady i ceremonie, czemu więc główni obrazoburcy mieliby ubierać się w hieratyczne kostiumy, jak gdyby byli kapłanami, jak gdyby nowa wiara miała być tak samo pełna aktorstwa, jak przestarzałe religie, które miała zastąpić?

Ponieważ uczestnicy marszu są tak skromnie ubrani, tym bardziej uderzający jest kontrast pomiędzy ich odzieżą a bogatymi, dekoracyjnymi atrybutami kościelnymi, które niosą. Nikt nie przyszedł z pustymi rękami. Każdy ma jakiś symbol, jakiś święty przedmiot, jakąś księgę. Na lewym ramieniu Gifforda przewieszona jest duża, biała, pięknie haftowana, lniana alba, z której zwiesza się jedwabny pas. Człowiek idący za nim niesie dalmatykę diakona. Trzeci z maszerujących ma piękny ornat, czwarty wspaniałą kapę. Reszta szat liturgicznych była niesiona tuż za nimi. Czapka, stuła, manipularz. Jakaś kobieta posunięta w latach, o lodowatych oczach wymachiwała pastorałem. Człowiek idący obok niej miał na głowie mitrę przekrzywioną pod zawadiackim kątem. Sutanny, komże, habity, pelerynki i inne elementy strojów. Właściwie wszystko z wyjątkiem papieskiej tiary. Ludzie niosą kielichy, krucyfiksy,

kadzielnice, chrzcielnice. Trzech mężczyzn chwieje się pod fragmentem pięknie rzeźbionej ambony. Grupa uczestników marszu niesie przedmioty i szaty liturgiczne należące do Kościoła prawosławnego. Widać surowe szaty Kościoła prezbiteriańskiego przemieszane z jarmułkami, tałasami. Są też bardziej egzotyczne przedmioty, jak koła modlitewne, bożki chyba z pięćdziesięciu wyznań, przedmioty czczone przez konfucjonistów, szintoistów, parsów, buddystów Małego i Wielkiego Wozu, dżainów, sikhów, animistów i wielu innych. Ludzie niosą świeczniki, tacki komunijne, nawet tace do zbierania darów. Żaden element nie został zignorowany. Są też oczywiście święte księgi całego świata. Niezliczona ilość egzemplarzy Starego i Nowego Testamentu, Koran, Bhgawadgita, Upaniszady, Tao Te Ching, Wedy, Yedanta Sutra, Talmud, Księga Zmarłych i wiele, wiele innych. Gifford nie był przekonany, jeśli chwilowo chodziło o niszczenie książek, ponieważ miało to niesmaczne podteksty. Były to jednak czasy ekstremizmu i trzeba było stosować odpowiednie metody. Zgodził się więc nawet i na to.

Większość przedmiotów niesionych przez uczestników marszu była dostarczana dobrowolnie przez rozczarowanych członków kongregacji, niektóre nawet przez niezadowolonych duchownych. Inne przedmioty pochodziły z kościołów i muzeów obrabowanych podczas rozruchów. Analitycy jednak nie zrabowali nic. Przyjmowali jedynie darowizny i zbierali przedmioty, które rabusie porzucili na ulicach. Gifford zastosował tu żelazną zasadę. Zdobywanie przedmiotów kultu siłą było zakazane. Dlatego szaty i emblematy nowych wyznań są nieliczne, ponieważ ani członkowie Kościoła Oczekiwania, ani Przebłagania, ani im podobni nie chcieli się przyczynić do festiwalu zniszczenia organizowanego przez Gifforda.

Dotarli wreszcie do wysypiska. Jest to rozległy kawał płaskiego ugoru wyglądający zaskakująco aseptycznie. Duże połacie łąki, a jeszcze nie zregenerowane części wysypiska

zostały starannie wyrównane i przykryte darnią. Uczestnicy marszu poodkładali niesione przedmioty, a główni Analitycy wystąpili naprzód, by wziąć szpadle i łopaty z ciężarówki, która przybyła za maszerującymi. Gifford patrzy w górę. Nad tłumem unoszą się helikoptery najeżone kamerami telewizyjnymi. To wydarzenie znajdzie szerokie odbicie w mediach. Odwraca się do uczestników marszu i rozpoczyna przemówienie.

- Niechaj ta ceremonia oznacza koniec wszystkich ceremonii. Niechaj ten obrządek rozpocznie czasy bez żadnych obrządków. Niechaj od dzisiaj zaczniesz rządzić rozum.

Gifford sam wykopał pierwszą grudę ziemi. Inni też zabierają się do pracy.

Przygotowują wykop na trzy stopy głęboki i szeroki na dziesięć, dwanaście stóp. Wierzchnia warstwa ziemi schodzi łatwo, ale pod spodem ukazują się puszkami, połamane zabawki, zepsute telewizory, opony samochodowe, połamane narzędzia. Zaczyna rosnać góra śmieci w miarę, jak postępuje praca kopających. Wkrótce pojawia się płytki wykop. Chociaż jest już późne popołudnie, upał się nie zmniejsza, a ci, którzy kopią, zalewają się potem. Często odpoczywają oddychając ciężko i opierając się na łopatach. Ci, którzy nie kopią, stoją spokojnie i trzymają przedmioty, które przynieśli.

Zbliżał się zmrok, zanim Gifford zdecydował, że wykop był wystarczający. Znowu spojrzął w górę na helikoptery i znowu odwrócił się do tłumu.

- Dokonujemy dzisiaj pogrzebu stu tysięcy lat przesądów. Odkładamy na spoczynek stare bożki, stare złudzenia, stare błędy i kłamstwa. Czasy wiary skończyły się nieodwracalnie. Rozpoczyna się era pewności. Nie potrzebujemy już teologów zastanawiających się nad właściwym sposobem uwielbienia Boga. Nie potrzebujemy już duchownych, aby pośredniczyli pomiędzy nami a Nim. Nie potrzebujemy już tekstów pisanych ręką ludzką, które usiłują wyjaśnić nam naturę Boga. Wszyscy odczuliśmy dotyk Jego dłoni i nadszedł czas, by zbliżyć się do Niego z jasnymi oczami i otwartym umysłem. Oddajemy zatem ziemi te szczątki

minionych epok i wzywamy wszystkie rozsądne kobiety i wszystkich mężczyzn, aby przyłączyli się do nas w tej ceremonii odrzucenia.

Gifford daje sygnał. Jeden po drugim analitycy podchodzą do skraju wykopu. Jeden po drugim pozbywają się swego ciężaru, Alby, ornaty, kapy, mitry, Koran, Upaniszady, jarmułki, krucyfiksy. Nikt się nie spieszy. Pogrzeb wiary jest uroczystością poważną. W czasie jej trwania daleko za horyzontem zaczyna rozbrzmiewać głuchy werbel grzmotu. Nadchodzi burza? Może to grzmoty spowodowane upałem - -myśli Gifford. Ceremonia trwa. Manipularz, sutanna. Znowu grzmi. Tym razem głośniejsze, wyraźniejsze. Niebo ciemnieje. Gifford próbuje przyspieszyć przebieg ceremonii. Przywołuje gestem Analityków, żeby prędzej składali swój łup. Błyskawica przecina niebo i tym razem grzmot następuje prawie natychmiast. Spadło kilka kropel deszczu. Prognoza była błędna. Niedogodność, ale nic złego się nie stało. Ogromna błyskawica. Grzmot! Ten piorun musiał uderzyć zaledwie o kilkaset jardów stąd. Ktoś śmieje się nerwowo.

- Rozgniewaliśmy Zeusa - ktoś się odzywa. - Zaczyna ciskać piorunami.

Gifforda to nie bawi. Lubi ironię, ale nie teraz. Nie teraz. Zdaje sobie nagle sprawę, że od 6 czerwca zyskał tyle wiary, iż zaczyna się nieco niepokoić, czy Wszechmogący nie szykuje się ukarać świętokradczej grupy Analityków. Znowu błysk. Grzmot. Teraz chmury rozdarły się i strumienie deszczu runęły na ziemię. W kilka chwil koszule poprzyklejały się do ciał, dno dołu zmieniło się w błoto, a na całym wysypisku zaczęły się tworzyć małe strumyczki.

Wtedy właśnie, jak gdyby wykorzystywał burzę do swoich celów, na wysypisku pojawił się tłum ludzi w uroczystych szatach i o gniewnych twarzach. Wymachują pałkami, widłami, trzonkami łopat, tasakami i inną przygodną bronią. Krzyczą bezładnie jakieś niezrozumiałe slogany. Wpadają między analityków, rozdając razy. Śmierć bezbożnym bluźniercom! To właśnie krzyczą. Kim oni są? - zastanawia się Gifford. Oczekujący,

Przebłagańcy, Sataniści, Miłośnicy Apokalipsy, a może cała ich koalicja? Helikoptery telewizji zniżają się, żeby zapewnić lepsze ujęcie dla kamer i wiszą nieruchomo dwadzieścia czy trzydzieści stóp nad walczącym tłumem. Ich potężne reflektory rzucają przerażający blask. Gifford czuje czyjeś ręce na swym gardle. Rozszalała kobieta, wrzeszcząca, groteskowa. Odpycha ją, a ona wpada do wykopu na stos unurzanych w błocie Biblii. Wybucho popłoch. Ludzie Gifforda rozbiegli się we wszystkie strony ścigani przez mściwe sługi Pana, którzy wymachują bronią w uniesieniu. Gifford widzi swych przyjaciół, jak padają ranni, może nawet zabici. Gdzie jest policja? Dlaczego nas nie chronią? Zabić wszystkich bluźnierców! - wrzeszczy jakiś histeryczny głos w pobliżu. Odwraca się gotów do obrony. Widły. Czuje dziwną, zimną jasność myśli i rusza do ataku. Unik. Chwył za trzonek wideł. Wyrzywa je przeciwnikowi. Deszcz nasila się. Potoki wody oddzielają Gifforda od napastników. Po chwili jest sam na skraju wykopu. Widoczność poprawia się. Rzuca wideł do wykopu i natychmiast zaczyna żałować tego czynu. Trzech napastników zbliża się ku niemu. Zaczyna biec. Stara się ich wyminąć, przyspiesza nagle i ślizga się w błocie. Upada w kałużę. Czuje błoto w ustach. Traci oddech. Jest przerażony. Nie może wstać. Rzucają się na niego.

- Czekaście - mówi Gifford. - To szaleństwo! Jeden z nich ma pałkę.

- Nie - szepcze Gifford. - Nie. Nie. Nie. Nie.

Rozdział 14

Siódma pieczęć

1. A gdy zdjął siódmą pieczęć, nastąpiło w niebie milczenie na około pół godziny.
2. I wdziałem siedmiu aniołów, którzy stoją przed Bogiem i dano im siedem trąb.
3. I przyszedł inny anioł, i stanął przy ołtarzu mając złotą kadzielnicę, dano mu wiele kadzidła, aby je ofiarował wraz z modlitwami wszystkich świętych na złotym ołtarzu przed tronem.

4. I wzniósł się z ręki anioła dym z kadzideł z modlitwami świętych przed Boga.
5. A anioł wziął kadzielnicę i napełnił ją ogniem z ołtarza, i rzucił ją na ziemię, i nastąpiły grzmoty donośne i błyskawice, i trzęsienie ziemi.
6. A owych siedmiu aniołów mających siedem trąb sposobilo się do tego, by zatrąbić.
7. I zatrąbił pierwszy. I powstał grad i ogień przemieszane z krwią i zostały rzucone na ziemię; i spłonęła jedna trzecia ziemi, spłonęła też jedna trzecia drzew, i spłonęła wszystka zielona trawa.
8. I zatrąbił drugi anioł; i coś jakby wielka góra ziejąca ogniem zostało wrzucone do morza; a jedna trzecia morza zamieniła się w krew.
9. I jedna trzecia zwierząt żyjących w morzu zginała, a jedna trzecia okrętów uległa zniszczeniu.
10. I zatrąbił trzeci anioł; i spadła z nieba wielka gwiazda płonąca jak pochodnia, i upadła na trzecią część rzek i na źródła wód.
11. A imię gwiazdy tej brzmi Piołun, i jedna trzecia wód zamieniła się w piołun, a wielu ludzi pomarło od tych, wód, dlatego że zgorzkniały.
12. I zatrąbił czwarty anioł; i ugodzona została jedna trzecia słońca i jedna trzecia księżycy, i jedna trzecia gwiazd, tak iż jedna trzecia ich część zaćmiła się i dzień przez jedną trzecią część swoją nie jaśniał; podobnie i noc.
13. I spojrzałem, i usłyszałem, jak jeden orzeł lecący środkiem nieba wołał głosem donośnym: Biada, biada, biada mieszkańcom ziemi, gdy rozlegną się pozostałe głosy trąb trzech aniołów, którzy jeszcze mają trąbić!

Rozdział 15

Ucieczka proroka

Wszystko, wszystko skończone. Thomas płacze. Miasta płoną. Nawet płoną jeziora.

Tyle tysięcy zabitych. Miłośnicy Apokalipsy tańczą, bo chociaż rok jeszcze się nie zakończył, koniec świata widać już wyraźnie. Kościół rzymski rzucił klątwę na Thomasa, zaprzeczając zaistnieniu cudu. Jest antychrystem - stwierdził papież. Oznaki i zapowiedzi końca świata można dostrzec wszędzie. Rodzą się cieleta z dwiema głowami i psy o kocich pyszczkach. Pojawili się nowi prorocy. Objawienia różnią się między sobą. Jedni twierdzą, że Bóg wkrótce powróci, inni, że nie. Wielu ludzi modli się obecnie, aby nastął już koniec tym objawieniom i cudom. Oczekujący już nie oczekują. Obecnie błagają, aby oszczędzono nam ponownego przyjścia. Nawet sataniści i członkowie Kościoła Przebłagania krzyczą obecnie: Nie przychodź, Lucyperze! Ci, którzy błagali o Znak od Boga w czerwcu, obecnie cieszyliby się jedynie z jego długiej nieobecności. Niechaj o nas zapomni. Niech przestanie o nas myśleć. Jest to okres pochodni i hymnów. Wieści o barbarzyńskich wojnach nadchodzą z różnych zakątków świata. Mówi się, że w Boliwii użyto bomby neutronowej. Kilku pozostałych, nielicznych zwolenników Thomasa zwróciło się do niego, by jeszcze raz porozmawiał z Bogiem w nadziei, że wciąż jeszcze można wszystko naprawić. Thomas jednak odmawia. Połączenie z Bóstwem zostało przerwane. Nie ma odwagi ponownie go nawiązać. Czyż nie widzicie, ile to spowodowało nieszczęść? Odrzuca swój status proroka. Niechaj inni bawią się w charyzmatyczny mistycyzm, jeżeli mają na to ochotę. Niechaj inni klękają przed płonącym krzewem lub pocą się w blasku słupów ognistych, ale nie Thomas. Jego powołanie zniknęło. Wszystko skończone. Wszystko, wszystko skończone.

Thomas chce pozostać anonimowy. Goli brodę i przycina włosy. Zdobywa nową odzież, zwyczajną, niczym się nie wyróżniającą. Zmienia kolor oczu. Uczy się chodzić zgarbiony, by nie wyróżniać się wzrostem. Może jeszcze nie utracił swych umiejętności

kieszonkowca. Będzie działał w miastach, po cichu, polegając na sprawności palców. Może jakoś przetrwa. Życie będzie miał spokojniejsze.

Samotnie i w przebraniu Thomas wyrusza w drogę. Wędruje z miejsca na miejsce. Nikt mu nie przeszkadza. Śpi, gdzie popadnie, jada w podejrzanych knajpach. W Chicago spędził Długi Sabat, w Milwaukee Noc Krwi, a w St. Louis Przywołanie Ognia. Wydarzenia te nie wywierają na nim żadnego wrażenia. Wędruje dalej. Rok dobiega końca. Liście opadają z drzew. Jeżeli Miłośnicy Apokalipsy mają rację, ludzkość ma przed sobą zaledwie kilka tygodni istnienia. Gniew Boga lub Szatana spadnie na Ziemię, kiedy po grudniu nastąpi rok 2000. Thomas nie przejmuje się tym. Aby go tylko nikt nie rozpoznał. Nie będzie miał nic przeciw temu, gdy świat zacznie się walić.

- Jak myślisz - zapytał go ktoś na ulicy w Los Angeles - czy Bóg przyjdzie na Nowy Rok?

Grupa obiboków nie mających nic do roboty. Jest pewien, że go nie rozpoznali. Chcą jednak odpowiedzi.

- 'No, jak myślisz?

- Nie ma mowy - mówi niewyraźnie Thomas niskim, chrapliwym głosem. - Nigdy się już nami nie będzie przejmować. Zrobił dla nas cud i co z tego wyszło?

- Tak myślisz?

- Bóg odwrócił się do nas plecami - potwierdza Thomas. - Powiedział; dałem wam dowód mego istnienia, pozbierajcie się więc i zróbcie coś. Jednak wszystko się rozpadło. Tak to właśnie jest. Załatwiliśmy się. To już koniec.

- Hej, może masz rację!

Uśmiechy. Mrugnięcia. Rozmowa Thomasowi nie odpowiada. Zaczyna cofać się, przepychać z pochyloną głową i zgarbionymi plecami. Stara się utrzymać w wybranej roli.

- Poczekaj - mówi jeden z nich. - Zostań, pogadamy. Thomas waha się.

- Słuchaj, stary, myślę, że masz rację. Narobiliśmy straszego bałaganu. Powiem ci jeszcze coś. Nigdy nie powinniśmy byli w ogóle tego zaczynać. Prośba o Znak. Zatrzymanie się Ziemi. Byłoby znacznie lepiej, gdyby ten Thomas dalej zajmował się okradaniem ludzi. Mówię ci!

- Zgadzam się z tobą w stu procentach - mówi Thomas uśmiechając się - a teraz przepraszam...

Znowu zaczyna się cofać. Już dziesięć kroków. Nagle otwierają się drzwi pobliskiego biurowca. Niski, drobny mężczyzna wychodzi na ulicę. O Boże, Saul! Thomas zakrywa twarz ręką i odwraca się. Za późno. Kraft rozpoznaje go mimo wszystkich zmian. Jego oczy lśnią.

- Thomas! - wykrzykuje.

- Pan się myli. Nazywam się...

- Co się z tobą działo? Wszyscy cię szukają. Zrobiłeś nam świństwo odchodząc.

Zostawiłeś nam całą robotę, a przecież tylko ty miałeś dość sił, żeby poprowadzić ludzi. Tylko ty...

- Ciszej - mówi Thomas ostro, bo już nie ma co udawać. - Na miłość boską, Saul, przestań wrzeszczeć! Przestań powtarzać moje imię! Czy chcesz, żeby wszyscy dowiedzieli się...

- Właśnie tego chcę - odpowiada Kraft.

Zebrał się już niemały tłum. Dziesięć, może dwanaście osób.

- Nie poznajecie go? - wołał Kraft. To jest Thomas Prorok! Ogolił się, ostrzygł, ale czyż nie widzicie jego twarzy? Oto wasz prorok! Oto złodziej, który rozmawiał z Bogiem!

- Saul, nie!

- Thomas? - zapytał ktoś z tłumu. Wszyscy zaczęli pomrukiwać. Thomas? Kiwali

głowami, pokazywali palcami. Thomas?

Otoczyli go. Przyglądają się. Chce ich odepchnąć, ale jest ich za dużo i nie ma już apostołów. Kraft stoi na skraju tłumu. Uśmiecha się. Mały Judasz!

- Cofnijcie się - mówi Thomas. - Mylicie się. Ja nie jestem Thomasem. Sam bym chciał dostać go w ręce. Ja... (Wstrętny Judasz).

- Saul! - krzyczy Thomas i wtedy wszyscy rzucają się na niego *.

* Tłumaczenie tekstów biblijnych w oparciu o Pismo Święte Starego i Nowego

Testamentu, BFBS (Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne), Warszawa 1982 (przyp. tłum.).

ODCHODZĄC

Rozdział 1

Wczesną wiosną 2095 roku, gdy zbliżały się jego sto trzydzieste ósme urodziny, Henry Staunt zdecydował nagle, że nadeszła chwila, by odejść. Zawiadomi Biuro Spełnienia, zapewni sobie odpowiedniego Przewodnika i wynajmie pokój w jednym z lepszych Domów Pożegnań. Termin będzie idealny w związku z nadejściem najprzyjemniejszej pory roku. Będzie mógł dokonać wszystkich pożegnań, zamknąć sprawy w ciągu tych chłodnych, zielonych miesięcy i usunąć się, zanim lato rozpali się upałem.

Właśnie wtedy zaczął po raz pierwszy poważnie zastanawiać się nad odejściem. Był nawet nieco zaskoczony, że pomysł ten nasunął się mu tak nagle. Dlaczego - zastanawiał się - pomyślał o tym tego ranka, podczas gdy wcale nie myślał o tym w zeszłym tygodniu, w zeszłym miesiącu czy w zeszłym roku? Jaki próg nieświadomie przekroczył, do jakiej nieuchwytniej strefy decyzji dotarł? Może to był tylko przejściowy nastrój poranny? Może koło południa nabierze ochoty, by przeżyć kolejne sto lat? Nie, nie było to prawdopodobne. Był świadom determinacji tkwiącej, wrosniętej i lśniącej jak okruch kryształu w jego duszy.

Zorganizuj swoje odejście, Henry. Było to jednoznaczne. Brzmiała tu pewność. Decyzja była ostateczna. Nie należy się jednak spieszyć - myślał. Muszę najpierw zrozumieć swoje motywy. Nie warto prosić o śmierć bez przemyślenia.

Kiedy pierwszy raz przyszła mu do głowy myśl o śmierci, dowiedział się, że warto zapoznać się z książką Hallama stanowiącą podręcznik umierania, anatomię porzucania świata. Bardzo dobrze. Staunt nacisnął jasno emaliowany przycisk kontrolny i ekran umieszczony naprzeciw okna zapłonął kolorami.

- Czym mogę służyć? - odezwała się maszyna biblioteczna.
- Poproszę książkę Hallama, tę o umieraniu - powiedział Staunt.
- Obrót koła: odejście i pocieszenie?
- Tak.

Natychmiast pierwsza strona pojawiła się na ekranie. Staunt wziął do ręki kontrolną płytkę i przewracał na wrywki strony. Podziwiał jej elegancję. Druk był czytelny i piękny, marginesy szerokie. Dopiero po chwili zaczął zwracać uwagę na treść.

...istotne, by decyzja, kiedy zostanie podjęta, była podjęta w odpowiedniej porze roku.

Chociaż prędzej czy później musimy wszyscy obrócić koło i odejść z tego świata, by dać miejsce tym, którzy chcą nań przyjść, to jednak nikt nie powinien odchodzić z niechęcią i z myślą, że zbyt wcześnie został usunięty z tego świata. Do zadań człowieka cywilizowanego należy dojść we właściwym czasie do konkluzji, że jego życie zostało spełnione. Nikt, kto nie jest w pełni gotów, nie powinien odchodzić. Musimy pamiętać, że stan gotowości powinien być celem naszego życia, a często łudzimy się, że jesteśmy gotowi, podczas gdy w rzeczywistości tak nie jest. Odejście powodowane nieistotnymi lub płytkimi motywami jest błędem. Jaką tragedię przeżywamy, kiedy w momencie odejścia stwierdzimy, że oszukiwaliśmy się, że motywacja była fałszywa i że w rzeczywistości nie jesteśmy gotowi odejść!

Istnieje wiele niewłaściwych powodów odejścia i wszystkie one są klasyfikowane jako chęć ucieczki. Osoba odczuwająca frustrację emocjonalną, trudności w pracy, kłopoty ze zdrowiem lub intensywne rozczarowanie może w momencie słabości zwrócić się do Domu Pożegnań. Jej prawdziwa motywacja jest jednak trywialna. Chce ona ukarać świat uciekając od niego. Nigdy nie należy traktować odejścia jako sposobu odegrania się. Chciałbym jeszcze raz podkreślić, że odejście nie jest zwykłym samobójstwem. Odejście nie jest czynem irracjonalnym powodowanym chęcią zemsty. Jest to pozytywny akt świadomego wyrzeczenia się, głęboko moralny, którego nikt nie powinien traktować lekko, jako możliwości ucieczki. Nie można powiedzieć: nie podoba mi się ten świat, więc odchodzę i cześć. Należy powiedzieć: Kocham cię, piękny świecie, ale w pełni zasmakowałem twych radości, a teraz usuwam się, aby inni mogli ich też spróbować. Kiedy zatem po raz pierwszy zaczynamy zastanawiać się nad odejściem, należy zdobyć się na stwierdzenie, czy osiągnęliśmy prawdziwą gotowość, czyli szczerą chęć odejścia z tego świata i zrobienia tego dla innych, czy też chcemy zaspokoić swe ego poprzez gest samobójczy...

Było tam jeszcze więcej w tym samym tonie. Przeczyta to innym razem. Wyłączył ekran.

Tak. Trzeba zatem znaleźć motyw. Chodząc wolno po chłodnych, obszernych pokojach swego starego, podmiejskiego domu Staunt szukał motywów. Zdrowie? Idealne. Był wysoki, szczupły, wciąż silny, miał wciąż własne zęby i gęstą, krótko przystrzyżoną, białą czuprynę. Nie poddał się żadnej poważniejszej operacji od czasu przeszczepu śledziony prawie siedemdziesiąt lat temu. Co roku dokonywał przeglądu arterii i poddawał się regulacji wzroku. Udoskonalał też metabolizm. W jego wieku były to jednak rzeczy normalne. W zasadzie był zdrowy. Przy odpowiedniej opiece lekarskiej, a teraz każdy miał odpowiednią opiekę lekarską, jego ciało mogło sprawnie funkcjonować jeszcze przez długie dziesięciolecia.

Zatem co? Problemy emocjonalne? Wątpliwe. Miał przyjaciół, miał rodzinę, jego życie nigdy jeszcze nie układało się tak pogodnie, jak teraz. Praca? Właściwie już nie pracował. Robił jakieś szkice, jakieś projekty przyszłych kompozycji, ale wiedział, że i tak nigdy się do nich nie zabierze. Niezależnie od tego praca powodowała u niego jedynie miłe skojarzenia. Troska o los świata? Nie, świat rzadko kiedy bywał w lepszej kondycji. Nuda? Może. Czuł się znużony spokojnym życiem, znużony tym, że był wciąż z czegoś zadowolony, znużony piękną okolicą, znużony życiem. To może być powód. Podeszedł do okna salonu i zaczął patrzeć na krajobraz, który dawał mu tyle przyjemności od wielu lat. Trawnik wciąż jeszcze noszący ślady bladości zimowej opadał równo i łagodnie w kierunku strumienia, gdzie rosły kępy przysadzistych roślin.” Pierwsze ślady koloru pojawiały się już na pędach derenia. Krokusy jeszcze nie przekwitły. Ciężkie pąki narcyzów otworzą się koło soboty. Na zewnątrz wszystko było w porządku. Pięknie, jak zawsze o tej porze. Nie wzruszało go to jednak. Myśl, że prawdopodobnie kolejnej wiosny już nie będzie oglądać, wcale go nie zasmuciła. Na tym właśnie polega sprawa - pomyślał Staunt. Chyba dojrzałem do odejścia, bo nie mam ochoty zostać. To prosta sprawa. Zrobiłem wszystko, co chciałem zrobić. Zobaczyłem wszystko, co chciałem zobaczyć. Teraz mogę już odejść. Koło musi się obrócić. Inni czekają na moje miejsce. To najlepsze, co mogę zrobić.

- Połącz mnie z Biurem Spełnienia - zwrócił się do telefonu.

Delikatna twarz kobieca pojawiła się na niewielkim ekranie. Staunt uśmiechnął się.

- Nazywam się Henry Staunt. Wydaje mi się, że jestem gotów do odejścia. Czy możecie przysłać przewodnika możliwie jak najprędzej?

Rozdział 2

W godzinę później, gdy Staunt stał w oknie gabinetu słuchając jednej ze swych ulubionych kompozycji, kwartetu smyczkowego z 2038 roku, zielono-błękitny helikopter

opadł na trawnik i zawisł na poduszce powietrznej tuż nad powierzchnią ziemi. Oznakowany był symbolem Biura Spełnienia, kręgiem z poprzepłatanych kół zębatach. Drzwi otworzyły się i ku zdumieniu Staunta z helikoptera wysiadł Martin Bollinger. Bollinger był jego sąsiadem, długoletnim przyjacielem, może najlepszym, jakiego Staunt posiadał. Często odwiedzał Staunta, a ostatnio dyskutowali możliwość napisania przez Staunta muzyki do niektórych wierszy Bollingera. Co jednak robił Bollinger w helikopterze Biura Spełnienia?

Bollinger kroczył zamasyście w kierunku domu. Był niski, drobny, zwinny, miał błyszczące, ciemne oczy i lśniące, faliste włosy. Staunt oceniał jego wiek na siedemdziesiąt, najwyżej na osiemdziesiąt lat. Jeszcze zupełnie młody. W kwiecie wieku. W obecności Bollingera Staunt również czuł się młodo, chociaż wiedział, że Bollinger nie traktuje siebie jako młodzieniaszka. Również i Staunt nie czuł się jak chłopczyk, kiedy miał osiemdziesiąt lat. Mając jednak sto trzydzieści sześć lat inaczej ocenia się, co jest stare, a co nie.

- Czy można wejść, Henry? - zawołał Bollinger zbliżając się do domu.

- Wpuścić - mruknął Staunt.

. Jeden z czujników odebrał polecenie i przekazał je do frontowych drzwi, które się otwarły.

- Jestem w gabinecie - powiedział Staunt i dom odpowiednio pokierował Bollingerem.

Pstryknięciem palców Staunt przyciszył muzykę.

- Zawsze lubiłem ten kwartet - powiedział łagodnie Bollinger, kiwając przyjaźnie głową.

- Ja też. Miło mi cię widzieć. Staunt objął go na powitanie.

- Dawno nie widzieliśmy się. Ze dwa tygodnie?

- To dobrze, że przyszedłeś, chociaż, szczerze mówiąc, będę dziś zajęty po południu.

Spodziewam się kogoś.

- Tak?

- Kogoś właśnie z tej organizacji, której pojazd pożyczyłeś Jak to się stało, że używasz ich helikoptera?

- - Czemu nie? - zdziwił się Bollinger.

- Nie mogę tego zrozumieć.

- Kiedy udaję się w sprawach służbowych używam służbowego helikoptera.

- W sprawach służbowych?

- Prosiłeś o przewodnika.

- - Ty? - Staunt był wstrząśnięty.

- Kiedy powiedzieli mi, kto dzwonił, nalegałem, aby przydzielono mi to zadanie, w przeciwnym razie złożę rezygnację. Dlatego przyjechałem.

- Nie miałem pojęcia, że masz coś do czynienia ze Spełnieniem, Martin!

- Nigdy nie pytałeś.

Staunt uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Od jak dawna się tym zajmujesz?

- Niedługo. Osiem czy dziesięć lat. - Dlaczego?

- Poczucie obowiązku. Wszyscy musimy pomagać, żeby koło obracało się płynnie, czyż nie, Henry?

Bollinger podszedł bliżej do Staunta, popatrzył mu prosto w oczy i uśmiechnął się szeroko, zniewalająco, a następnie zapytał szorstkim, agresywnym tonem:

- Co to za historia z tym odejściem, Henry?

- Wpadłem na ten pomysł dziś rano. Wędrowałem sobie po domu, kiedy nagle

stwierdziłem, że właściwie nie ma powodu, żebym tu dłużej pozostawał. Jestem skończony.

Dlaczego miałbym się do tego nie przyznać? Koło musi się obrócić. Trzeba zwolnić miejsce.

- Jesteś wciąż stosunkowo młody.

- Mam już prawie sto trzydzieści sześć lat - zaśmiał się Staunt chrapliwie.

- Znam ludzi mających po sto sześćdziesiąt czy sto siedemdziesiąt lat, którym jeszcze nigdy odejście nie przyszło do głowy.

- To ich sprawa. Ja jestem gotów. - Czy jesteś chory?

- Nigdy nie czułem się lepiej.

- Czy masz jakieś kłopoty?

- Żadnych. Moje życie jest niezwykle spokojne. Moje motywy są czyste.

Bollinger wydawał się zaniepokojony. Chodził po gabinecie. Podniósł, obejrzał i odstawił jedną z polinezyjskich rzeźb Staunta. Założył ręce z tyłu.

- Musimy o tym porozmawiać, Henry. Musimy porozmawiać - powiedział wreszcie.

- Nie rozumiem. Czy do obowiązków przewodnika nie należy doprowadzić mnie bezkonfliktowo do końca? Wygląda na to, że chcesz wyperswadować mi odejście.

- Do obowiązków przewodnika należy - wyjaśniał Bollinger - jak najlepiej służyć interesom odchodzącego niezależnie od tego, jakie one są. Przewodnik może próbować wyperswadować odchodzącemu tę decyzję lub opóźnić odejście, jeżeli uzna, że to jest właściwy sposób postępowania.

Staunt pokręcił głową.

- Świat jest pełen młodych, zdrowych ludzi, którzy chcieliby mieć więcej dzieci, a którzy nie mogą ich mieć, dopóki bezużyteczne zabytki, takie jak ja, stoją im na drodze. Chcę dobrowolnie zwolnić miejsce. Czy mam rozumieć, że będziesz przeciwstawiać się mojemu odejściu? Słuchaj, Martin, jeżeli...

- Utrzymanie stałego poziomu ludności jest tylko jednym z aspektów naszej działalności. Interesuje nas również jakość. Nie chcemy, aby przydatni starsi obywatele usuwali się z tego świata tylko po to, żeby zrobić miejsce nowo przybyłym, których możliwości

nie możemy przewidzieć. Jeżeli człowiek może wciąż dać coś znaczącego społeczeństwu...

- Ja nie mam nic znaczącego do dania...

- Jeżeli rzeczywiście coś może - ciągnął Bollinger nie przerywając - będziemy starali się wpłynąć na zmianę jego decyzji dopóty, dopóki się da. W twoim przypadku uważam, że odejście jest nieco przedwcześnie i dlatego pragnąłem zostać twoim przewodnikiem, żebyś mógł w pełni zdać sobie sprawę z konsekwencji podjętej decyzji i może...

- Jak myślisz, Martin, co ja jeszcze mogę światu ofiarować?

- Muzykę.

- Czyż nie stworzyłem dosyć?

- Nie mamy pewności. Możesz wciąż stworzyć mistrzowskie dzieło lub dwa.

Bollinger znów zaczął chodzić po pokoju.

- Henry, czytałeś książkę Hallama.

- Tak. Rzuciłem na nią okiem dziś rano.

- Czytałeś rozdział wyjaśniający, dlaczego nasze społeczeństwo jest unikalne w skali cywilizacji zachodniej?

- Musiałem go przeoczyć.

- Nasze społeczeństwo jest pierwszym, które uznaje, że samobójstwo jest czynem godnym - wyjaśnił Bollinger. - Wiesz, że w przeszłości samobójstwo uznawano za akt nieczysty, zły i objaw tchórzostwa. Religie potępiały je jako sprzeciwianie się woli Bożej. Nawet ludzie niewierzący usiłowali przemilczeć sprawę, gdy przyjaciel lub krewny popełnił samobójstwo. Teraz mamy inne podejście. Ponieważ nasza wiedza medyczna rozwinęła się tak wysoko, że prawie nikt nie umiera śmiercią naturalną, nawet metody planowania rodziny nie mogą zapobiec przeludnieniu. Tak długo, jak rodzą się dzieci, a nikt nie umiera, istnieje możliwość niebezpiecznego wzrostu ludności, więc...

- Tak, ale...

- Pozwól mi skończyć. Aby rozwiązać problemy ludnościowe, podjęliśmy wreszcie decyzję, że należy uznać dobrowolne zakończenie życia za szlachetną ofiarę i tak dalej. Stąd powstała cała ta mistyka odejścia. Mimo to jednak nie zatraciliśmy w pełni naszych dawnych postaw moralnych wobec samobójstwa. Nie chcemy, aby wartościowi ludzie odchodzili, ponieważ uważamy, że nie mają prawa marnować talentów i pozbawiać nas tego, co mogą zaoferować. W związku z tym do obowiązków Biura Spełnienia należy pomoc starym i nieprzydatnym w odejściu w sposób godny i cywilizowany, ale także powstrzymanie starych, ale przydatnych od przedwczesnego odejścia. A zatem...

- Rozumiem - powiedział Staunt łagodnie. - Zgadzam się z tą filozofią. Zaprzeczam jedynie temu, że jestem jeszcze przydatny.

- To jest sprawa otwarta.

- Czy nie uważasz, Martin, że sprawy osobiste uniemożliwiają ci właściwą ocenę?

- Co przez to rozumiesz? Że powstrzymuję cię od odejścia, ponieważ tak wysoce cenię sobie twoją przyjaźń?

- Myślałem o mojej obietnicy skomponowania muzyki do twoich wierszy.

Bollinger lekko poczerwieniał.

- To absurd. Czy myślisz, że aż tak bardzo jestem związany z tymi wierszami, że przeszkadzałbym ci w odejściu tylko po to, żebyś... Nie. Wydaje mi się, że moja ocena jest obiektywna.

- Możesz się mylić. Możesz się zdyskwalifikować jako przewodnik. Tylko na podstawie...

- Nie. Będę twoim przewodnikiem.

- Będziemy zatem kłócić się o to, czy mogę odejść?

- Oczywiście, że nie. Chcemy tylko, żebyś zrozumiał znaczenie kroku, który chcesz zrobić.

- Znaczenie jest takie, że umrę. Czy to tak trudno zrozumieć?

Bollinger wydawał się zaniepokojony doborem słów Staunta. Na ogół starano się nie kojarzyć odejścia z umieraniem. Zazwyczaj pozostawano w sferze nieudomówień.

- Henry, chcę po prostu stosować się do procedury.

- To znaczy?

- Pojedziesz do Domu Pożegnań. Poprosimy cię tam, byś dokładnie przeanalizował swoje stanowisko i stwierdził, czy rzeczywiście jesteś gotów odejść, tak jak ci się wcześniej zdawało. To wszystko. Ostateczna decyzja pozostaje w twoich rękach. Jeżeli będziesz nalegał, możesz pojechać tam już dziś wieczorem. Nie mamy prawa cię zatrzymywać. Nie mamy. Taki pośpiech byłby jednak niewłaściwy.

- Jeżeli tak uważasz.

- Zalecalibyśmy ci Dom Pożegnań Omega Prime. Jest w Arizonie. Piękny, pustynny kraj. Wokół góry. Personel jest wspaniały. Mógłbym ci dostarczyć broszury o innych domach, ale...

- Zdaję się na ciebie.

- Świetnie. Czy mogę zadzwonić?

Dokonanie rezerwacji zajęło Bollingerowi mniej niż minutę. Po raz pierwszy Staunt zaczął odczuwać, że wypadki wymknęły się spod kontroli. Wyruszał w drogę. Teraz nie było już odwrotu. Nigdy nie zdobędzie się na to, żeby zrezygnować z odejścia, jeżeli już zamieszka w Omega Prime. Zastanawiał się, dlaczego teraz właśnie pojawiło się to wahanie. Czy rzeczywiście Bollinger zaczął wywierać na niego jakiś wpływ?

- Widzisz - powiedział Bollinger. - Twój apartament będzie gotów za godzinę. Czy

chciałbyś wyjechać dziś wieczorem?

- Czemu nie?

- Zgodnie z procedurą - stwierdził Bollinger - rodzina zostanie powiadomiona

natychmiast po twoim przybyciu. Sam tego dopilnuję. Wyznamy opiekuna domu. Zostanie opieczętowany i będzie strzeżony, dopóki nie przejmą go spadkobiercy. W Domu Pożegnań udziela ci wszelkiej pomocy prawnej, jaka może być potrzebna. Wiesz, podział majątku i tak dalej. Wszystkie sprawy zostaną zamknięte. To będzie bardzo proste.

- Świetnie.

- Na tym kończy się oficjalna część mojej wizyty. Możesz teraz przestać myśleć o mnie

jako o swoim przewodniku. Oczywiście dużo czasu spędzimy razem w Domu Pożegnań. Będę prowadził wszystkie twoje sprawy. Będę robił wszystko, żeby ci pomóc. Przez chwilę jednak będę teraz tylko twoim przyjacielem, a nie przewodnikiem. Czy chciałbyś pogadać? Nie o odejściu. Może o muzyce, o polityce, o pogodzie, o czymkolwiek?

- Jakoś nie mam nastroju do rozmów - powiedział Staunt.

- Chcesz zostać sam?

- Myślę, że tak będzie lepiej. Widzą już siebie jako odchodzącego. Chciałbym mieć parę godzin czasu, żeby się pogodzić z tą myślą.

Bollinger skłonił się niezgrabnie.

- To musi być dla ciebie trudna chwila. Nie chciałbym się narzucać. Wrócę wieczorem, dobrze?

- Dobrze - powiedział Staunt.

Rozdział 3

Później, z uczuciem niepewności, Staunt wędrował bez celu po domu, zastanawiając się, ile czasu upłynie, zanim zmieni zdanie. Nie bardzo wierzył w pełną nadziei i pochlebstwa

hipotezę Bollingera, że może stworzyć jeszcze znaczące dzieło dla świata. Staunt wiedział lepiej. Jeżeli miał wobec ludzkości jakiś dług twórczy, to dawno został on już w pełni spłacony. Cywilizacja nie powinna żywić obaw, że straci coś ważnego wraz z jego odejściem. Nawet jednak wtedy może być trudno odciąć się od wszystkiego, co kochał. Czy widok ulubionych przedmiotów może podważyć jego decyzję? Było tu pełno pamiątek z jego długiego, wygodnego życia. Afrykańskie maski, ceramika Indian Pueblo, manuskrypty Mozarta, mały, elżbietański klawesyn, kamień księżycowy, miseczka z dynastii Sung, egipskie naczynia rytualne, perskie miniatury, pistolety pojedynkowe, greckie monety i inne wspaniałe rzeczy, które zbierał przez lata podróży. Kiedyś myślał, że może się rozstać z tymi cennymi przedmiotami, wydawała mu się nieznośna. Nabierały dla niego życia do tego stopnia, że gdy pewnego dnia niezgrabny robot czyszczący strącił na podłogę i rozbił cypryjską statuetkę, Staunt rozplakał się nie ze względu na materialną stratę, ale na myśl o bólu i upokorzeniu, jakie odczuwała. Wyobrażał sobie jej wyrzuty: Przeżyłam tysiąc lat, żeby stać się twoją własnością, a ty dopuściłeś, że mnie zniszczono! Tak, jak dziecko udaje, że jego lalki żyją i rozmawia z nimi, tak i on przeproszał za niedopatrzienia. Cały czas to jego przywiązanie do martwych przedmiotów, ta jego troska o ich wygodę i uczucia, mówienie o nich "ten" i "ta", a nie "to", ciągnęła myśl, czy miejsca wybrane dla co cenniejszych przedmiotów je satysfakcjonują, były głupie, sentymentalne, a nawet godne pogardy. Przyjmował do wiadomości nie w pełni jeszcze ukształtowane wrażenie, że z tego zbioru przypadkowych przedmiotów wywodzących się z setki różnych kultur i setki różnych epok stworzył coś, jakby rodzinę.

Teraz, nawet pomimo faktu, iż uzmysłowił sobie przykrą rzeczywistość, że gdy odejdzie, jego "rodzina" ulegnie rozproszeniu, że jego ukochane przedmioty zostaną sprzedane lub rozdane, że niektóre z nich ulegną uszkodzeniu w transporcie, że niektóre trafią na zakurzone półki osób, które wcale nie będą się o nie troszczyć i żadne już nie zazna ciepłych

uczuć, jakimi je obdarzał, to okazało się, że go to już po prostu nic nie obchodzi. Z dniem dzisiejszym utraciły dla niego życie. Były tylko maskami, naczyniami, kawałkami kości i papieru, przedmiotami. Owszem, przedmiotami interesującymi, wartościowymi i pięknymi, ale tylko przedmiotami bez uczuć. Nie potrzebowały opieki. Nie musiał troszczyć się o ich los. Nawet nie zauważył, kiedy te wszystkie rzeczy przestały być jego ulubieńcami i nie czuł najmniejszego bólu na myśl o rozstaniu się z nimi. Chyba rzeczywiście jestem gotów odejść - pomyślał.

Tu, w studio, była jego prawdziwa rodzina - cały zestaw portretowych kubików - żona, syn, córka, ich dzieci i dzieci ich dzieci, każde uwiecznione w lśniącym, plastikowym sześcianie wysokim na kilka cali. Było ich tyle, całe tuziny! Miał tylko dwoje dzieci zgodnie z zasadami, podobnie jak i jego dzieci. Jego wnuki i prawnuki nie miały więcej niż po troje, a ile tych kubików? Ta ilość była najistotniejszym argumentem na rzecz odejścia. Trzeba było po prostu zrobić miejsce, gdyż inaczej wszyscy zostaną zalani potopem młodości. Oczywiście w świecie, w którym praktycznie każdy umierał wyłącznie na własne życzenie i to w bardzo późnym wieku, rodziny rozrastały się niezmiernie w miarę pojawiania się nowych generacji. Nawet niewielka rodzina, a w dzisiejszych czasach były tylko takie, musiała stać się ogromna w ciągu osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu lat na skutek stałego, choć kontrolowanego przyrostu. Ciągłe się powiększała, nie zmniejszając się lub zmniejszając tylko nieznacznie. Liczby rosły. Ile tych kubików!

Te kubiki były bardzo ciekawe. Komputerowe symulacje osobowości. Każdy robił sobie kubik przynajmniej raz w życiu. Ci, którzy byli zafascynowani tym swoistym rodzajem nieśmiertelności, jaki zapewniały kubiki, robili sobie nowy co kilka lat. Proces oparty był na transferze elektronicznym i trwał około godziny. Skanery zapisywały głos i sposób mówienia, mimikę, sposób poruszania i wszystkie standardowe reakcje. Zestaw zwięzłych, przebiegle

dociekliwych testów osobowości dopełniał reszty. Te dane również wprowadzono do kubika. Zupełnie jakby zamknięto duszę w pudełku. Po wprowadzeniu kubika do czytnika na ekranie otrzymywało się ożywiony obraz uśmiechający się, poruszający, rozmawiający. Oczywiście postać na ekranie była nierzeczywista, była technicznym naśladownictwem, falsyfikatem osoby sportretowanej. Była jednak zaprogramowana do uczestniczenia w rozmowie, a nawet jej inicjowania bez wcześniejszych bodźców oraz do przyjmowania informacji i zmiany wyglądu w zależności od ich treści. Zachowywała się nie jak portret, ale jak przekonywająca imitacja osoby żyjącej.

Staunt przyglądał się zbiorowi kubików. Pięć przedstawiało syna, obejmując okres życia Paula od wczesnego wieku średniego do wczesnej starości. Paul regularnie przysyłał ojcu kubik na początku każdego dziesięciolecia. Trzy kubiki przedstawiały jego córkę. Szereg kubików - wnuki. Dumni rodzice przysyłali je, gdy dzieci miały po dziesięć, dwanaście lat, a wnuki, gdy już dorosły, przysyłały swoje dojrzałe wersje. Teraz miał po cztery, pięć kubików dla każdego i co roku pojawiały się nowe - uaktualnienie wcześniejszych lub nowe praprawnuki uwiecznione po raz pierwszy. Wszystkie trafiały na półkę do patriarchy rodu. Stauntowi podobał się ten zwyczaj.

Miał tylko jeden kubik żony. Wynalazku dokonano pięćdziesiąt lat temu, a Edith nie żyła od lat czterdziestu siedmiu. Staunt z żoną byli jednymi z pierwszych, którzy zrobili sobie kubiki i dobrze się stało, ponieważ Edith nie miała już wiele życia przed sobą. Nawet teraz nie wszystkie przypadki śmierci były dobrowolne. Edith zginęła w wypadku helikoptera, a Staunt dobiegając dziewięćdziesiątki nie ożenił się powtórnie. Jej kubik stanowił dla niego wielkie pocieszenie w okresie tuż po jej śmierci. Teraz jednak używał go rzadko ze względu na niedoskonałości techniczne. Proces był zbyt nowy, kiedy kubik był wykonany. Symulacja była jedynie przybliżona, ruchy były gwałtowne i niezgrabne, pozbawione wdzięku typowego dla

Edith. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz go włączył. Pod wpływem impulsu wsunął kubik do czytnika.

Ekran rozjaśnił się i pojawiła się Edith. Długie, platynowoblond włosy, czerwona suknia spięta na ramieniu jej ulubioną, złotą broszą. Była wtedy po siedemdziesiątce, ale nie wyglądała na więcej niż pięćdziesiąt. Ich małżeństwo trwało pół wieku. Staunt dopiero niedawno zdał sobie sprawę, że okres jego życia bez niej był prawie tak samo długi, jak z nią.

- Dobrze wyglądasz, Henry - powiedziała, jak tylko pojawiła się na ekranie.

- Nie najgorzej, jak na takiego starucha. Jest rok 2095. Niedługo będę miał sto trzydzieści sześć lat.

- Nie używałeś kubika przez dłuższy czas. Prawie pięć lat.

- Nie, ale to nie znaczy, że nie myślałem o tobie. Chodzi o to, że oddalam się od wszystkiego, co kiedyś kochałem. Jestem jakby lunatykiem. Błąkam się bez celu. Nie wiem, co robić z czasem.

- Dobrze się czujesz?

- Dość dobrze. Jestem zdrowy. Zaskakująco zdrowy. Nie mogę narzekać.

- Komponujesz?

- Bardzo mało. Właściwie wcale. Zrobiłem kilka projektów, ale to wszystko.

- Szkoda. Miałam nadzieję, że zagrasz coś dla mnie.

- Nie. Nic nie mam do zagrania.

W ciągu minionych lat regularnie grał wszystkie swoje nowe utwory dla kubika Edith oraz informował o wydarzeniach w rodzinie i u znajomych, o sytuacji światowej, o wydarzeniach w świecie kultury. Nie chciał, żeby kubik pozostawał na stałe w 2046 roku. Ciągła nauka, zmiany, rozwój pomagały utrzymać wrażenie, że Edith na ekranie to prawdziwa Edith. Zapoznał ją nawet ze szczegółami jej własnej śmierci.

- Jak się mają dzieci? - spytała.

- Świetnie. Często się spotykamy. Paul trzyma się świetnie, chociaż jest już stary. Ma dziewięćdziesiąt jeden lat. Czy to cię nie dziwi, że jesteś matką syna starszego od ciebie?

- Dlaczego miałabym tak myśleć? - roześmiała się. - Jeżeli on ma dziewięćdziesiąt jeden, to ja mam sto dwadzieścia pięć.

Oczywiście. Oczywiście. Jeśli tak sobie życzysz - pomyślał.

- Crystal ma osiemdziesiąt siedem. To trochę dziwne. Zawsze myślę o niej jako o młodej kobiecie. Jej dzieci muszą już być stare, a przecież pamiętani, jak były malutkie.

- Donna ma sześćdziesiąt jeden, David - pięćdziesiąt osiem, Henry - czterdzieści siedem.

- Henry? - powiedziała Edith i jej twarz straciła wszelki wyraz. - O, tak. Trzecie dziecko. Twój imiennik. Zapomniałam o nim przez chwilę.

Henry urodził się wkrótce po wypadku Edith. Staunt poinformował o tym kubik, ale wprowadzanie informacji już po jego wykonaniu nie zawsze było w pełni dokładne. Czasami było trudno do nich dotrzeć. Jak gdyby chciała ukryć zakłopotanie, zaczęła dopytywać się o inne wnuki i prawnuki, cały ten tłum, który pojawił się już po jej śmierci. Cytowała imiona, kojarzyła je z właściwymi rodzicami, przesuwała się w górę i w dół drzewa genealogicznego Stauntów, żeby mu zrobić przyjemność. Staunt wymusił jednak nagłą zmianę tematu.

- Chciałem powiedzieć ci, Edith, że zdecydowałem, iż czas mi odejść - powiedział.

- Odejść? Dokąd? - znowu ten całkowity brak wyrazu.

- Przecież wiesz, co mam na myśli. Odejść.

- Nie. Nie wiem. Naprawdę.

- Do Domu Pożegnań.

- W dalszym ciągu nie wiem, o co ci chodzi. Staunt zmusił się do zachowania spokoju.

- Tłumaczyłem ci te pojęcia już dawno temu. Używane są już od dwudziestu, a może trzydziestu lat. Oznaczają dobrowolne zakończenie życia. Rozmawialiśmy o tym. Każdy podejmuje taką decyzję wcześniej czy później.

- Zdecydowałeś się umrzeć?

- Odejść, tak, umrzeć, odejść.

- Dlaczego?

- Ze względu na nudę, samotność. Żyję dłużej niż większość moich przyjaciół. Mój talent się wyczerpał. Żyję dłużej niż powinienem, a mógłbym pożyć jeszcze z pięćdziesiąt lat. Po co się szarpać? Żyć po to, żeby żyć?

- Biedny Henry. Miałeś zawsze taką wspaniałą umiejętność interesowania się tyloma rzeczami. Dnia ci nie starczało, aby zająć się swoimi zbiorami, książkami, muzyką, podróżami, przyjaciółmi...

- Przeczytałem wszystko, co chciałem przeczytać. Widziałem już cały świat.

Kolekcjonerstwo mnie nuży.

- To może miałam jednak szczęście. Rozsądna ilość lat, szczęśliwe życie, szybki koniec...

- Nie. Dobrze było tak żyć. Byłem zdrowy. Nie zestarzałem się. Było dobrze. Tylko cię nie było. Teraz wszystko przestało mnie bawić. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie ma sensu zostawać tu dłużej. Koło dokonało obrotu. Starzy muszą się usunąć. Gdzieś żyją ludzie, którzy pragną mieć dziecko, czekają na wolne miejsce na tym świecie. Ja mogę takie miejsce stworzyć.

- Czy powiedziałaś Paulowi i Crystal?

- Jeszcze nie. Dopiero dzisiaj podjąłem decyzję. Zawiadomię ich lub ktoś ich zawiadomi w moim imieniu. Przekażę twój kubik Paulowi. Dla odchodzących wszystko

załatwiają bardzo sprawnie.

- Jak szybko... odejdziesz?

- Jeszcze nie wiem - Staunt wzruszył ramionami. - Za miesiąc, dwa. Nie ma pośpiechu.

- Odnoszę wrażenie, że wcale nie chcesz tego zrobić.

- Chcę, Edith, ale w sposób cywilizowany. Chcę odejść we właściwy sposób. Żyłem długo. Nie zamknę spraw w jeden dzień, ale długo już nie zostanę.

- Będzie mi ciebie brak, Henry.

Zastanowił się nad znaczeniem tego stwierdzenia. Czy kubik może tęsknić za żywą osobą?

- Paul uruchomi mój kubik dla ciebie, a twój dla mnie - powiedział śmiejąc się. -

Będziemy rozmawiać ze sobą za pośrednictwem maszyny. Zawsze będziemy dla siebie istnieć.

Obraz Edith wyciągnął ku niemu rękę. Staunt przeklinał niezręczną sytuację. Delikatnie dotknął czubkami palców ekranu nawiązując z nią kontakt przez dziesięciolecia, przez wszystkie bariery, jakie ich dzieliły. Przesłał jej pocałunek, a po tym, szybko, żeby się nie rozczulić, wyjął kubik z czytnika i położył go obok kubików syna i córki. W pośpiechu o mało co się nie przewrócił i wyszedł do gabinetu.

W tym wielkim pokoju było mnóstwo śladów jego długoletniej kariery. Była tu zapisana muzyka w postaci płyt i kaset z wcześniejszymi utworami i w postaci lśniących kubików z późniejszymi pracami, były manuskrypty oprawne w jednolity, czerwony półskórek, co było dowodem jego próżności. Były zbiory wycinków i recenzji z jego programów i koncertów. Były nagrody. Były krytyczne rozprawy, które napisał. Staunt był bardzo aktywny. Patrzył na tytuły utworów wytłoczone na grzbietach manuskryptów: symfonie, kwartety smyczkowe, koncerty, różne utwory kameralne, pieśni, sonaty, kantaty, opery. Tak ich dużo, tak dużo. Wypróbował prawie wszystkie formy. Jego muzyka była gładka, przyjemna,

konserwatywna, nawet nieco akademicka. Nie musiał się z tego powodu tłumaczyć. Szedł za głosem wewnętrznym, gdziekolwiek go zaprowadził, a że nie zaprowadził go do buntu i fajerwerków, to i cóż z tego. Swoimi pracami dostarczył słuchaczom przyjemności. Przyczynił się do wzrostu niewielkich zasobów piękna na tym świecie. To było osiągnięcie życiowe godne szacunku. Gdyby miał więcej pasji, więcej buntu, więcej dynamiki, może wstrząsnąłby światem jak Beethoven, jak Wagner. Nigdy nie odpowiadały mu wielkie gesty, robił jednak, co mógł. Osiągnął dość na swój sposób. Niektórzy leczą chorych, inni leczą zbolące dusze, wymyślają zdumiewające maszyny lub tworzą pieśni i symfonie, ponieważ muszą, ponieważ jest to to, co mogą zrobić dla wzbogacenia świata, na którym przyszło im żyć. Nawet teraz, kiedy płomyk jego życia dogasał, kiedy wszystko nagle zdało mu się bezcelowe i puste, Staunt nie odnosił wrażenia, że zmarnował czas wypełniając ten pokój tym, czym był wypełniony. W ciągu ostatnich stu lat nie minął tydzień bez wykonania gdzieś w świecie jednego z jego utworów. To było wystarczające usprawiedliwienie tworzenia, życia.

Włączył syntetyzer i lekko dotknął palcami klawiatury. Same zaczęły grać pierwsze takty głównego tematu symfonii Wenus, jego pierwszego dojrzałego dzieła z 1989 roku. Jak to było dawno. Wspaniała jesień triumfów, gdy dyrygował tą symfonią w kilku stolicach, zachwyty krytyki i wszyscy od niezadowolonych miłośników Brahmsa po luminarzy awangardy czcili go jako zbawcę muzyki poważnej. Była później reakcja na nadmierne pochwały krytyki, kiedy moderniści uznali, że ktoś tak popularny nie może być dobry, zaś konserwatyści uznali go za zbyt nowoczesnego, ale tego można było oczekiwać. Szedł własną drogą. Inni wreszcie uznali jego geniusz, ograniczony i wyspecjalizowany, ale jednak geniusz. W miarę jak świat wychodził z burzliwej, gorzkiej drugiej połowy dwudziestego wieku, w miarę jak tworzyło się nowe społeczeństwo pokoju i harmonii na gruzach starego, Staunt tworzył muzykę, jakiej potrzebowała nadchodząca, spokojniejsza epoka i stał się jej głosem

lirycznym.

Wsunął kubik do odtwarzacza. Rozległy się słodkie dźwięki jego dętego kwintetu. Ten kubik to Trials of Job - jego pierwsza opera, ten zaś to Three Orbits for Strings and Stasis Generator i jeszcze Polyphonies for Five Worlds. Zaczął wszystkie odtwarzać równocześnie, wywołując dzikie płataniny dźwięków z głośników rozstawionych w pokoju. Stał na środku drząc, odbierając tę nawałę dźwięku i starając się uporządkować wszystko we własnym umyśle.

Po czterech minutach wyłączył dźwięk. Nie musiał słuchać muzyki. Miał ją i tak w głowie i mógł ją przywołać, kiedy tylko chciał. Pogładził lekko gładkie, lśniące, czarne grzbiety segregatorów z wycinkami prasowymi, zawierających całą dokumentację jego wszystkich sukcesów i kilku niepowodzeń. Tak wiele. Tak bardzo wiele. Takie twórcze życie. Nie miał prawa narzekać.

Polecił, aby telefon połączył go ponownie z Biurem Spełnienia.

- Moim przewodnikiem jest Martin Bollinger - powiedział. - Czy możecie mu przekazać, że chciałbym udać się do Domu Pożegnań tak szybko, jak to tylko możliwe?

Rozdział 4

Bollinger siedzący w helikopterze obok Staunta przechylił się przez jego fotel i wskazał w dół.

- To jest właśnie Omega Prime. Tuż pod nami.

Dom Pożegnań wyglądał jak szereg przezroczyстых, białych pawilonów podobnych do namiotów rozstawionych w kształcie litery U wokół ogrodu na dziedzińcu centralnym. Słońce późnego popołudnia barwiło pawilony złotem i czerwienią. Nagie kły czerwonych skał otaczały dom od północy i wschodu. Po drugiej stronie Omega Prime rozciągała się aż po horyzont płaska, brązowa pustynia Arizony, której monotonię przerywały tu i ówdzie kaktusy.

Helikopter wylądował w ciszy. Gdy otworzyły się drzwi, Staunt poczuł powiew upału.

- Nie regulujemy tu klimatu zewnętrznego - wyjaśnił Bollinger. - Tak woli większość odchodzących. Kontakt ze środowiskiem naturalnym.

- Nie przeszkadza mi to - powiedział Staunt. - Zawsze kochałem pustynię.

Zanim wysiedli z helikoptera, zebrała się grupa ludzi, żeby ich powitać. Troje przedstawicieli personelu Omega Prime w kurtkach z wyhaftowanym emblematem Spełnienia, czterech staruszków najwyraźniej oczekujących na odejście. Robot transportowy z przygotowanym fotelem. Staunt idąc ostrożnie po nierównej, pokrytej kamieniami powierzchni lądowiska był zakłopotany tym całym zamieszaniem.

- Powiedz im, że nie potrzebuję fotela - powiedział cicho do Bollingera. - Jeszcze mogę chodzić. Nie jestem inwalidą.

Wszyscy zgromadzili się wokół Staunta. Przedstawili się. Doktor James, panna Elliot, pan Falkenbridge należeli do personelu. Czterech odchodzących wyskrzecało również swoje nazwiska. Staunt był jednak tak zaskoczony ich wyglądem, że nie zwrócił na nie uwagi.

Pomarszczone twarze, dłonie powykrzywiane jak szpony, skóra jak pergamin. Czy on też tak wygląda? Od lat nie widział kogoś równego sobie wiekiem. Odnosił wrażenie, że dobrze się trzyma po przeżytych czternastu dziesięcioleciach, ale może było to tylko złudzenie zrodzone z próżności, może rzeczywiście jest taką samą ruiną jak tych czterech. Prawdopodobnie byli znacznie starsi od niego. Mieli może po sto siedemdziesiąt pięć, sto osiemdziesiąt lat, co było obecnie granicą życia ludzkiego. Staunt patrzył na nich zdumiony, oszołomiony i przerażony ich bezzębnymi uśmiechami.

Falkenbridge, potężny, rudowłosy młody człowiek, chyba pielęgniarz, próbował posadzić go na wózku inwalidzkim. Staunt zirytowany odtrącił jego rękę.

- Nie. Nie. Dam sobie radę. Martin, powiedz mu, że nie potrzebuję fotela.

Bollinger szepnął coś Falkenbridge'owi. Młody człowiek wzruszył ramionami i odesłał robota. Wszyscy ruszyli w kierunku Domu Pożegnań, Falkenbridge po prawej stronie Staunta, panna Elliot po lewej. Obydwoje byli przygotowani na to, że się przewróci.

Staunt stwierdził, że opanowało go nieoczekiwane napięcie. Może rezygnacja z fotela była głupotą? Ciężki, suchy upał, zmęczenie półtoragodzinną podróżą przez kontynent i nierówności gruntu powodowały, iż czuł, że nogi chwieją się pod nim. Dwukrotnie omal nie upadł. Za pierwszym razem panna Elliot schwyciła go delikatnie pod łokieć i pomogła utrzymać równowagę. Za drugim udało mu się to samemu po potknięciu, które wywołało ostry ból w prawej kostce.

Poczuł nagle, że już jest stary. W ciągu jednego dnia zaczął się chwiać na nogach, jak gdyby decyzja wyjazdu do Domu Pożegnań pozbawiła go wszelkiej energii. Nie. Nie. Odrzucił tę myśl. Był po prostu zmęczony. Po krótkim odpoczynku znowu przyjdzie do siebie. Zaczął iść szybciej mimo wysiłku, jaki go to kosztowało. Pot spływał mu po policzkach, czuł ból w boku, bolała go też cała lewa noga.

Dotarli nareszcie do wejścia do Omega Prime.

Staunt zobaczył teraz, że to, co z powietrza wyglądało jak przejrzyste pawilony, było w rzeczywistości solidnymi, plastikowymi kopułami połączonymi systemem krytych przejść. Działanie, wokół którego były zgrupowane, porośnięty był roślinnością pustynną. Były tu olbrzymie kaktusy wyciągające ku niebu sztywne ramiona, jakieś splątane mięsiste rośliny wypuszczające białe pędy i dziwne, kanciaste i kolczaste krzewy. Cała ta roślinność rozmieszczona była z wdziękiem i subtelnością wokół dziwacznych głazów i gładkich płyt kamiennych, co w efekcie tworzyło kompozycję niezwyklej piękności.

- Nie chciałbyś pójść najpierw do swego apartamentu? - zapytał Bollinger łagodnie. -

Ogród może poczekać do wieczora.

Apartament zajmował całą przestrzeń pod jedną z kopuł. Ścianki wewnętrzne dzieliły ją na sypialnię, salon i gabinet. Było dużo przestrzeni zaaranżowanej prosto i ze smakiem.

Temperatura była znacznie niższa niż na zewnątrz. Okno wychodziło na ogród.

Personel i odchodzący gdzieś zniknęli. Staunt pozostał sam z przewodnikiem.

- Każdy z mieszkańców ma taki apartament - wyjaśnił Bollinger. - Możesz jadać tutaj, jeżeli będziesz miał ochotę. Jest też wspólna jadalnia w podziemiach pod dziedzińcem. Jest też biblioteka, teatr, sala gier, ale tak samo dobrze możesz spędzać cały czas w apartamencie.

Staunt ostrożnie opuścił się na piankową sofę. Pod wpływem jego ciężaru małe, mechaniczne rączki zaczęły masować mu plecy. Bollinger uśmiechnął się.

- To jest twój terminal komputerowy - powiedział podając Stauntowi miedzianego koloru pręt o długości około ośmiu cali. - To jest standardowa jednostka dostępu. Możesz uzyskać jakąkolwiek książkę z biblioteki i wyświetli ci ją na ekranie. Mają tysiące książek. Możesz grać dowolną muzykę i wybierać połączenia telefoniczne. Możesz połączyć się z kim chcesz. Spróbuj.

- Z moim synem, Paulem - powiedział Staunt.

- No to zlecaj - powiedział Staunt.

Staunt włączył terminal i podał nazwisko i numer Paula. Ekran mógł być równie dobrze lustrem, lustrem, które łagodziło upływ czasu, które mogło przyjąć obraz bardzo starego człowieka i odbić go jako obraz człowieka, który aż tak stary nie był. Staunt patrzył na swoją młodszą wersję, chociaż również niemłodą. Chłodne, szare oczy, wąskie usta, szczupła, koścista twarz, gęsta grzywa siwych włosów.

Twarz Paula była głęboko pobrużdżona, ale wciąż jeszcze pełna energii. W wieku pięćdziesięciu jeden lat nie przestał jeszcze pracować w kierowanej przez siebie firmie architektonicznej. Jak długo zdrowie i umysł pozwalały, a praca przynosiła satysfakcję, nie

było powodu do przejścia na emeryturę. Kiedy umysł lub ciało zawodziły, kiedy praca przestawała stanowić atrakcję, przychodził czas odejścia.

- Dzwonię z Omega Prime - powiedział Staunt. - A co to jest?

- Nigdy o tym nie słyszałeś? To jest Dom Pożegnań w Arizonie. Wygląda ślicznie.

Martin Bollinger przywiózł mnie tu dziś wieczorem.

Paul wyglądał na zaskoczonego.

- Czy myślisz o odejściu, Henry?

- Tak.

- Nigdy nic o tym nie mówiłeś.

- Właśnie teraz ci mówię.

- Jesteś chory?

- Czuję się świetnie - powiedział Staunt. - Wszyscy mnie o to pytają i wszystkim to samo odpowiadam. Jestem zdrow.

- Dlaczego zatem...

- Czy muszę się usprawiedliwiać? Żyję już dość długo. Moje życie skończyło się.

- Zawsze byłeś taki zainteresowany wszystkim, taki zaangażowany...

- To jest moja decyzja. Nie powinieneś kłócić się ze mną na ten temat.

- Ja się nie kłócę. Chcę się tylko pogodzić z tą myślą. Byłeś częścią mojego życia przez pięćdziesiąt lat. Nic mnie nie obchodzą układy społeczne. Nie mogę po prostu uśmiechnąć się, pokiwać głową i powiedzieć, że to miło, iż mój ojciec zamierza umrzeć.

- Odejść.

- Odejść. Niech ci będzie. Powiedziałeś Crystal?

- Nie. Jesteś pierwszym członkiem rodziny, który się o tym dowiaduje, oprócz matki.

- Matki?

- Kubik.

- Ach tak, kubik - zaśmiał się Paul nerwowo. - Dobrze. Powiem innym. Teraz będę musiał nauczyć się wreszcie, jak być głową rodziny. Ale nie zrobisz tego natychmiast?

- Naturalnie, że nie. Skąd taki pomysł? Odejdę we właściwy sposób. Elegancko.

Łagodnie. Za kilka tygodni, za miesiąc, dwa... Normalna procedura.

- Możemy cię odwiedzić?

- Chciałbym - powiedział Staunt. - To część rytuału.

- Przepraszam, a co z aspektami prawnymi? Podział majątku i tak dalej.

- Wszystko będzie załatwione normalnym trybem. Biuro Spełnienia pomoże mi. Nie martw się. Dostaniesz wszystko, co ci się należy.

- Niezbyt pięknie to sformułowałeś, Henry.

- Nie muszę nic pięknie formułować. Nie muszę nawet przemawiać z sensem. Jestem tylko zwariowanym staruchem szykującym się do odejścia.

- Henry... ojciec...

- Dobrze. Przepraszam. Ta rozmowa jakoś nam nie wychodzi. Zaczniemy od początku?

- Chciałbym - powiedział Paul.

Staunt zdał sobie sprawę, że cały drży. Mięśnie jego twarzy były napięte. Uczynił świadomy wysiłek, by się rozluźnić.

- To jest zupełnie normalny i oczekiwany krok, jaki należy uczynić - powiedział po chwili spokojnie. - Jestem stary, zmęczony, samotny, znudzony. Jestem nieprzydatny ani sobie, ani komukolwiek innemu. Nie ma sensu zawracać głowy lekarzom, żeby utrzymywali mnie przy życiu. Mam więc zamiar odejść. Wolałbym odejść teraz, kiedy jestem w dość dobrym zdrowiu i umysł mam jasny, niż czepiać się życia jeszcze przez kilka dziesięcioleci, dopóki nie zniedołężnieję. Przeniosłem się do Omega Prime i przyjedźcie odwiedzić mnie, zanim odejdę.

Mam nadzieję, że będzie to spokojne i piękne odejście. To wszystko. Nie ma się nad czym rozczulać. Za czterdzieści czy pięćdziesiąt lat zrozumiesz to lepiej.

- Rozumiem już teraz - powiedział Paul. - Twój telefon mnie zaskoczył, ale rozumiem oczywiście. Naturalnie nie chcemy cię stracić, ale to tylko nasza egoistyczna postawa. Przeżyłeś piękne życie, no i koło musi się obrócić.

Jak gładko mu to idzie - pomyślał Staunt. Jak łatwo przechodzi do komunałów. Jak szybko zgodził się ze mną po pierwszym odruchowym sprzeciwie. Tak, Henry. Oczywiście, Henry. Słusznie robisz, Henry. Żyłeś już dość długo. Staunt zastanawiał się, co u Paula było poza. Wstępny sprzeciw wobec pomysłu odejścia czy filozoficzne pogodzenie się z nim. Cóż to zresztą za różnica? Dlaczego miałbym czuć się urażony faktem, że mój syn zgadza się ze mną, że czas mi odejść, jeżeli jeszcze dwie minuty temu byłem urażony jego sprzeciwem? Staunt sam zaczynał tracić pewność siebie. Może rzeczywiście chciał, żeby syn wpłynął na zmianę decyzji? Muszę dokładnie przeczytać Hallama - zdecydował.

- Mam jeszcze dziś wieczorem dużo do zrobienia - powiedział do Paula. - Zadzwoń do ciebie jutro albo ty zadzwoń.

Ekran opustoszał.

- Odniosłem wrażenie, że przyjął to dość dobrze - powiedział Bollinger. - Dzieci nie zawsze godzą się z pomysłem odejścia rodziców. Akceptują teorię odejścia, ale zakładają, że nie dotyczy ich rodziców.

- Chcieliby, żeby ich rodzice żyli wiecznie, nawet jeżeli rodzice nie chcą tu pozostać dłużej?

- Właśnie tak.

- A co się dzieje, jeżeli ktoś chce żyć wiecznie?

- Staramy się nigdy nie wywierać nacisku. Dokonujemy sugestii z całą subtelnością,

jeżeli ktoś dobiega stu czterdziestu czy stu pięćdziesięciu i czepia się życia, chociaż jego zdrowie jest całkiem zrujnowane. Czynimy tak też wobec osób w wieku osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu lat, których jedynie lekarze utrzymują przy życiu. Mamy sposoby wpływania na nich przez lekarzy, przyjaciół czy rodzinę. Chcemy przezwyciężyć strach przed śmiercią i zaszcześcić im myśl, że ich odejście jest nie tylko najlepsze dla społeczeństwa, ale też i dla nich samych. Nie możemy zrobić nic, jeżeli tego nie rozumieją. Przymusowa eutanazja nie jest częścią tego systemu.

- W jakim wieku są obecnie najstarsi ludzie? - zapytał Staunt.

- Najstarsi dożywają stu siedemdziesięciu pięciu, stu osiemdziesięciu lat. Oznacza to, że urodzili się w pierwszej połowie dwudziestego wieku, w okresie pierwszej wojny światowej. Każdy urodzony wcześniej przeżył zbyt długi okres w dobie przestarzałej medycyny, aby mieć nadzieję na prawdziwą długowieczność. Nawet ktoś, kto urodził się, powiedzmy, w 1920 roku, miał lat pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt, kiedy rozpoczynała się era przeszczepów, skomputeryzowanej medycyny i chirurgii laserowej i jeżeli miał szczęście być w dobrym zdrowiu w latach siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych, mógł pociągnąć już znacznie dłużej i dożyć epoki regeneracji tkanek i dalszego postępu. Nieliczni urodzeni w początkach dwudziestego wieku dożyli epoki medycyny totalnej. Niektórzy z nich jeszcze żyją i rezygnują z odejścia.

- Jak długo jeszcze mogą się trzymać?

- Trudno powiedzieć. Nie wiemy po prostu, jakie są praktyczne granice ludzkiego życia. Nasze doświadczenia z medycyną totalną nie trwają wystarczająco długo. Słyszałem opinie, że dwieście, dwieście dziesięć lat to maksimum, ale za dwadzieścia, trzydzieści lat możemy mieć do czynienia z ludźmi, którzy ten wiek osiągnęli i będą mogli żyć dalej. Może nie ma górnej granicy? Szczególnie przy naszych możliwościach regeneracji ciała. Byłaby to

jednak z ich strony działalność wybitnie antyspołeczna. Trwać przez stulecia po to tylko, by wypróbować nasze umiejętności medyczne.

- Jeżeli jednak przez te setki lat dawaliby od siebie coś cennego społeczeństwu?

- Jeżeli. Faktem jest jednak, że dziewięćdziesiąt do dziewięćdziesięciu pięciu procent ludzi nie daje społeczeństwu nic nawet w młodym wieku. Zajmują miejsce, wykonują zadania, które maszyny wykonywałyby lepiej, rodzą dzieci, które wcale nie są bardziej uzdolnione niż ich rodzice, i żyją, żyją, żyją. Nie chcemy stracić nikogo wartościowego, Henry.

Rozmawialiśmy już o tym. Większość ludzi nie jest jednak wartościowa i jeszcze traci na wartości w miarę upływu czasu. Nie ma najmniejszego powodu, by żyli dłużej niż sto, sto dziesięć lat, a w każdym razie nie dwieście czy trzysta.

- To twarda filozofia, nawet cyniczna...

- Wiem, ale przeczytaj Hallama. Koło musi się obrócić. Osiągnęliśmy średnią długość życia, która wydawała się fantazją jeszcze wtedy, kiedy byłeś dzieckiem, Henry. Nie oznacza to jednak wcale, iż musimy zabiegać o to, by wszyscy byli nieśmiertelni. Chyba, żeby ludzie zrezygnowali z rodzenia dzieci. Ale ludzie tego nie chcą. Nasza planeta stanowi system zamknięty. Jeżeli jest przyływ, to musi być i odpływ i chciałbym, żeby ten odpływ stanowili ci, którzy mają najmniej do zaoferowania społeczeństwu - zgrzybiali, słabi, mało inteligentni, źli. Dzięki Bogu, większość ludzi się z tym zgadza. Na każdego, który nie chce rozstać się z życiem, przypada pięćdziesięciu, którzy odchodzą z satysfakcją, kiedy przekroczą sto lat. Starsi też często zmieniają zdanie, jak to miało miejsce w twoim przypadku. Niewiele osób chce żyć dłużej niż sto pięćdziesiąt lat. Tych nielicznych, którzy pozostają, traktujemy jako eksperyment z dziedziny geriatrii i zostawiamy w spokoju.

- Ile lat mają ci czterej, których spotkałem przy helikopterze?

- Nie umiem ci powiedzieć. Sto dwadzieścia, sto trzydzieści., coś w tym rodzaju.

Większość odchodzących obecnie urodziła się w latach 1960 - 1980.

- Należą zatem do mojej generacji.

- Chyba tak.

- Czy ja tak samo źle wyglądam? To żywe mumie. Myślałem, że są z pięćdziesiąt lat starsi ode mnie.

- Bardzo wątpię.

- Ale przecież ja nie wyglądam tak, jak oni, prawda? Mam własne zęby, własne włosy, dobry wzrok. Wyglądam staro, ale przecież nie jak patriarchy. A może sam siebie oszukuję? Czy jestem także taką wysuszoną pokraką? Może po prostu przyzwyczaiłem się do własnego wyglądu? Nie zauważyłem zmian, jakie zachodziły z upływem czasu?

- Masz lustro - powiedział Bollinger. - Odpowiedz sobie sam.

Staunt przyglądał się sobie. Zmarszczki i linie... tak. Konturowa mapa czasu, doliny i wąwozy długiego życia. Plamy na skórze. Błyszczące oczy głęboko zapadnięte, policzki prawie bez ciała odsłaniające kontury czaszki. Stara twarz. Niezmiernie stara. Ale nie taka jak ich. Nie był jeszcze mumią. Zdawało mu się, że człowiek z dwudziestego wieku nie oceniłby go na więcej niż po sześćdziesiątce, a Martina Bollingera po pięćdziesiątce. Tamci czterej demonstrowali swój prawdziwy wiek. Utrzymanie ich przy życiu musiało wymagać cudów ze strony lekarzy. Teraz, znużeni wymigiwaniem się od śmierci, przybyli tutaj, by odejść i skończyć z tą farsą. Ja jestem jednak wciąż silny, mógłbym jeszcze pożyć z łatwością, gdybym tylko chciał.

- No i co? - zapytał Bollinger.

- Trzymam się jeszcze dobrze - powiedział Staunt. - Rezygnuję, kiedy wciąż jeszcze jestem w czołówce. Tak trzeba.

Wziął do ręki terminal komputerowy.

- Ciekaw jestem, czy mają jakieś moje utwory - powiedział.

Złożył zamówienie i po chwili pierwsze akordy XII symfonii wypełniły pokój. Odczuł przyjemność. Zamknął oczy i słuchał. Kiedy utwór przebrzmiał, rozejrzał się po pokoju. Bollingera nie było.

Rozdział 5

Doktor James przyszedł odwiedzić go nieco później, gdy już noc spowijała pustynię. Staunt stał przy oknie obserwując pojawiające się gwiazdy, kiedy system informacyjny powiadomił go o gościu.

Doktor był młodym człowiekiem w wieku czterdziestu, pięćdziesięciu lat. Staunt nie potrafił już trafnie oceniać wieku osób. Jego charakterystyczną cechą był długi, delikatny nos. Sposób bycia zapewniał dobry nastrój podopiecznych.

- Przeglądałem pańską kartę zdrowia - zaczął rozmowę. - Gratuluję. Jest pan w świetnym stanie.

- Muzyka ma to do siebie, że utrzymuje ludzi w dobrym stanie zdrowia - powiedział Staunt.

- Jest pan dyrygentem?

- Kompozytorem. Dyrygowałem jednak swymi utworami dość często. Wymachiwanie batutą jest widać dobrym ćwiczeniem.

- Obawiam się, że mało się znam na muzyce. Któregoś popołudnia musi mi pan przedstawić swoje ulubione utwory - doktor uśmiechnął się wstydliwie. - Oczywiście te łatwiejsze. Muzyka dla prostego lekarza, jeżeli pan coś takiego skomponował. Pan ma rzeczywiście doskonałe wyniki badań - zaczął znowu po chwili milczenia. - Komputer pańskiego lekarza przekazał nam kompletne dane dziś po południu, kiedy dokonano dla pana rezerwacji. Pragniemy oczywiście, żeby przez cały okres pobytu u nas pozostawał pan w tak

samo dobrym stanie i w dobrym nastroju. Tutaj będziemy stosować zabiegi takie same, jakie miał pan w domu. Terapia mięśni, równowaga jonowa, zapewnienie drożności naczyń krwionośnych i tak dalej. Naturalnie zastosujemy dodatkową terapię, jeżeli znajdzie taka potrzeba. Nie oczekuję jednak nic takiego, ponieważ stan pańskiego zdrowia nic takiego nie rokuje.

- Mógłbym pociągnąć jeszcze z pięćdziesiąt lat, prawda? Doktor James wyglądał na zaszokowanego. Jego okrągłe policzki pokryły się rumieńcem.

- To zależy wyłącznie od pana, panie Staunt.

- Niech się pan nie martwi. Nie zamierzam zmieniać planów.

- Nikt pana nie będzie popędzać. Niektórzy goście pozostawali w Omega Prime po trzy, a nawet cztery lata. Odejście jest dla każdego człowieka najważniejszym wydarzeniem w jego życiu. Ma prawo postępować w tej sprawie, jak uważa za stosowne. Może odsuwać się od świata tak małymi etapami, jakie są dla niego najdogodniejsze. Wielu odchodzących zaczyna swoje odejście od wielkiej wyprawy, swego rodzaju pożegnania. Piramidy, Taj Mahal, Notre Dame, Sahara, Antarktyda. Możemy to dla pana zorganizować. Mamy kilka stałych tras wycieczkowych. W takich wycieczkach uczestniczy do dziesięciu odchodzących i kilku przewodników. Miesięczna wycieczka do najbardziej znanych miejsc, dwumiesięczna wycieczka lub trzymiesięczna wycieczka. Trasy są przygotowane z góry, ale możemy wprowadzić zmiany na wniosek odchodzących. Możemy także, jeżeli pan woli, zorganizować wycieczkę indywidualną tylko dla pana i przewodnika do dowolnej części...

Staunt patrzył na doktora ze zdumieniem. Czy był lekarzem, czy agentem biura podróży?

Czy miał ochotę na taką wyprawę? Była nęcąca. Oglądać świątynie Chichen Itza w

światle księżycy za państwowe pieniądze. Przelecieć nad Andami i wylądować w Machu Picchu, czuć zapach goździków na Zanzibarze, patrzeć z dołu na odległą, błękitno-zieloną koronę sekwoi, oglądać hipopotamy taplające się w wodach Nilu, błąkać się po zakurzonych, rozpadających się w proch ulicach Babilonu, unosić się ponad barokowymi sklepieniami wielkiej rafy koralowej, oglądać czerwone, piaskowcowe wieże w Utah, wędrować wzdłuż wielkiego muru chińskiego, pożegnać się z jeziorami, pustyniami, górami i dolinami, z miastami i pustkowiem, z pingwinami i niedźwiedziami polarnymi...

Ale przecież już to wszystko widział. Po co jechać tam jeszcze raz? Po co wysilać się, wlec swe kruche kości z miejsca na miejsce? Raz wystarczy. Miał już swoje wspomnienia.

- Nie - powiedział. - Gdybym chciał gdziekolwiek

pojechać, przede wszystkim nie myślałbym o odejściu. Czy pan mnie rozumie?

Wszystko straciło dla mnie urok. Nie mam motywacji do wędrowania gdziekolwiek, nawet po to, by dokonać sentymentalnych pożegnań.

- Jak pan sobie życzy, panie Staunt. Większość odchodzących korzysta z wycieczek.

Nie ma żadnego przymusu. Jeżeli nie ma pan ochoty podróżować, może pan pozostać na miejscu.

- Dziękuję. A jakie są inne atrakcje związane z odejściem?

- Odchodzący zazwyczaj poszukują przeżyć, które ominęły ich wcześniej lub

powtarzają te, które dały im najwięcej satysfakcji. Jeżeli jest jakieś specjalne danie, które pan lubi...

- Nigdy nie byłem smakoszem.

- Dzieła muzyczne, których chciałby pan jeszcze raz wysłuchać, przeżyć...

- Takie by się znalazły - powiedział Staunt. - Niezbyt wiele. Większość mnie nudzi.

Kiedy Mozart, Bach i Beethoven zaczynają człowieka nudzić, to znaczy że czas odejść. Czy

pan wie, że nawet Staunt wydaje mi się coraz mniej interesujący?

Doktor James nie uśmiechnął się.

- Może być pan pewien, że mamy w programie każdy rodzaj muzyki i jeżeli zauważy pan, że czegoś nie ma, a powinno być, mam nadzieję, że pan nas zawiadomi. To samo dotyczy książek. Ekran wyświetli panu dowolną pracę w dowolnym języku. Wystarczy tylko zamówić.

Wielu odchodzących korzysta z okazji, by wreszcie przeczytać Wojnę i pokój czy Ulissesa.

- Lub Encyklopedię Brytannica od "Aardwark" do "Zwingli".

- Panu zdaje się, że to żart, ale jakieś pięć lat temu mieliśmy tu pacjenta, który chciał właśnie tego dokonać.

- Jak daleko zajechał? - zainteresował się Staunt. - Do "Antymonu", "Betelgezy"?

- Zdaje się, że do "Magnetyzmu". Studiował bardzo pilnie.

- Ja też może trochę poczytam, panie doktorze. Może nie encyklopedię, ale przynajmniej Hallama, może Montaigne'a, może Hobbesa i może Bena Jonsona. Od sześćdziesięciu lat chciałem przeczytać Bena Jonsona. To chyba moja ostatnia szansa.

- Do innych możliwości należy ożywienie pamięci.

- Co to jest?

- Chemiczna stymulacja ośrodków pamięciowych. Pozwala przypomnieć sobie rzeczy, o których nie myślał pan przez ostatnie osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt lat. Przywołuje obrazy, zapachy i kolory wcześniejszych doświadczeń w sposób szczególnie żywy. W pewnym sensie jest to podróż w przeszłość. Nie znam żadnego z odchodzących, który po takim doświadczeniu nie wpadł w rodzaj radosnej ekstazy.

- Myślę, że taki eksperyment może być całkiem bolesny - zastanowił się Staunt. -

Niepokojący, przygnębiający.

- Wcale nie. Nigdy. Emocje wspomniane są w spokoju. Przeżycia mogły być swego

czasu bolesne, ale ich wspomnienia nie. Stymulacja pozwala pogodzić się z tym, co się stało.

Znałem ludzi, którzy poprosili o odejście w godzinę po stymulacji i to nie ze względu na to, że byli w depresji, ale żeby odejść w dobrym nastroju.

- Pomyślę o tym - powiedział Staunt.

- Poza wspomnianymi propozycjami, program odejścia zupełnie nie jest zaplanowany.

Sam pan o nim decyduje. Będzie pana odwiedzać rodzina, będą przyjeżdżać przyjaciele, będą przyjęcia pożegnalne dla poszczególnych odchodzących i w końcu za miesiąc, za sześć miesięcy, w wybranym przez pana terminie odbędzie się przyjęcie pożegnalne dla pana, no i pan odejdzie. Wie pan, panie Staunt, że codziennie przeżywam podniecenie pracując z tymi wspaniałymi odchodzącymi, pomagając im pięknie przeżyć ostatnie tygodnie i obserwując pogodny nastrój, w jakim odchodzą. Moje odejście nastąpi za jakieś dziewięćdziesiąt, a może nawet sto lat, a jednak, w pewnym sensie, już na nie czekam. Odczuwam pewną niecierpliwość, wiedząc, że najszcześniejsze godziny mojego życia nastąpią u jego końca. Odejść w pełni zdrowia, odejść dobrowolnie z tego świata w atmosferze spokoju i spełnienia, ze świadomością zakończenia dobrze przeżytego życia najszlachetniejszym z uczynków, pozwalając, by koło obróciło się i udostępniając miejsce młodym. Jakże to wspaniałe!

- Chciałbym - powiedział Staunt - zinstrumentować pańską arię. Drżące tremolo smyczków, żalosne zawodzenie obojów, harfy, sześć harf wydających niebiańskie dźwięki, a później wielkie crescendo puzonów i rogów, narastająca muzyka Walhalli...

- Mówiłem panu, że nie bardzo znam się na muzyce - powiedział doktor James zakłopotany.

- Przepraszam. Nie powinienem z pana żartować. Zgadza się, że jest to piękne i wspaniałe. Czuję się szczęśliwy, że tu jestem.

- To miło, że pan jest z nami - powiedział doktor James.

Rozdział 6

Staunt nie miał ochoty na kolację we wspólnej jadalni. Odbył długą podróż, przekroczył kilka stref czasowych i nie miał apetytu. Zamówił lekki posiłek, sok, zupę i owoce i kolacja pojawiła się prawie natychmiast przesłana podziemnym systemem transportowym. Zjadł niewiele. Zanim odejdę, obiecywał sobie, zjem befszyk w sosie pieprzowym, ślimaki, baraninę w curry i inne rzeczy, którymi się nie interesowałem, kiedy byłem młody i mogłem je strawić. James daje mi szansę. Dlaczego z niej nie skorzystać? Stanę się przedśmiertelnym smakoszem, nawet jeżeli miałyby to mnie zabić. Lepiej odejść tak, niż wypić jakiś płyn bez smaku, który dają na koniec.

Po kolacji zapytał, gdzie jest Bollinger.

- Pan Bollinger pojechał do domu - powiedziano Stauntowi. - Wróci pojutrze. Będzie spędzać z panem każdego tygodnia po trzy dni.

Staunt zrozumiał, że nierozsądnie było wymagać, aby przewodnik poświęcił mu cały swój czas. Mógł przynajmniej jednak zostać przez pierwszą noc. Może jednak odchodzący powinien sam przystosować się do życia w Domu Pożegnań.

Bawił się terminalem usiłując zbadać jego możliwości. Przez pewien czas słuchał mniej znanej muzyki, średniowieczne utwory organowe, sonaty Hummela, osiemnastowieczne opery niemieckie, muzykę elektroniczną z połowy dwudziestego wieku. Trudno było przeliczyć komputer. Zdawało się, że komputer miał dostęp do wszystkich utworów, jakie kiedykolwiek były nagrane.

Następnie Staunt zainteresował się książkami. Poprosił o Hobbesa, Hallama,

Montaigne'a i Jonsona. Nie życzył sobie wyświetlenia, ale wydruku, żeby mieć własne egzemplarze i po kilku minutach nowe, szeleszczące stosy kartek zaczęły pojawiać się

dostarczane poprzez ten sam system transportowy, który wcześniej podał mu kolację. Odłożył

książki na bok nie oglądając ich. Zastanawiał się nad telefonami. Może do córki, może do kilku przyjaciół. Wszyscy mieszkali jednak albo na wschodzie, albo w Europie, a różnica czasu powodowała, że było tam już bardzo późno. Staunt odrzucił więc pomysł telefonowania do kogokolwiek. Popadł w ponury nastrój. Po co przyjechał tu do tych trzech małych plastikowych pokoików na pustyni opuszczając wygodny dom, swoje zbiory sztuki, swój ogród, książki? Zostawił wszystko dla tej mdłej stacyjki w połowie drogi do śmierci. Mógłbym zadzwonić do doktora Jamesa i powiedzieć, że chciałbym odejść zaraz. Zaoszczędziłbym kłopotów personelowi, zaoszczędziłbym pieniędzy podatników, oszczędziłbym rodzinie kłopotów i rytuałów pożegnalnych. Jak właściwie człowiek odchodzi? Był przekonany, że używano trucizny. Coś miłego i słodkiego i człowiek zasypia. Spokojna śmierć, jak u Sokratesa. Po prostu chłód wspina się szybko od nóg do serca. Dziś wieczorem. Odejść dziś wieczorem. Nie.

Muszę rozegrać tę grę prawidłowo. Muszę odejść elegancko.

- Chciałbym, żeby ktoś pokazał mi drogę do sali rekreacyjnej - powiedział do terminalu.

Panna Elliot, pielęgniarka, pojawiła się, jak gdyby czekała pod drzwiami. O ile Staunt mógł to jeszcze ocenić, była przystojna, złotowłosa, z obfitym biustem. Miała jasną skórę i duże, szkliste, błękitne oczy. Było w niej jednak coś odległego, bezosobowego, mechanicznego. Była prawie jak robot.

- Sala rekreacyjna? Oczywiście, panie Staunt. Podała mu rękę. Chciał zrezygnować z jej pomocy, ale pamiętając swoje trudności z dojściem do ośrodka, rozmyślił się. Szedł opierając się na niej. Akceptuję w ten sposób swoją śmiertelność, przyspieszam swój upadek - pomyślał.

Winda zawiozła ich do olbrzymiej, jasno oświetlonej sali gdzieś głęboko pod ziemią.

Był tu ruchomy chodnik. Panna Elliot wprowadziła go nań i przejechali kilkaset metrów. U końca chodnika była duża sala rekreacyjna.

Na jej przeciwległym końcu podzielono ją na mniejsze salki. Staunt zobaczył tam ekrany i terminale, urządzenia do przegrywania oraz inny sprzęt, który każdy odchodzący miał też w swym apartamencie. Przychodzili tu oczywiście z poczucia samotności. Może przyjemniej było słuchać muzyki lub czytać w towarzystwie. Były również różne gry odpowiednie dla ludzi starych. Nic, co wymagało wysiłku lub zręczności. Szachy, podwójna orbita i inne takie gry. W drodze do grobu cofamy się do dzieciństwa.

Około pięćdziesięciu odchodzących znajdowało się w sali rekreacyjnej. Większość z nich wyglądała tak staro, jak owych czterech, którzy wyszli mu na spotkanie. Niektórzy wyglądali jeszcze starzej, chociaż byli również i tacy, którzy wyglądali młodo, jednak nie mniej niż na siedemdziesiąt lat. Staunt myślał z początku, że to może przewodnicy, ale na ich twarzach dostrzegł pewne łagodne rozluźnienie, które wydawało się typowe dla wszystkich odchodzących, wyraz niejasnego, bezmyślnego zadowolenia, rezygnacji, śmierci za życia. Okazuje się, że nie trzeba być posuniętym w latach, żeby czuć gotowość do odejścia.

- Czy mam pana przedstawić niektórym odchodzącym? - zapytała panna Elliot.

- Tak, proszę.

Oprowadziła go wokół. To jest Henry Staunt - powtarzała. - Znany kompozytor.

Podawała mu również ich nazwiska. Żadnego z nich nie znał. David Golding, Michael Green, Ella Freeman, Seymour Church, Katherine Parks. Nazwiska. Zwiędłe twarze. Panna Elliot nic o nich nie mówiła, tak jak mówiła o nim. Nie powiedziała Ella Freeman, znana aktorka, ani też David Golding, znany astronauta, czy Seymour Church, znany finansista. Nie byli aktorkami, astronautami czy finansistami. Tylko Bóg jeden wiedział, kim byli. Panna Elliot nie mówiła nic, a Staunt nie miał dość energii, by zapytać. Księgowi, maklerzy, gospodynie domowe,

nauczyciele, programiści. Mogli być czymkolwiek lub niczym. Po prostu ludzie. Zabytki minionych epok geologicznych. Tacy starzy. Prawie w żadnym z nich Staunt nie dostrzegł ani iskielki życia i po raz pierwszy zrozumiał, jakie miał szczęście osiągnąć swój wiek w tak dobrym stanie. Chodzące nieboszczyki. Seymour Church, znany ożywiony trup, Katherine Parks, znana lunatyczka. Zdawało się, że nikt z nich nigdy o nim nie słyszał. Staunt nie był tym zaskoczony. Nawet sławny kompozytor wcześniej dowiaduje się, że będzie sławny jedynie wśród mniejszości swoich rodaków. Ale te nieobecne spojrzenia, te nie patrzące oczy... Miło pana poznać, panie Stout. Jak się pan ma, panie Stint. Hallo. Hallo.

- Czy poznał pan kogoś interesującego? - zapytała panna Elliot przechodząc obok Staunta pół godziny później.

- Jestem bardziej zmęczony, niż przypuszczałem - powiedział Staunt. - Czy nie zechciałaby pani odprowadzić mnie do apartamentu?

Już zaczynał zapominać nazwiska innych odchodzących. Zamienił kilka słów z sześcioma czy siedmioma osobami, ale nie potrafili skoncentrować uwagi na rozmowie. Staunt też nie mógł, jak sam stwierdził. Starość musi być zaraźliwa - pomyślał. Trzydzieści minut wśród odchodzących i już jestem taki sam, jak oni. Muszą się stąd wydostać.

Panna Elliot odprowadziła go do pokoju. Falkenbridge, pielęgniarz, zjawił się nie wzywany i pomógł mu się rozebrać i położyć do łóżka. Staunt długo nie mógł zasnąć w nie swoim łóżku. Jego umysł pracował nieprzerwanie. To różnica czasu - pomyślał. Miał ochotę poprosić o środek nasenny, ale gdy próbował zdobyć się na wysiłek, by usiąść i wezwać pannę Elliot, ogarnął go nagle sen i pogrążył w czarnej otchłani.

Rozdział 7

W ciągu następnych kilku dni udało się Stauntowi poznać jeszcze szereg innych osób.

Narzucił sobie takie zadanie. Przez całe życie Staunt usiłował, czasem z trudnością, pokonać

granicę pomiędzy skrepowaniem a snobizmem starając się trzymać na uboczu, nie sprawiając równocześnie wrażenia, że odrzuca towarzystwo innych i właśnie teraz zależało mu szczególnie, żeby nie skryć się w samotności. Starał się spotykać z innymi odchodzącymi i robił, co mógł, żeby pokonać bariery oddzielające ich od niego.

Było już jednak trochę za późno na nawiązywanie nowych przyjaźni. Z trudem tylko udawało mu się przekazać im coś o sobie lub uzyskać od nich coś więcej niż informacje o codziennych sprawach. Jak podejrzewał, nie byli zbyt błyskotliwi. Byli to ludzie, którzy poza długowiecznością nie osiągnęli w życiu nic szczególnego. Staunt nie miał im tego za złe. Nie widział najmniejszego powodu, by każdy tryskał geniuszem twórczym, i lubił wiele osób, które nie mogły zaoferować mu niczego oprócz przyjaźni. Ci ludzie jednak, dobiegający właśnie kresu swych dni, byli już wypaleni przez czas i pozostało w nich tak mało, że brakowało im nawet zwykłego, ludzkiego ciepła. Na jego pytania odpowiadali automatycznie i rzadko sami pytali o coś. Kompozytor? A to ciekawe. Swego czasu słuchałem nieraz muzyki. Stauntowi udało się dowiedzieć, że Seymour Church przebywał w Domu Pożegnań od ośmiu miesięcy za namową syna, ale wcale nie miał ochoty odchodzić; że Ella Freeman miała romans (lub jej się tak zdawało) ponad sto lat temu z kimś, kto został później prezydentem, że David Golding był sześciokrotnie żonaty i był niezwykle z tego dumny; że każdy z odchodzących trzymał się kurczowo jakiegoś nieistotnego fragmentu życiorysu, który przydawał mu indywidualności. Staunt nie był jednak w stanie dotrzeć dalej niż do tego właśnie kawałka życiorysu. Albo nie było w nich nic innego, albo nie chcieli lub nie mogli otworzyć się przed nim. Nudne towarzystwo. Staunt nie mógł już jednak dobierać sobie znajomych ze względu na ich zalety. Większość członków rodziny odwiedziła go w czasie pierwszego tygodnia pobytu w Arizonie. Pierwsi przyjechali Paul i młody Henry, syn Crystal. Zostali przez dwa dni. David, drugi syn Crystal, przyjechał nieco później wraz z żoną, dziećmi i jednym wnukiem. Następnie

pojawiły się dwie córki Paula oraz cała grupa młodzieży. Wszyscy, nawet ci najmłodsi, przybierali wyraz słodkiego aż do mdłości szczęścia. Byli zdecydowani traktować odejście Staunta jako piękne wydarzenie. W rozmowach nigdy nie poruszali tematu odejścia opowiadając jedynie o plotkach rodzinnych, wiośnie, kwiatach, wspomnieniach. Staunt grał tę samą grę. Tak, jak i oni nie miał wcale ochoty na jakieś przeżycia emocjonalne. Chciałby wycofać się przyjaźnie z ich życia z uśmiechem, z ukłonem. Uważał zatem, aby w rozmowie nie powiedzieć nic, co by sugerowało, że wkrótce zamierza zakończyć życie. Zachowywał się, jak gdyby przyjechał w to pustynne miejsce na krótkie wakacje.

Jedyną osobą, która go nie odwiedziła, oprócz kilkorga praprawnuków, była jego córka Crystal. Kiedy usiłował do niej zatelefonować, nikt nie odpowiadał. Odwiedzający go goście nic o niej nie wspominali. Czy była chora? - zastanawiał się Staunt. - Może nie żyje?

- Co chcecie przede mną ukryć? - zapytał wreszcie syna. - Gdzie jest Crystal?

- Crystal czuje się dobrze.

- Nie o to pytałem. Dlaczego nie przyjechała?

- Tak naprawdę, to niezbyt dobrze się czuje.

- Tak, jak podejrzewałem. Jest poważnie chora i obawiacie się, że szok po tej wiadomości jeszcze bardziej pogorszy jej stan.

- Wcale tak nie jest - powiedział Paul kręcąc głową.

- Co jej jest? - Staunt pomyślał natychmiast o raku, operacji serca, guzie mózgu. -

Poddała się jakimś przeszczepom? Jest w szpitalu?

- To nie jest problem fizyczny. Crystal cierpi z przemęczenia. Pojechała do Luna Dome na odpoczynek.

- Rozmawiałem z nią w zeszłym miesiącu. Wyglądała zupełnie dobrze. Powiedz prawdą, Paul.

- Prawdę?

- Tak, prawdę.

Paul zamknął oczy ze znużeniem i przez chwilę Staunt zobaczył swojego syna takim, jakim był naprawdę. Był starym człowiekiem, chociaż nie tak starym jak on.

- Kłopot polega na tym - powiedział po chwili Paul bezbarwnym głosem - że nie przyjęła dobrze twojej decyzji o odejściu. Dzwoniłem do niej zaraz po rozmowie z tobą.

Wpadła w histerię. Wyobraża sobie, że ciebie zmuszają, że twój przewodnik jest częścią spisku.

Uważa, że twoja decyzja przyszła przynajmniej o dziesięć, piętnaście lat za wcześnie. Nie może

o tym rozmawiać spokojnie. Uznaliśmy zatem, że najlepiej będzie, żeby wyjechała i nie

rozmawiała z tobą i żeby ciebie nie niepokoiła. Tak wygląda prawda, której nie chciałem ci

powiedzieć.

- Niesłusznie ukrywaliście prawdę.

- Nie chcieliśmy zepsuć twego odejścia tymi wszystkimi sporami.

- Moje odejście nie tak łatwo zepsuć. Chciałbym porozmawiać z nią, Paul. Ona może skorzystać na tej rozmowie. Może zdołam jej pomóc. Jeżeli uda się jej zrozumieć, czym moje odejście jest naprawdę, jeżeli uda mi się przekonać ją, że rozumuje niesłusznie... Paul, zamów dla mnie rozmowę z Luna Dome. Biuro Spełnienia pokryje koszty. Ona mnie potrzebuje. Może zrozumie.

- Jeżeli nalegasz - powiedział Paul.

Problemy techniczne przeszkodziły jednak w jakiś sposób rozmowie tego dnia, a także i

następnego. Później Paul wyjechał z Domu Pożegnań. Kiedy Staunt zadzwonił do niego do

domu, żeby dowiedzieć się, gdzie na Księżycu przebywała Crystal, Paul zaczął się wykręcać i

powiedział, że Crystal przeniosła się do innego sanatorium. Będzie można do niej

zatelefonować dopiero za kilka dni. Staunt przestał nalegać, widząc, że Paul był

zdenerwowany. Rodzina nie chciała, żeby rozmawiał z Crystal. Uważali, że historia Crystal zrujnuje jego odejście. Niech więc tak zostanie. Nie będzie z nimi walczyć. To jest trudny okres dla całej rodziny. Jeżeli myślą, że Crystal tak go zdenerwuje, to da tymczasem spokój. Może uda się pomówić z nią później. Jeszcze nie nadszedł czas odejścia. Może. Może...

Rozdział 8

Zawsze w poniedziałek, w środę i w piątek, zazwyczaj wczesnym popołudniem, odwiedzał go Martin Bollinger. Staunt przyjmował przeważnie swego przewodnika w apartamencie, chociaż czasami, kiedy było nieco chłodniej, chodzili po ogrodzie. Spotkania dzieliły się niezmiennie na trzy fazy. Najpierw Bollinger demonstrował żywe zainteresowanie bieżącą działalnością Staunta. Co czytasz? Słuchałeś! muzyki? Czy spotkałeś jakichś interesujących odchodzących, z którymi można pogadać? Czy miałeś ochotę coś skomponować? Czy jest ktoś, z kim chciałbyś się spotkać?

Czy myślałeś o podróżowaniu? I tak dalej. Wciąż te same pytania.

Kiedy Bollinger je wyczerpał, przechodził do drugiej fazy, do rozmowy prowadzonej w spokojnym, jesiennym nastroju na temat dni minionych. Czasami mówił tak, jak gdyby Staunt już odszedł. Mówił o jego utworach w ten sam sposób, jak mówiło się o utworach dawnych mistrzów. Symfonie - mówił Bollinger - cóż to za testament, cóż za potężna, zbiorowa budowla. Od czasów Mahlera nic podobnego nie było. Albo kwartety. Wyraźnie spokrewnione z Beethovenem, ale jakże współczesne. Prawdziwie wyrażają ich twórcę i jego czasy. Staunt kiwał głową przyjmując werdykty Bollingera z dziwną, jakby senną obiektywnością. W ten sam sposób mówili o wspólnych znajomych, analizując ich jak przeczytane książki, a nie jak żywe postaci. Staunt zrozumiał, że Bollinger pomaga mu w ten sposób zachować dystans do życia, jakie wcześniej prowadził. Już czuł się oderwany od życia. Po kilku tygodniach pobytu w Domu Pożegnań zaczynał potrzebować na siebie jak na kogoś, kto doskonale zna biografię

Henry'ego Staunta, a nie jak na prawdziwego, żywego Henry'ego Staunta zamieszkującego w jego ciele.

W trzeciej fazie spotkania Bollinger przechodził otwarcie do spraw bezpośrednio związanych z odejściem Staunta. Nalegał bez przerwy, by Staunt przeanalizował swoje motywy, unikał fałszywej delikatności, którą zdawali mu się okazywać wszyscy pozostali. Przewodnik poszukiwał prawdy. Czy rzeczywiście chcesz odejść, Henry? Jeżeli tak, czy pomyślałeś już o terminie? Czy pozostaniesz na tym świecie jeszcze przez trzy tygodnie, dwa miesiące, sześć miesięcy? Nie, nikt cię nie pogania. Możesz zostać jeszcze rok, jeżeli masz ochotę. Zastanawiam się tylko, czy przeanalizowałeś już, co to znaczy odejść? Czy już pojąłeś motywy, jakie tobą kierowały? Odrzuć niedomówienia, Henry. Odejście to śmierć. Koniec wszystkiego. Koniec świata. Czy tego chcesz, Henry? Na pewno? Wcale ci nie utrudniam. Chcę, żeby wszystko było czyste. Prawdziwe duchowe odejście, najrzadziej spotykane. Ale tylko, jak będziesz całkowicie gotów. Czy zdajesz sobie sprawę, że w każdej chwili możesz się wycofać? Rezygnacja z odejścia wcale nie jest dowodem tchórzostwa. Przeczytaj Hallama. Odejście nie jest samobójstwem. Jest odrzuceniem wszystkiego, jest zapewnione tylko tym, którzy w pełni rozumieją swoje motywy. Niektórzy ludzie wyjeżdżają z Domu Pożegnań dwa, a nawet trzy razy, zanim zdecydują się na ostateczny krok. Przechodzą cały rytuał pożegnania prawie do końca i wtedy raptem mówią, że chcą wrócić do domu. I wracają. Nigdy nie wywieramy nacisku. Nie chcemy, aby opuszczały ten świat ofiary. Chcemy, aby ludzie czynili to dobrowolnie z otwartymi oczami. Czy przeczytałeś Hallama, Henry? To jest filozof śmierci. Spójrz w siebie, zanim wykonasz ostatni krok. Odpowiedz sobie, czy na pewno tego chcesz.

- Chcę odejść - odpowiadał Staunt. Nie umiał jednak odpowiedzieć Bollingerowi, ile czasu jeszcze upłynie, zanim będzie gotów.

Wydawało się, że istnieje pewien system w tych spotkaniach z przewodnikiem trzy razy

w tygodniu. Wyglądało na to, że Bollinger kieruje nim cierpliwie i okrężną drogą w kierunku jakiegoś apokaliptycznego momentu poznania, kiedy będzie mógł powiedzieć, czując się godny Hallama: "Teraz mogę odejść". Manewry te zdawały się jednak bezowocne. Często żegnał się z Bollingerem w poczuciu zagubienia i przygnębienia i pełen wątpliwości, czy rzeczywiście pragnie odejść.

W ciągu czwartego tygodnia większość czasu Staunt poświęcał na czytanie. Muzyka w dużym stopniu straciła dla niego cały urok. Rodzina po złożeniu pierwszej, obowiązkowej wizyty przestała go odwiedzać. Nie przyjadą już do Domu Pożegnań, dopóki nie otrzymają wiadomości, że Staunt przechodzi już finalne stadium przygotowań do odejścia i jest gotów do ceremonii pożegnalnej. Przyjaciołom powiedział już wszystko, co chciał powiedzieć. Ośrodek rekreacyjny nudził go, a towarzystwo innych odchodzących wpływało nań przygnębiająco. Czytał. Z początku zabierał się do tego starannie, nieco mechanicznie, z obowiązku, usiłując udoskonalić swój umysł w ostatniej chwili, zupełnie jak stary faraon, który chciałby poprawić swój wygląd, zanim zostanie przekazany w ręce mumifikatorów. Staunt chciał upiększyć swą duszę filozofią, kiedy jeszcze mógł. W tym duchu brnął przez teksty Hobbesa, którego poglądy polityczne rozpałały go, gdy miał dziewiętnaście lat, a który obecnie wydawał mu się zawily i zwietrzały.

Komuś, kto nie przeanalizował dokładnie tych spraw, mogłoby się wydać dziwne, że natura może ulec takiemu rozpadowi i spowodować, że ludzie są zdolni do atakowania i niszczenia siebie nawzajem. I mógłby on, nie ufając takiemu domniemaniu, działając pod wpływem emocji, chcieć szukać potwierdzenia w rzeczywistym doświadczeniu. Pozwólmy mu zatem zastanowić się nad tym, dlaczego wyruszając w podróż zbroi się i szuka dobrej kompanii, dlaczego idąc spać zamyka drzwi i nawet wtedy, gdy jest we własnym domu, zamyka swe kufry, mimo że wie, iż istnieją prawa i uzbrojeni przedstawiciele władz, którzy

wezmą odwet za wszystkie jego straty. Jaką ma opinię o swoich współtowarzyszach, skoro podróżuje uzbrojony; o swych współobywatelach, zamykając drzwi; o swych dzieciach i służbie, zamykając kufry? Czy swoimi działaniami nie oskarża ludzi, tak jak ja czynię to słowami? Wzrastając w ciągłym napięciu, w świecie, gdzie ponury pokój był właściwie wojną, Staunt łatwo akceptował ciemne nauki Hobbesa. Teraz nie był aż tak pewien, że konflikt był naturalnym stanem ludzkości i że każdy człowiek był w stanie wojny z wszystkimi pozostałymi ludźmi. Wyglądało na to, że świat zmienił się. A może zmienił się Staunt? Zniechęcony odłożył Hobbesa na bok.

Obawiał się zabrać do Montaigne'a, myśląc, że może i drugi wielki przewodnik jego młodości również stracił blask z upływem długich dziesięcioleci. Ale nie. Od razu opanowało go dawne oczarowanie. Nie mogą pogodzić się ze sposobem, w jaki ustalamy długość naszego życia. Zauważyłem, iż mędrcy uznają je za znacznie krótsze, niż się powszechnie uważa. ”Co? - powiedział Kato Młodszy do ludzi, którzy usiłowali powstrzymać go od samobójstwa. - Czyż jestem obecnie w wieku, w którym można mi zarzucić, że umieram zbyt wcześnie?” Miał jednak tylko czterdzieści osiem lat. Uważał ten wiek za dojrzały, a nawet zaawansowany, zważywszy, jak niewielu ludzi go dożywało. (Tak! Tak! A dalej:) Gdziekolwiek tve życie kończy się, jest ono kompletne. Korzyść z życia nie polega na jego długości, ale na tym, jak je wykorzystamy. Wielu ludzi żyło długo, a przeżyło mało. Pamiętaj o tym tak długo, jak tu jesteś. To, aby czerpać z życia najlepsze, zależy tylko od twojej woli, a nie od ilości lat. Czy myślałeś, że nigdy nie dotrzesz do miejsca, do którego bez przerwy zmierzałeś? Nie ma takiej drogi, która nie miałaby końca. A jeżeli społeczeństwo jest dla ciebie pocieszeniem, to czyż świat nie zmierza w tę samą stronę, co ty? Tak. Doskonale. Staunt czytał długo w noc i zamówił butelką Chateau d'Yquem z dobrze zaopatrzonej piwniczki Domu Pożegnań. Wypił toast na cześć Montaigne'a winem, które pochodziło z tych samych stron, i czytał aż do rana. Nie ma takiej

drogi, która nie miałaby końca.

Kiedy skończył z Montaigne'em, zabrał się do Bena Jonsona. Na początek poszły prace znane. Volpone, The Silent Woman i The Case is Altered. Potem przyszedł czas na czarne, wybuchowe sztuki późniejszego okresu. Bartholomew Fair, The New Inn i The Devil Is An Ass. Staunt zawsze odczuwał silny pociąg do autorów elżbietańskich, a szczególnie do Jonsona, tego iskrzącego się, żarliwego człowieka, którego burzliwe, pisane z rozmachem sztuki tchnęły przerażającą intensywnością, jakiej brakowało Shakespeare'owi, chociaż był większym poetą. Tak, jak to zawsze sobie obiecywał, Staunt pogrążył się w Jonsonie, dopóki dźwięk i rytm wiersza Jonsona nie zaczął rozbrzmiewać jak grzmot w jego przeciążonym mózgu, a umysł Jonsona nie zdawał się nakładać na jego własny. The Magnetic Lady, Cynthia's Revels, Catiline his Conspiracy - żadna sztuka nie była zbyt ciemna, zbyt zamknięta dla Staunta w jego zachłanności. Pewnego popołudnia złapał się na nieoczekiwanej czynności. Zamówił w terminalu wydruk ostatnich stron pierwszego aktu The New Inn z szeroko rozstrzelonymi wierszami. Na górze strony napisał starannie The New Inn, opera Henry'ego Staunta według Bena Jonsona. Następnie rozpoczynając od długiego monologu Lovela: "Od tego zależy historia, mój panie", Staunt zaczął wpisywać ołówkiem nuty poniżej tekstu z początku leniwie, później z coraz większą intensywnością w miarę, jak w jego umyśle zaczynały zarysowywać się kontury linii melodycznej. W ciągu kilku minut cały monolog przemienił w arię i Staunt naniósł nawet na marginesie uwagi odnośnie aranżacji. Styl muzyki wydał mu się obcy, oszczędny, powściągliwy, prowadzący dość surową, ciernistą i skomplikowaną melodię o dziwnie archaicznym posmaku. Tego rodzaju muzykę mógłby stworzyć Alban Berg, gdyby złożył dłuższą wizytę w siedemnastym wieku. Nie brzmiało to jak jego muzyka. Późny Staunt - pomyślał. Prawdopodobnie tej arii nie można było zaśpiewać. Nieważne. Tak chciała muza. Był to utwór skomponowany po wielu latach przerwy. Przyglądał

się zakończonej arii z dumą, zdziwiony, że muzyka jeszcze może tak z niego wypływać, tryskając bez świadomego przymusu z jakiegoś głęboko ukrytego źródła.

Przez chwilę miał ochotę wprowadzić utwór do syntetyzera i uzyskać wstępną aranżację. Miał ochotę usłyszeć dźwięki, baryton dominujący nad rozśpiewanymi smyczkami. Mogło to skłonić go do napisania kolejnej i kolejnej strony. Opanował się jednak. Na świecie było już dość oper, których i tak nikt nie słuchał. Kręcąc głową, ze smutnym uśmiechem wypisał na stronie datę, numer opusu. Zrobił to z pamięci, nie mając katalogu i złożywszy stronę na pół, odłożył między papiery. W jego umyśle jednak muzyka nadal się rozwijała.

Rozdział 9

W czasie dziewiątego tygodnia pobytu w Domu Pożegnań Staunt czując, że się dusi, poszukał doktora Jamesa i poprosił o ożywienie pamięci. Wydawało mu się, że była to jedyna rzecz do zrobienia poza samym odejściem, a ostatnio nad odejściem prawie się nie zastanawiał. Skończył z Jonsonem i nie miał ochoty zamawiać innych książek. Od czasu do czasu oglądał jedną stronę The New Inn, ale nie wznowił pracy. W rozmowach z Bollingerem i innymi przypadkowymi gośćmi był ostrożny i powściągliwy. Zdał sobie sprawę, że popada w beczynność przypominającą śmierć nie zbliżając się wcale do momentu odejścia. Nie wróci do poprzedniego życia, ale nie mógł jeszcze poddać się i odejść. Może ożywienie pamięci wytrąci go z tej beczynności.

- Będzie to wymagało sześciogodzinnych przygotowań - powiedział doktor James pełen entuzjazmu w związku z pomysłem Staunta. - Mózg musi być oczyszczony ze wszystkich produktów zmęczenia, autonomiczny system nerwowy wymaga dostrojenia. Kiedy chciałby pan zacząć?

- Zaraz - powiedział Staunt.

Oczyścili go i dostroili, i zawieźli z powrotem do apartamentu, położyli do łóżka i

podłączyli do monitora metabolicznego.

- Jeżeli będzie pan zbyt podniecony - wyjaśnił doktor James - monitor automatycznie dostosuje intensywność emocji.

Staunt chciał zaryzykować normalną intensywność, ale lekarz był stanowczy. Monitor pozostał podłączony.

- Nie obawiamy się bólu psychicznego - kontynuował wyjaśnienia doktor James. - To się nigdy nie zdarza. Czasami jednak nadmiar przypomnianej miłości, wybuch szczęścia może stanowić zbyt wiele.

Staunt skinął głową. Nie będzie się kłócił. Doktor wydobył strzykawkę i przytknął jej naddźwiękową głowicę do ramienia Staunta. Przez chwilę Staunt zastanawiał się, czy to wszystko nie jest jakąś sztuczką i czy lekarstwo nie spowoduje raczej jego odejścia, a nie podróży w czasie, ale odrzucił te nieuzasadnione pomysły. Strzykawka wydała krótki, brzęczący dźwięk i tajemniczy, ciemny płyn wdarł się w jego żyły.

Rozdział 10

Słyszysz ostatnie głośnie akordy The Trials of Job i kurtyna w postaci czerwonego, gęstego światła wybucha z podłogi sceny. Aplauz. Publiczność wywołuje śpiewaków.

Dyrygent wchodzi na scenę, kłania się, uśmiecha. Wychodzi nawet kierownik chóru. Kaskady aplauzu. Wszystko wokół niego wiruje w migotliwym świetle ruchomych kandelabrow opery w Haifie. Ktoś krzyczy mu do ucha niezrozumiale, radosne słowa. Staunt zdaje sobie sprawę, że mówi po hebrajsku. Tak. Tak. Bardzo dziękuję. Ludzie chcą, żeby wstał i przyjął owację. Edith siedzi obok niego zarumieniona, podniecona. Jej oczy lśnią. Przypomina sobie datę: 9 września 1999.

- Niech cię zobaczą - szepcze Edith wśród wrzawy. Jakaś ręka spoczywa na jego ramieniu. Jakies dzikie

oczy patrzą mu w twarz. To Mannheim, krytyk.

- Opera stulecia! - woła.

Staunt zmusza się do wstania. Wywołują jego nazwisko. Staunt! Staunt! Staunt!

Widownia należy do niego. Ma pod swoją komendą dwa tysiące rozszalałych Izraelczyków. Co ma im powiedzieć? Sieg! Heil! Sieg! Heil! Odrzuca myśl o tym makabrycznym żarcie.

Wreszcie nie mówi nic, tylko macha ręką, uśmiecha się i opada na fotel. Edith z miłością klepie go po ramieniu. Jego rozpromieniona żona. Jego wieczór triumfu. W dzisiejszych czasach napisanie opery to ogromna praca. Taka premiera to niebiańskie przeżycie. Teraz widownia domaga się bisów. Dyrygent wraca na miejsce. Kurtyna znika. Hiob sam na scenie. Ostatnia odsłona. Dumny bas brzmi: "Uważaj, jestem grzeszny", a głos Pana odpowiada mu z tysiąca głośników wypełniając cały świat •dźwiękiem: "Odziej się w majestat i wspaniałość". Staunt płacze pod wpływem własnej muzyki. Nigdy nie zapomnę tego wieczoru, nawet gdybym miał żyć sto lat - postanawia.

Rozdział 11

- Helikopter spadł tak nagle, panie Staunt. Był prowadzony promieniami stabilizacyjnymi przez cały czas trwania burzy, ale... pan wie, nie zawsze można...

- A moja żona? Co z moją żoną?

- Przykro nam, panie Staunt.

Rozdział 12

Pochyla się nad klawiaturą, rozmyślając o teorii i harmonii. Jego nogi nie są jeszcze dość długie, by sięgnąć do pedałów fortepianu. Kłopot, chociaż przejściowy. Zamyka oczy i uderza w klawiaturę. Tonacja C-dur, łatwa. Tonizujący akord. Dominanta. Dlaczego tak długo nic mu o tym nie mówili? Buduje akord za akordem. Teraz przejdę na D-dur. Modulacja.

Zrobię tak, a potem tak i tak. Ma dziewięć lat. Przez całe, długie, upalne popołudnie niedzielne

badał język dźwięków. Cała jego rodzina siedzi jak wrośnięta przed telewizorem. ”Henry? Henry, już za chwilę wyjdą z ładownika!” Wzrusza ramionami. Cóż może go obchodzić spacer po Księżycu? Księżyc jest martwy i daleki, a tu jest świat D-dur. Teraz on prowadzi własną wyprawę badawczą, ”Henry, on wyszedł! Schodzi po drabinie”. Pięknie. Tonizacja Dominanta. To trudne słowa, ale jak łatwo zapuszczać się coraz głębiej i głębiej w labirynt dźwięków.

Rozdział 13

Panie Staunt, wydział i studenci z wielką przyjemnością ofiarowują panu z okazji stuletniej rocznicy urodzin tą pamiątkę po kompozytorze, który był podobnie twórczy, jak pan, choć nie tak długowieczny: oryginalny manuskrypt divertimenta Mozarta, numer katalogu Kochla...

Rozdział 14

Tak, chłopiec. Daliśmy mu na imię Paul, jak ojciec Edith. Jakie to dziwne uczucie pomyśleć, że mam syna. Wiesz, mam już czterdzieści pięć lat. Przeżyłem już prawie pół życia. A teraz... syn.

Rozdział 15

Na niebie wisi ogromne słońce. Na plaży powietrze drży od upału. Tam, gdzie kończy się różowy półksiężyc plaży, zielone Morze Karaibskie ciągnie się aż po horyzont spokojne jak woda w wannie. O tej porze zawsze krył się gdzieś w cieniu, w hamaku, czytając, robiąc notatki, lub rozmyślając nad kolejnym utworem. Znowu ta dziewczyna. Przykucnęła na wybrzeżu nad kałużą pozostawioną przez przyływ, delikatnie igrający z zamieszkującymi ją istotami, strachliwymi anemonami, ślimakami i ruchliwymi krabami pustelnikami. Musi wystawić swoją delikatną skórę na promienie słoneczne, bo już jutro wraca do Nowego Jorku i może to być ostatnia szansa poznania jej. Obserwował ją przez cały tydzień pobytu tutaj. To nie była już dziewczyna. Miała co najmniej dwadzieścia pięć lat. Samodzielna, opanowana,

działająca z chłodną precyzją, czujna, elegancka. Budząca pożądanie. Rzadko kiedy czuł tak silny pociąg do kogokolwiek. Przedłużanie okresu kawalerskiego nie stanowiło dla niego żadnego problemu. Zmieniał kobiety tak łatwo, jak łatwo przychodziło mu przejechać z miasta do miasta. Coś jest jednak w oczach tej Edith, coś jest w jej uśmiechu, co go przyciąga. Wiedział, że robi z siebie idiotę. Wiedział, że to wszystko to czysta fantazja. Nie miał pojęcia, jaka ona właściwie jest, co ją interesuje. To, że była inteligentna i otwarta, mogło być jego własnym wymysłem. Dziewczyna kryjąca się za tą twarzą może w rzeczywistości być nieciekawa i pusta. Może jakaś programistka na wakacjach pogrążona w marzeniach o gwiazdach telewizji. Musi jednak ją poznać. Słońce pali jego delikatną skórę. Dziewczyna podnosi głowę. Uśmiecha się. Czerwony ślimak sunie lekko po jej dłoni. Klęka koło niej. Ona podaje mu ślimaka, a on pozwala mu przesunąć się na jego dłoń. Śmieją się. Ona pokazuje mu różne zwierzątka ukryte w wodzie. Nawiązuje się między nimi jakiś kontakt za pośrednictwem tych istot żyjących w wodzie.

- Jeszcze się nie przedstawiłem - mówi wreszcie Staunt, czując się szalenie niezdarnie.

- Jestem Henry Staunt.

- Wiem - mówi Edith. - Kompozytor.

I od tej chwili wszystko poszło łatwiej.

Rozdział 16

...i złoty medal za wybitną pracę w dziedzinie form symfonicznych dla studenta poniżej szesnastu lat, przypuszczam, że każdy już się domyślił, dla Henry'ego Staunta, który...

Rozdział 17

A moja żona? Co z moją żoną? Przykro nam, panie Staunt.

Rozdział 18

Ponieważ nasz wieczór zbliża się do końca, pozwolę sobie, Henry, również na

dokonanie małej analizy. Wiesz, na czym polega twój problem? Problem twojej muzyki, twojej duszy, wszystkiego? Nie cierpisz. Nigdy nie odczuwałeś bólu, a nawet jeżeli odczuwałeś, to powierzchownie. Masz czterdzieści lat i zawsze odnosiłeś sukcesy. Twoją muzykę grają wszędzie. To jest osiągnięcie niezwykle jak na żyjącego kompozytora, a wciąż wyglądasz na lat trzydzieści, czy nawet dwadzieścia siedem. Czas nie zostawia na tobie śladów. Nie zaleceni cierpień, ale twierdzą, że cierpienie hartuje duszę artysty. Dodaje bogactwa i głębi, której, przepraszam, że to powiem, tobie, Henry, brakuje. Możesz dożyć bardzo późnego wieku, ponieważ się nie starzejesz i pewnego dnia, kiedy będziesz miał dziewięćdziesiąt siedem czy sto lat, może zdasz sobie sprawę, że nigdy nie zetknąłeś się z rzeczywistością, że byłeś odizolowany i że w pewnym sensie nie żyłeś prawdziwie i w rzeczywistości nic nie stworzyłeś. Wybacz mi, Henry. Cofam to wszystko, mimo że wciąż się uśmiechasz. Nawet przyjaciel nie powinien tak mówić. Nawet przyjaciel.

Rozdział 19

Nagroda Pulitzera w dziedzinie muzyki za rok 2002...

Rozdział 20

- Ja, Edith, biorą sobie ciebie, Henry'ego, za małżonka...

Rozdział 21

- Przecież nie była młodą żoną, Henry. Bóg widzi, że to wielka strata, ale byliście już pięćdziesiąt lat po ślubie. Pięćdziesiąt lat, Henry. Mało kto może marzyć o takim małżeństwie.

A że odeszła, cóż... Ciesz się, że przynajmniej miałeś te pięćdziesiąt lat.

- Wolałbym, żebyśmy się razem rozbili.

- Nie bądź dziecinny. Ile masz lat? Osiemdziesiąt pięć? Osiemdziesiąt siedem? Masz jeszcze przed sobą piętnaście czy dwadzieścia zdrowych, twórczych lat, a może nawet więcej, jeżeli będziesz miał szczęście. W dzisiejszych czasach ludzie dożywają niezwyklego wieku.

Możesz dociągnąć do stu dziesięciu, stu piętnastu...

- Bez Edith? A co to ma za sens?

Rozdział 22

- Połóż rękę na środku klawiatury. Rozszerz palce, jak tylko potrafisz. Szerzej. Szerzej.

Dobrze! Widzisz, Henry, to nazywamy środkowym C...

Rozdział 23

Potykając się w pośpiechu wszedł do gabinetu. W tym wielkim pokoju było mnóstwo śladów jego długoletniej kariery. Była tu zapisana muzyka w postaci płyt i kaset z wcześniejszymi utworami i w postaci lśniących kubików z późniejszymi pracami, były manuskrypty oprawne w jednolity, czerwony półskórek, co było dowodem jego próżności.

Były zbiory wycinków i recenzji z jego programów i koncertów. Były nagrody. Były krytyczne rozprawy, które napisał. Staunt był bardzo aktywny. Patrzył na tytuły utworów wytłoczone na grzbietach manuskryptów: symfonie, kwartety smyczkowe, koncerty, różne utwory kameralne, pieśni, sonaty, kantaty, opery. Tak ich dużo, tak dużo. Staunt nie odnosił wrażenia, że zmarnował czas wypełniając ten pokój tym, czym był wypełniony. W ciągu ostatnich stu lat nie minął tydzień bez wykonania gdzieś w świecie jednego z jego utworów. To wystarczające usprawiedliwienie tworzenia, życia. A jednak sto trzydzieści sześć lat to kawał czasu.

Wprowadził równocześnie trzy kubiki do odtwarzaczy wywołując dzikie płataniny dźwięków z głośników rozstawionych w pokoju. Stał na środku drżąc i odbierając tę nawałę dźwięku. Może po czterech minutach wyłączył dźwięk i polecił, aby telefon połączył go z Biurem Spełnienia.

- Moim przewodnikiem jest Martin Bollinger - powiedział. - Czy możecie mi przekazać, że chciałbym udać się do Domu Pożegnań tak szybko, jak to tylko możliwe?

Rozdział 24

Doktor James powiedział kiedyś Stauntowi, że odchodzący wychodzili ze stanu ożywienia pamięci w ekstazie i często byli w takim nastroju, że nalegali na odejście natychmiastowe, zanim minie im ten dobry nastrój. Wyzwalając się spod działania narkotyku Staunt na próżno oczekiwał ekstazy. Był zupełnie spokojny. Przez kilka minionych godzin, a może minut - nie miał pojęcia, jak długo trwało ożywienie pamięci - posmakował okruchów przeszłości. Powróciły doń urywki rozmów, wycinki krajobrazów, przypadkowe spotkania, nieuporządkowana, pozbawiona chronologii mieszanka wydarzeń. Muzyka i żona. Żona i muzyka. Niezbyt treściwa mieszanka, jak na sto trzydzieści sześć lat. Gdzie były burze? Gdzie huragany? Pojedyncza tragedia, owszem, a poza tym wszystko odbywało się w spokoju. Życie zbyt uporządkowane, zbyt trzeźwe, zbyt puste. Teraz, mając szansę je przeanalizować, zorientował się, że nie wyniósł zeń nic konkretnego poza aplauzem, który przeciekł mu przez palce, i poza miłością do Edith, ale nawet i ona utraciła całą swą magię. Gdzież był ten nadmiar wspomnianej miłości, który według doktora Jamesa mógł się okazać niebezpieczny? Może kontrolowano go zbyt dokładnie obniżając intensywność przeżyć? A może jego przeżycia nie były zbyt mocne? Stary, wysuszony, bezbarwny i rozrzedzony.

W odróżnieniu od innych nie poprosił natychmiast o odejście. Dlaczego miałby odchodzić bez tej ostatecznej ekstazy. Właściwie nie czuł się przygnębiony, ale z pewnością zadowolony. Podróż w przeszłość wprowadziła go w stan jakiegoś zawieszenia, paraliżu woli, który pozostawił go w próżni wśród splątanych wątków spokojnego życia.

Chociaż Staunt nie był jeszcze gotów do odejścia, sprawy innych wyglądały inaczej.

- Zapraszamy pana na ceremonię pożegnalną Davida Goldinga - powiedziała panna Elliot w dzień po zabiegu ożywienia pamięci.

Golding był tym mężczyzną, który miał sześć żon. Niektóre przeżył, z niektórymi się rozwiódł, inne z nim się rozwiódły. Jego heroiczna męskość już gdzieś zniknęła. Był niski,

skurczony, wyschnięty, a ponieważ był prawie ślepy, jego wychudła, nieciekawa twarz została zniekształcona wydatnymi stożkami aparatu optycznego. Mówiono, że miał sto dwadzieścia pięć lat, dla Staunta wyglądał jednak co najmniej na dwieście. Technicy z Domu Pożegnań przekształcili jednak staruszka w coś wspaniałego na ceremonię pożegnalną. Jego twarz jaśniała makijażem zacierającym wyżłobienia, jakie pojawiły się na niej w ciągu dziesięcioleci. Trzymał się prosto, niewątpliwie odzyskawszy nieco swej dawnej męskości pod wpływem jakiegoś narkotyku. Był odziany w lśniącą szatę. W Sali Pożegnań skupiła się wokół niego duża grupa krewnych i znajomych. Sala Pożegnań była obszernym, wesoło udekorowanym pomieszczeniem położonym w podziemiach obok sali rekreacyjnej. Gdy Staunt wszedł do sali, zaskoczyła go ilość osób. Tak dużo ich, tacy młodzi, tacy hałaśliwi.

Ella Freeman przysunęła się do niego i położyła wyschniętą dłoń na jego ramieniu.

- Popatrz, tam są jego dwie żony. Jednej nie widział od sześćdziesięciu lat. Są jego synowie. Wszyscy. Miał dwóch lub trzech z każdą żoną!

Ceremonia prowadzona przez stosunkowo młodego człowieka, który był przewodnikiem Goldinga, była elegijna w tonie, krótka i pogodna. Stojąc pod emblematem Biura Spełnienia - przeplecionymi kołami zębatymi - przewodnik wspomniał krótko filozofię udostępniania miejsca innym i piękno woli odejścia. Następnie w ogólnych słowach chwalił odchodzącego. Przemawiający po nim syn był już bardziej szczegółowy w pochwałach. Na koniec Seymour Church, który został wybrany, by reprezentować towarzyszy Goldinga z Domu Pożegnań, wyskrzeczwał krótką, prawie niezrozumiałą mowę pożegnalną. Odchodzący też zabrał głos i w paru bełkotliwych słowach dziękował za długie i szczęśliwe życie.

Wydawało się, że Golding niezupełnie rozumie, co się wokół niego dzieje. Siedział rozpromieniony na czymś w rodzaju tronu, ale był jakby śpiący, oderwany od rzeczywistości. Staunt zastanawiał się, czy był pod działaniem narkotyków.

Kiedy skończyły się przemówienia, podano przekąski. Następnie, w towarzystwie najbliższych krewnych, czyli około dwudziestu osób, Golding został przeprowadzony do pomieszczenia wewnętrznego Sali Pożegnań. Drzwi zamknęły się za nim. Przyjęcie trwało nadal.

W ciągu następnych pięciu tygodni odbyły się cztery takie uroczystości. Na dwóch z nich, z okazji odejścia Michaela Greena i Katherine Parks, poproszono Staunta o wygłoszenie mowy pożegnalnej. Z zadania tego wywiązał się z wdziękiem, spokojnym i jak mu się zdawało, wykazał się elokwencją. Na pożegnaniu Michaela Greena przemawiał przez dziesięć minut, na pożegnaniu Katherine Parks prawie przez piętnaście. Nie mówił o odchodzących, których poznał bardzo powierzchownie, ale o całej filozofii odejścia, o pięknie i tajemnicy aktu odrzucenia świata. Osoby wygłaszające przemówienia pożegnalne rzadko zdobywały się na takie wyczyny i wszyscy słuchali zafascynowani. Staunt podejrzewał, że gdyby sytuacja na to pozwalała, nagrodziliby go oklaskami.

Znalazł zatem nowe powołanie, a kilkoro odchodzących, których w ogóle nie znał, przyspieszyło nawet termin odejścia, żeby tylko Staunt przemawiał na uroczystości pożegnalnej. Nadeszło już lato i Arizona skąpana była w rozświetlonych falach upału. Staunt nie wychodził już wcale na zewnątrz. Dużo czasu spędzał w ośrodku rekreacyjnym, zbierając materiały do oratorium, które miał zamiar skomponować. Czytał mało. Muzyki nie słuchał wcale. Popadł w przyjemną, spokojną rutynę. Był w Domu Pożegnań już czwarty miesiąc. Oprócz Seymoura Churcha, który wciąż odmawiał odejścia, był mieszkającym Domu Pożegnań o najdłuższym stażu. Pod koniec lipca Church wreszcie odszedł. Staunt oczywiście przemawiał wspominając o powolnym zbieraniu się Churcha do odejścia i trudno było mu nie wspomnieć o własnej podobnej postawie. Dlaczego zwlekam? Dlaczego nie wypowiadam tego ostatniego słowa? - zastanawiał się.

Paul odwiedzał go co kilka tygodni. Te spotkania były trudne. Paul wykazywał oznaki napięcia i zdenerwowania. Zdawało się, że za chwilę zapyta: "Dlaczego wreszcie nie odejdziesz?" Staunt nie potrafiłby mu na to odpowiedzieć. Przeczytał Hallama czterokrotnie. Filozoficznie i psychicznie był gotów do odejścia. A jednak nie odchodził.

Rozdział 25

Około połowy sierpnia do apartamentu Staunta wszedł Martin Bollinger trzymając w ręku arkusz papieru.

- Co to jest, Henry? - zapytał.

Staunt przypatrzył się bliżej trzymanej przez Bollingera kartce. Była to fotokopia arii z The New Inn.

- Gdzie to znalazłeś? - chciał się dowiedzieć.

- Ktoś z personelu trafił na nią sprzątając twój pokój.

- Myślałem, że mamy tu prawo do prywatności.

- To nie jest dochodzenie, Henry. Jestem po prostu ciekaw. Znowu zacząłeś komponować?

- To nic niewarte. Napisałem to parę miesięcy temu.

- Ta muzyka jest fascynująca - stwierdził Bollinger.

- Tak myślisz? Mnie wydała się dość toporna i wymuszona.

- Nie. Nie. Wcale nie. Zawsze mówiłeś o operze opartej na utworach Bena Jonsona, prawda? Widzę, że teraz się za to wzięłeś.

- Chciałem wypełnić nudny dzień. Ot, takie bazgroły.

- Henry, nie chciałbyś stąd wyjechać?

- Znowu do tego wracasz?

- Widzę, że wciąż jeszcze możesz tworzyć. Może napiszesz wspaniałą operę?

- Którą ze mnie wyciśniesz? Nie gadaj bzdur. Nic już we mnie nie zostało, Martin.

Jestem tu po to, żeby odejść.

- Ale jeszcze nie odszedłeś.

- Zauważyłeś to? - zapytał Staunt.

- Od początku mówiliśmy wyraźnie, że nie będziemy cię poganiać. Zacząłem jednak podejrzewać, że wcale ci nie jest pilno do odejścia, że zabijasz czas zastanawiając się może nad operą, może starając się pogodzić z czymś trudnym, co ci zapadło w duszę. Wszystko jedno.

Nie musisz odchodzić. Odeślemy cię do domu. Skończ The New Inn. Myśl, o czym chcesz.

Możesz złożyć wniosek o odejście za rok lub dwa.

- Ty chcesz, żebym skomponował tę operę, prawda?

- Chcę, żebyś był szczęśliwy - powiedział Bollinger. - Chcę, żebyś odszedł w

odpowiedni sposób. Ta nowa muzyka jest dla mnie informacją o twoim stanie duchowym.

- Nie będzie żadnej opery, Martin. Nie zamierzam również opuścić Omega Prime żywy. Moja rodzina przeżyła dość trudnych chwil, a teraz miałbym wrócić do domu i powiedzieć im, że był to tylko wypad wakacyjny. Nie.

- Jak chcesz - powiedział Bollinger. Uśmiechnął się i odwrócił pozostawiając nie wypowiedziane pytanie wiszące jak miecz między nimi: Jeżeli chcesz odejść, Henry, dlaczego nie odchodzisz?

Rozdział 26

Staunt zdał sobie sprawę, że obecnie zyskał status permanentnego odchodzącego, rezydenta Domu Pożegnań. Oto pędził życie otoczony szacunkiem akceptując usługi tych, którzy mieli zamiar wyprawić go delikatnie na tamten świat, i grając rolę patriarchy wśród ludzkich szczątków, jakimi byli inni pensjonariusze Domu Pożegnań. Co tydzień przybywali nowi. Witał ich z powagą. Pomagał im wtopić się w nowe środowisko i z czasem

przewodniczył ich uroczystościom pożegnalnym. Trwał. Dlaczego? Przecież nie bał się śmierci. Dlaczego zatem zaczynał zajmować się odejściem prawie zawodowo?

Może chciał zyskać prestiż bohatera swych czasów - rzecznika szlachetnej rezygnacji, praktyka radosnego odejścia. Wygłaszając gładkie wypowiedzi o obrocie koła i tworzeniu miejsc dla innych był Sydneyem Cartonem dwudziestego pierwszego wieku, stojącym pod gilotyną i chwającym się, czego to on nie zrobi, i tak się w tej roli rozsmakował, że zapomniał uklęknąć i podstawić szyję pod ostrze.

Może chciał tylko rozpędzić nudę zbyt spokojnego życia tym całym gadaniem o śmierci. Ten cały szum wokół odchodzących wprowadzający ciekawe zmiany do statycznej egzystencji. Czy chęć zmiany, a nie śmierć była jego prawdziwym celem? Tak? Jeżeli to prawda, to jedź, Henry, do domu i skończ swoją operę. Wakacje powinny się skończyć. Już prawie był gotów przywołać Bollingera i poprosić o odesłanie do domu. Pokonał jednak ten impuls. Byłoby zwykłym tchórzostwem opuścić teraz Omega Prime. Był winien światu swoją śmierć. Zamieszkiwał już w swoim ciele wystarczająco długo. Jego miejsce było potrzebne. Wkrótce odejdzie. Wkrótce.

Rozdział 27

W początkach września padało przez cztery dni pod rząd. Rzecz niespotykana w tej części Arizony. Panna Elliot twierdziła, że Indianie Hopi przedobrzyli w czasie dorocznego tańca węża i ściągnęli chmury deszczowe na cały stan. Ku przerażeniu personelu Staunt wychodził codziennie na dwór i stał na deszczu, pozwalając, by chłodne krople wsiąkały w jego szlafrok, i patrząc, jak woda szybko znika w wysuszonej, czerwonej ziemi.

- Umrze pan z przeziębienia - powiedział mu Falkenbridge z powagą. Staunt tylko się roześmiał.

Poprosił o jeszcze jeden egzemplarz szeroko drukowanej The New Inn i próbował

skomponować pierwszą scenę. Nic mu nie wychodziło. Nie mógł trafić na właściwą linię melodyczną. Nie mógł również uchwycić dziwnej barwy wcześniej skomponowanej arii.

Brzmienie i sens Bena Jonsona uleciały z jego umysłu. Porzucił pracę bez żalu.

W ciągu ośmiu dni miały miejsce trzy uroczystości pożegnalne. Staunt uczestniczył we wszystkich i przemawiał na dwóch.

Wybrał 19 września jako dzień własnego odejścia. Nikogo jednak nie powiadomił o swojej decyzji, więc 19 września nadszedł i minął i nic się nie zmieniło.

Pod koniec miesiąca rozmawiał z Bollingerem.

- Jestem oszustem - powiedział mu. - Nie zbliżyłem się ani na krok do odejścia przez cały okres pobytu tutaj. Wcale nie chciałem odejść. Chcę wciąż żyć, chcę widzieć wydarzenia, coś robić, przeżywać. Przybyłem tu w desperacji, bo byłem zatęchły, znudzony, potrzebowałem zmian. Zabawa ze śmiercią, przeżywanie jej scenariusza... Tego właśnie szukałem. Jakichś podniecających wrażeń, jakiegoś wydarzenia w życiu pozbawionym wydarzeń. Henry Staunt przygotowuje się na śmierć. Wykorzystywałem was wszystkich jak pionki w cynicznej grze.

- Czy chciałbyś, żebym ci załatwił wyjazd do domu, Henry? - spokojnie zapytał Bollinger.

- Nie. Nie. Wezwij doktora Jamesa. Zawiadam rodzinę, że ceremonia pożegnalna odbędzie się za tydzień. Czas odejść.

- Ale jeżeli wciąż jeszcze chcesz żyć...

- Czyż to nie najlepszy czas do odejścia? - zapytał Staunt.

Rozdział 28

Wszyscy przyjechali i byli blisko niego. Przyjechał Paul, a także Crystal, która wróciła już z Księżyca, ale wyglądała na osłabioną. Były wszystkie wnuki i prawnuki. Przyjechali

przyjaciele, dyrygenci, młodszy kompozytorzy, kilku krytyków. Ponad sto osób przyjechało, żeby go odprowadzić. Staunt jeszcze nie otumaniony narkotykiem poruszał się spokojnie wśród nich, dziękując im za przybycie na przyjęcie pożegnalne, witając na ceremonii. Zdumiewał go własny spokój. Siedząc na honorowym tronie słuchał ostatnich przemówień i zniósł bez sprzeciwu wiązanek swych najślawniejszych utworów zebranych pospiesznie i zestawionych niezbyt fachowo. Martin Bollinger, wygłaszający główne przemówienie, często cytował Hallama.

- Zbyt często ulegamy złudzeniu, że osiągnęliśmy stan gotowości, podczas gdy w rzeczywistości wcale nie jesteśmy gotowi i decydujemy się odejść, kierując się nieistotnymi lub płytkimi motywami. Jakże to tragiczne osiągnąć moment odejścia i zdać sobie sprawę, że oszukiwaliśmy się, że nasza motywacja była fałszywa, że wcale nie jesteśmy gotowi odejść. Jakże to prawdziwe - pomyślał Staunt. - A równocześnie, cóż to za fałsz. Oto jestem gotów do odejścia, a równocześnie wcale nie jestem gotów i w moim braku gotowości tkwi gotowość.

Bollinger skończył i jeden z odchodzących, człowiek o nazwisku Bradford, który przybył do Omega Prime w sierpniu, zaczął zmagać się z ostatnim przemówieniem. Jąkał się, kasłał, stracił wątek, ponieważ miał już sto czterdzieści lat i miał odejść w przyszłym tygodniu. Wreszcie jednak udało mu się jakoś dobić do końca. Staunt nie zwracał na przemówienie większej uwagi. Uśmiechał się do syna i córki, całej hordy potomków, admiratorów i lekarzy. Rozumiał teraz, dlaczego odchodzący wydawali się oderwani od własnych ceremonii pożegnalnych - monotony szum pożegnalnych przemówień szybciej doprowadzał ich do bram raju.

Wreszcie podano przekąski i mieli właśnie przewieźć go do wewnętrznego pomieszczenia, kiedy Staunt zapytał:

- Czy i ja mogę przemówić?

Mówił cicho, tak że wszyscy musieli wyteżać słuch.

- Akceptuję koncept obrotu koła i z przyjemnością ustępuję miejsca tym, którzy mają nadejść. Chciałbym wam jednak powiedzieć, że nie jest to zwyczajne odejście. Wiecie, że kiedy tutaj przyjechałem, byłem zmęczony światem i gotów odejść. Jednak zwlekałem. Stałem na krawędzi, opóźniałem, udawałem. Nawet, o czym wie Martin, zacząłem komponować nową operę. Powiedziano mi, że mogę jechać do domu, ale odmówiłem. Niech mi Hallam wybaczy tę odmowę. Ten sposób odejścia nie jest jedyny. Ponieważ życie nadal wydaje się piękne, właśnie dziś z niego rezygnuję. To jest moja ostatnia przyjemność - rezygnacja z jedynej rzeczy, jaka mi została i jaką warto posiadać.

Goście szeptali coś między sobą. Gapili się na niego.

Powiedziałem wszystko źle - pomyślał. - Zepsułem im uroczystość, ale ostatecznie kto tu odchodzi. Dlaczego miałbym się tym przejmować?

- Jeszcze nie jest za późno, Henry - wyszeptał Martin Bollinger, przybliżając twarz do jego ucha. - Możemy jeszcze wszystko odwołać.

- Ostatnia pokusa - powiedział Staunt. - Obronię się przed nią. Czas opuścić kurtynę.

Jestem gotów odejść.

*

Zawieźli go do wewnętrznego pomieszczenia. Kiedy podali mu kubek, wziął go, mrugnął do Martina Bollingera i wypił duszkiem.